Wasz prezydent, nasz premier 2025 • **Bunt młodych** • **Wszyscy ludzie Karola**

Chłopki dzisiaj • **Celebryci** z TikToka • Nowi **poganie** • **Starość** po szwedzku

POLITYKA.PL

POLITYKA

Powyborcze analizy

© DAWID ŻUCHOWICZ/AGENCJA WYBORCZA.PL

TYGODNIK, nr 23 (3517), 4.06–10.06.2025

Cena 13,90 zł (w tym 8% VAT) nr indeksu 369195

ISSN 0032-3500

Wydanie w sprzedaży do 10.06.2025

USA 4,60 USD; KANADA 4,69 CAD; WIELKA BRYTANIA 2,50 GBP; SZWECJA 30 SEK; CZECHY 75 CZK; KRAJE STREFY EURO 4,95 EURO

NAWROCKI, CZYLI KTO?

- **POLACY WYBRALI KONFLIKT**
- **CO SIĘ STAŁO, CO BĘDZIE TERAZ**

CUBE STORE

NOWA ODSŁONA SKLEPU ROWEROWEGO

SKI TEAM POZNAŃ
UL. BUŁGARSKA 117 A

SKI TEAM®

SKITEAM.PL | ROWERYCUBE.PL | SPYDER.PL

NAJNOWSZA KOLEKCJA ROWERÓW CUBE!
Największy wybór rowerów dostępnych w jednym miejscu.

MEGA promocje rowerowe

do -50%

NA WYBRANE MODELE ROWERÓW

CUBE

Kup na raty 0%

do 30 rat 0%. RRSO 0%

Na wszystkie rowery dostępne w sklepie, także rowery objęte promocją!

Godziny otwarcia sklepów Poniedziałek - Sobota: 12:00 - 20:00

Warszawa: ul. KOR 36/38, ul. Toruńska 107b, Poznań: ul. Bułgarska 117a, Katowice: ul. Sportowa 20, Wrocław: ul. Grabiszyńska 167

Sprawdź na skiteam.pl

eprasa.pl 89558b6b43

22
Chłopki 2025

© ADAM WYSOCKI/EAST NEWS

COPYRIGHT © POLITYKA Spółka z o.o. SKA. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułów, w tym artykułów na aktualne tematy polityczne, gospodarcze i religijne, opublikowanych w POLITYCE jest zabronione.

WYBORY 2025
raport po drugiej turze

4 **Przypisy** Jerzego Baczyńskiego i Mariusza Janickiego
12 Rafał Kalukin **Dlaczego Rafał Trzaskowski przegrał**
16 **Co się stało, co teraz** – komentarze naszych felietonistów
19 Anna Dąbrowska, Katarzyna Kaczorowska **Karol Nawrocki – mroczny prezydent**

Społeczeństwo

22 Martyna Bunda **Po co zostają i jak żyją kobiety na wsi**
26 Agnieszka Sowa **Patorozmowy na TikToku**
29 O współczesnych poganach znad Wisły opowiada **Joanna Malita-Król**, religio- i kulturoznawczyni
32 Violetta Krasnowska **Duża zbrodnia małżeńska**
34 ODCHODZIĆ PO LUDZKU Jak wygląda starość w Szwecji, opowiada sztokholmski psychoterapeuta **Jacek Kubitsky**

Rynek

38 Cezary Kowanda **Brudne interesy na Czystym Powietrzu**
42 O naszym stosunku do gospodarki rynkowej mówi dr **Andrzej Machowski**, analityk sondaży

Świat

44 Tomasz Zalewski USA **Przestrogi Zbigniewa Brzezińskiego**
47 Paulina Wilk INDIE **Epidemia otyłości**
50 Filip Gańczak NIEMCY **Lars Klingbeil – pluszowy wicekanclerz**
52 STREFA GAZY Palestyński polityk **Mustafa Barghouti** o wojnie, okupacji i o tym, jak wyglądałaby Palestyna pod jego rządami

Nauka/projektpulsar.pl

54 Marcin Ryszkiewicz **Ryzykowne dojrzewanie**
58 Marta Alicja Trzeciak **Dziedziczne traumy?**
61 Maciej J. Nowak **Deliberacje o ewaluacji**

Historia

62 Jarosław Czubaty **Królestwo Polskie – cud czy czwarty rozbiór?**
65 Co dziś zostało z myśli Karola Marksa, opowiada **Krzysztof Iszkowski**, autor jego biografii „Idol"
68 Joanna Podgórska **Toksyczny klan Kennedych**

Kultura

74 Anna Tatarska **Unikatowa estetyka filmowca Wesa Andersona**
78 Aleksandra Żelazińska **Tenis w kinie i na scenie**
82 **Andrzej Dybczak**, autor książki „Las duchów", o ludach Syberii i wymordowanych szamanach
84 Jakub Demiańczuk **Polscy twórcy komiksów na festiwalu w Lozannie**
88 MEA PULPA **Kuby Wojewódzkiego**

Ludzie i style

94–97 • **Zaniżany rozmiar**
• **Memiczna Senyszyn**
• **Peaki kampanii**
• **Barwy Marrakeszu**
• **Metody na bób**

Stałe rubryki

• **8** Ludzie i wydarzenia
• **4**, **5**, **6**, **92**, **98** Galeria POLITYKI
• **70** Afisz • **89** Lis • **90** Koziołek
• **91** Hartman • **92** Do i od redakcji
• **98** To jeszcze nie koniec

eprasa.pl 89558b6b43

Wasz prezydent, nasz premier 2.0

Jerzy Baczyński, Mariusz Janicki

Cud się nie wydarzył. Nie pomogły akcje mobilizacyjne, Marsz Patriotów, długa i wyczerpująca kampania, aktywność wyborców za granicą, zaangażowanie wielu środowisk i wsparcie autorytetów. Rafał Trzaskowski był prezydentem tylko przez dwie godziny, po pierwszym sondażu exit poll, który dawał mu nieznaczne zwycięstwo. Ale o 23.00, po weryfikacji i skorygowaniu danych ankietowych z rzeczywistymi wynikami, już wygrywał Karol Nawrocki i tę przewagę jeszcze potem powiększał. Według oficjalnych danych PKW Nawrocki zdobył ostatecznie 50,9 proc. głosów, czyli 10,6 mln, Trzaskowski 49,1, czyli 10,2 mln, nieco więcej, niż uzyskał przed pięcioma laty w konfrontacji z Andrzejem Dudą, ale to znowu nie wystarczyło do zwycięstwa.

Stało się: do prezydenckiego pałacu, przynajmniej na pięć lat, wprowadzi się Karol Nawrocki, „decyzja prezesa". Człowiek z wciąż nieznaną do końca przeszłością, mający dobrych znajomych w świecie przestępczym, wytatuowany uczestnik kibolskich ustawek, właściciel zdobytego w podejrzanych okolicznościach mieszkania, ktoś, komu media zarzuciły praktyki sutenerskie. Jak się okazało, nie przeszkodziło to większości Polaków powierzyć mu najwyższy urząd w państwie. Pokonał prezydenta Warszawy, byłego ministra, europosła, polityka z prześwietlonym życiorysem i sprawdzonymi kompetencjami. Ale to, co wcześniej uchodziło za atut, stało się obciążeniem: wykształcenie, pochodzenie, doświadczenie, kontakty. To jeszcze jeden element wywracanego ostatnio na nice świata wartości.

Nawrocki zostanie zwierzchnikiem sił zbrojnych, z automatu kawalerem Orderu Orła Białego, będzie wręczał innym zaszczytne odznaczenia, ułaskawiał skazanych, mianował sędziów, generałów, profesorów i ambasadorów, odbierał przysięgi od premiera i ministrów, jeździł na szczyty NATO i spotykał się z głowami państw. Kiedy się popatrzy, kogo Jarosław Kaczyński po kolei wysyłał na funkcję prezydenta za czasów PiS: Lech Kaczyński – Andrzej Duda – Karol Nawrocki, widać po tym, jak za każdym razem diagnozował stan mentalności i moralności publicznej. I można dostrzec, że najpierw to była ścieżka schodząca, a potem równia pochyła.

Kaczyński, który dziś ma prawo świętować kolejny triumf, dawno zrozumiał, że sukces polityczny polega na tym, aby nie przeceniać elektoratu. Po nominacji dla Nawrockiego można odczytać, jak ostatnio prezes PiS postrzegał stan polskiej polityki, a także swoich wyborców, ich horyzonty, motywacje i priorytety. Wybierając „człowieka z krwi i kości", jak głosił ratunkowy „spin" pod koniec kampanii, znowu się nie pomylił. Zapewne wyszedł z założenia, że w dzisiejszej polityce, przy takich podziałach w społeczeństwie, żaden polityk, także Nawrocki, nie jest w stanie się skompromitować do końca; nic nie eliminuje z gry, a ataki „wrogich mediów" tylko go wzmacniają; wszak – co odkrył już Trump – każdy ma swoje fakty.

Coś zatem może być w tych słynnych „trafnych diagnozach" Kaczyńskiego, bo rzeczywiście on jako pierwszy wychwytuje oznaki rozkładu, deprawacji i zapaści standardów życia publicznego, po czym skrzętnie to wykorzystuje, dostosowując do tego swój przekaz i nominatów. Po tym, co się właśnie stało, można uwierzyć, że „projekt Nawrocki" był skrojony według precyzyjnego planu, że właśnie przyszedł czas na kogoś takiego, a przy okazji – aby „elity" jeszcze bardziej dostały w twarz.

Dla swoich wyborców Nawrocki pozostał nośnikiem wartości konserwatywnych, patriotycznych, rodzinnych i wszelkich innych cnót, obrońcą wiary i cywilizacji chrześcijańskiej przed imigrantami, Brukselą, Zielonym Ładem czy zalewem LGBT, a cała reszta to nieprawda albo bez znaczenia. Przy okazji zostały przekroczone kolejne granice bezwstydu, normalizowania przemocy i innych patologii, i to zapewne już na trwałe. Kaczyński nie powstrzymał się nawet przed wmieszaniem w ten proceder swojego brata, czym po raz kolejny dowiódł, że w marszu po władzę nie cofnie się przed niczym.

To wszystko nie zmienia faktu, że kampania Rafała Trzaskowskiego była słaba, o wiele gorsza niż ta w 2020 r., bez pomysłów, kulminacji, bez zapadających w pamięć eventów i haseł. Sztab Nawrockiego był nieporównanie sprawniejszy, nauczył go wielu sztuczek, wyciągnął swojego kandydata

GALERIA POLITYKI

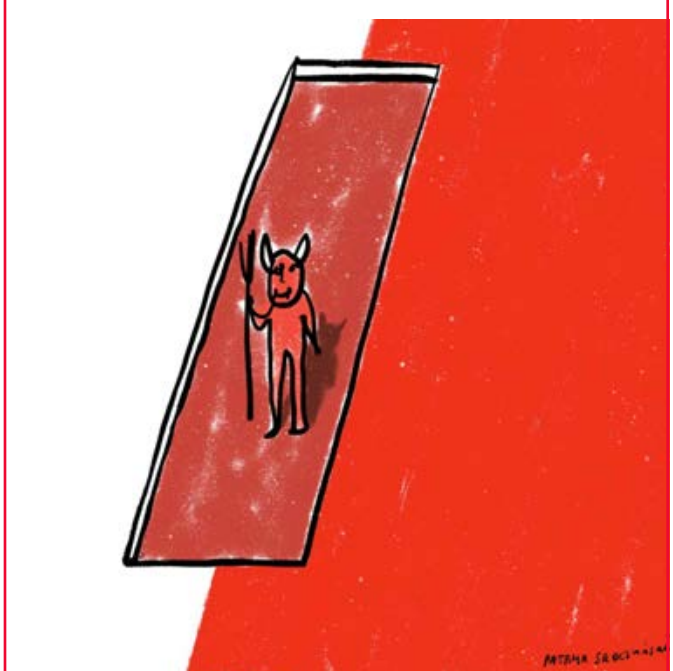

PATRYK SROCZYŃSKI

eprasa.pl 89558b6b43

GALERIA POLITYKI

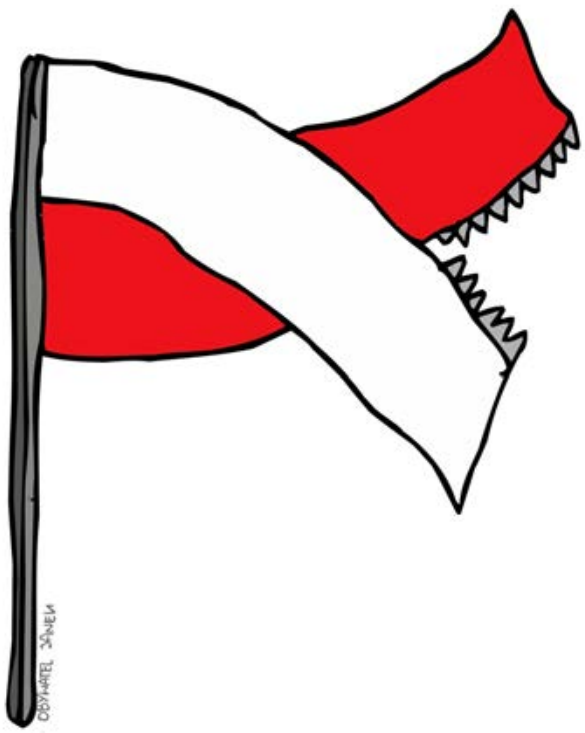

OBYWATEL JANEK

z wielkich wizerunkowych opresji, a Trzaskowski, nie mając takich problemów wizerunkowych, jednak przegrał. Retorycznie ugrzązł w Warszawie, rozdrabniał się w detalach, jakby to były wybory samorządowe, a mówiąc o prawach kobiet, wspominał głównie o żłobkach. Z jego wystąpień niewiele zostawało, zabrakło budowania ogólnej agendy i legendy, wątków przewodnich, nawet poruszającego patosu, który czasami jest niezbędny. Przez długie okresy nie było czuć siły i determinacji; poza tym okazał się nie tak energetyczny i efektowny, jak się spodziewano, mimo wielkiego wysiłku, jaki wkładał w swoje działania.

Bardzo trzeba współczuć Rafałowi Trzaskowskiemu tej porażki, która już nieodwracalnie złamała jego karierę jako „naturalnego" kandydata na prezydenta kraju. Wielkie rozczarowanie i frustrację przeżywają dziś wszyscy wyborcy Trzaskowskiego, jest zrozumiała potrzeba rozliczenia porażki, znalezienia odpowiedzialnych. Trudno bronić sztabu wyborczego, jeśli w trakcie kampanii kandydat traci kilkanaście punktów poparcia, a główny rywal tyle zyskuje. Już po kwietniowej katastrofie w Końskich sztab Trzaskowskiego nadawał się do wymiany lub głębokiej rekonstrukcji. Tylu błędów, niechlujstw, niespójnych działań, puszczonych okazji nie było widać od czasów legendarnej kampanii Bronisława Komorowskiego. Zresztą były prezydent w ostatniej fazie kampanii bardzo zaszkodził Trzaskowskiemu, opowiadając jakieś suche dowcipy o strzelaniu do kaczek, co propaganda Nawrockiego od razu z impetem wykorzystała, podobnie jak kuriozalny występ posłanki Kingi Gajewskiej, która z bezwstydną arogancją wręczała „dar Trzaskowskiego" – worek ziemniaków pacjentowi hospicjum, potwierdzając najgorsze stereotypy o „liberalnych elitach" i ich pogardzie dla ludu. Te występy mogły kosztować Trzaskowskiego właśnie ten decydujący punkt procentowy. Takich i podobnych wpadek było w ostatnich tygodniach wiele; gdyby jakimś cudem kandydat KO wygrał, to mimo kampanii, a nie dzięki niej.

Ale Trzaskowskiemu zaszkodziły przede wszystkim koalicyjne rządy Donalda Tuska, które w ciągu kilkunastu miesięcy osiągnęły w sondażach podobny poziom niechęci, jaki miał dwutygodniowy rząd Morawieckiego po październikowych wyborach. Nieróbstwo, marne kadry, brak dużych projektów i jakiejś nowej, dużej opowieści, koalicyjne wojny podjazdowe, zupełnie niewykorzystana unijna prezydencja powodowały rosnące rozczarowanie, w końcu głęboką irytację. Do tego beznadziejna komunikacja społeczna i pomijanie mediów nie pozwalały na odpowiednie wybrzmienie tych nielicznych osiągnięć, jakie się pojawiły. Wymagało to więc od demokratycznych wyborców stanięcia ponad kampanią i ponad własną oceną dotychczasowego dorobku władzy. Wielu zacisnęło zęby i zagłosowało, ale to nie wystarczyło. W półtora roku udało się roztrwonić olbrzymi kapitał emocji i nadziei, jaki ta koalicja otrzymała od Polaków 15 października 2023 r., kiedy głosowało na nią 13 mln wyborców.

Co może być dalej? Mimo poczucia klęski po stronie demokratycznej warto sobie uświadomić, że realnie na razie „nic się nie stało": jest komfortowa rządząca większość i prezydent z opozycyjnego obozu, tyle że Andrzeja Dudę zastępuje Karol Nawrocki. Wszystkie twarde instrumenty władzy (kontrola nad administracją państwową, budżetem i finansami publicznymi, wojskiem, policją, polityką zagraniczną itd.) pozostają w rękach koalicji rządzącej. Po wyborczym sukcesie prawicy i obecnych notowaniach Lewicy oraz Trzeciej Drogi, balansujących na progu wyborczym, podanie się do dymisji rządu Tuska byłoby oddaniem władzy PiS bez walki, dlatego jest to mało prawdopodobne. Na razie premier zapowiedział, że wystąpi o wotum zaufania do swojego gabinetu.

Przedterminowe wybory mogłyby spowodować, że PiS, Konfederacja i formacja Brauna zdobyłyby większość konstytucyjną – Jarosław Kaczyński ogłosił, że zamierza stworzyć wyborczą koalicję całej prawicy. Karol Nawrocki zapowiadał w kampanii, że jego celem jest jak najszybsze zakończenie rządów Tuska, co potwierdzał Przemysław Czarnek i inni politycy PiS. Można się zatem spodziewać kuszenia PSL, aby stronnictwo porzuciło koalicję 15 października, co wystarczyłoby do stworzenia nowego gabinetu jeszcze w tej kadencji. Zapewne temu służy propozycja Jarosława Kaczyńskiego powołania „apolitycznego rządu technicznego". To wymagałoby jednak zapewne odebrania prezesury z rąk Władysława Kosiniaka-Kamysza, który na taki alians raczej by nie poszedł, nawet jeśli wróci propozycja, aby to on objął funkcję premiera. Bardziej prawdopodobny jest scenariusz totalnej wojny koalicji z nowym prezydentem i partią Kaczyńskiego. Wtedy pojawia się pytanie o nową strategię rządu i plany Tuska. Rządząca koalicja oficjalnie czekała na swojego prezydenta, aby ruszyć do przodu z ambitnymi projektami, ustawowo przywrócić praworządny ustrój, wygrać wybory w 2027 r. i ostatecznie pokonać PiS; ten plan jest już nieaktualny.

Co zatem pozostaje, aby nie godzić się bezwolnie na kronikę zapowiedzianej katastrofy w 2027 r.? Jakiekolwiek propozycje progresywne czy naprawa wymiaru sprawiedliwości nie wchodzą w grę. Trzeba będzie rządzić z pominięciem ustaw, ▶

eprasa.pl 89558b6b43

▶ w granicach już istniejącego prawa, co w wielu obszarach jest możliwe. Warto jednak przedstawiać także prospołeczne ustawy czy duże projekty infrastrukturalne, zarzucać Nawrockiego koncepcjami, wykazywać, że jego obstrukcja ma czysto polityczny czy ideologiczny wymiar. To może przynieść polityczne korzyści, bo główne pytanie jest takie: czy w 2027 r. Polacy będą bardziej zmęczeni rządem, czy Nawrockim? Agresywna polityka nowego prezydenta, Kaczyńskiego, Mentzena i Brauna, którzy poczują się bardzo pewnie, może wywołać opór i niezgodę na oddanie im w 2027 r. pełni władzy. Byłoby to odwrócenie retoryki prawicy z ostatniej kampanii, która nawoływała, aby głosować na Nawrockiego po to, by Tusk nie domknął systemu. Teraz liderzy koalicji mogą głosić to samo: nie pozwólcie na domknięcie systemu radykalizującej się prawicy, lepsza jest najbardziej burzliwa kohabitacja władz niż powrót nieograniczonego niczym „ciągu technologicznego" z czasów Zbigniewa Ziobry.

Nowym planem może więc być stawianie oporu do końca, z nadzieją, że prawica poróżni się, posypie, skompromituje, Nawrocki straci moc po kolejnych ujawnionych aferach, a koalicja nawet w tak trudnych warunkach pokaże jakieś sukcesy. Nie będzie łatwo, bo działa psychologia społeczna. Urzędnicy, funkcjonariusze, wojskowi, prokuratorzy, czekali na prezydenckie wybory jako potwierdzenie legitymacji obecnej ekipy, a ta nie nastąpiła. Trudno będzie teraz utrzymać ich lojalność, rządzący będą postrzegani jako opcja przejściowa, jak Biden między dwiema prezydenturami Trumpa. W polityce jednak trendy potrafią się szybko zmieniać. Trump już dzisiaj gubi krok, pierwsza fascynacja minęła, nie bardzo wiadomo, o co mu chodzi.

Polska alt-prawica skorzystała teraz z życzliwego zainteresowania młodych ludzi, tak jak antyPiS w październiku 2023 r. Ale jak widać, sympatie dość szybko się zmieniają, kredyt zaufania nie jest długoterminowy. Sławomir Mentzen, przeżywający ostatnio swoje chwile chwały, przez ostatnie lata oscylował między kilkoma i kilkunastoma procentami poparcia. Grzegorz Braun wyrwał się właśnie z marginesu, ale szybko może tam wrócić. PiS od lat pozostaje na poziomie ok. 30 proc. i nie widać tu specjalnych motorów wzrostu, choć może teraz skorzysta z chwilowej premii zwycięzcy. Nawrocki otrzymał mocną posadę, ale z drugiej strony zupełnie nie wiadomo, jak będzie ją rozgrywał. Kaczyński, jako potwierdzony *kingmaker*, dostał paliwo, ale też jest w nowej sytuacji, bo wbrew swojej doktrynie ma silną konkurencję na prawicy i pytanie, jak to politycznie i nerwowo wytrzyma.

Wyznaczenie dzisiaj celów obozu demokratycznego jest bardziej skomplikowane niż przed wyborami. Szykuje się jakiś powrót do czasów z lat 2007–10, kiedy Tusk zdobył władzę i prowadził rząd w trakcie kadencji Lecha Kaczyńskiego. Okazało się, że taka dwudzielna polityka jest do wyobrażenia, państwo jakoś działa. Dochodziło do nieprzyjemnych incydentów, w rodzaju walki o krzesła w Brukseli, jednak następowały też okresy odwilży. Po katastrofie smoleńskiej w 2010 r. wydawało się, że na fali współczucia i żałoby Jarosław Kaczyński ma szansę pokonać Bronisława Komorowskiego i zostać prezydentem, ale okazało się, że dość łatwo i bez większych emocji przegrał. Nawrocki może być bardziej brutalny niż Lech Kaczyński, ale też Tusk zawsze był twardym zawodnikiem. Nie ma tu reguły, w polityce nic nie jest ostatecznie zdeterminowane i przesądzone, choć być może trzeba sobie powiedzieć, że zwolennicy liberalnej demokracji i progresywnej agendy społecznej są w Polsce w trwałej, choć nieznacznej, mniejszości.

Od czasu prezydentury Aleksandra Kwaśniewskiego mieliśmy już wyłącznie prezydentów Polski konserwatywnej (Bronisław Komorowski też się do nich zaliczał), z pierwszą kadencją Nawrockiego to już będzie ćwierć wieku. Myśl, że Karol Nawrocki może być twarzą Polski, najwyższym przedstawicielem naszego państwa aż do 2035 r., dziś przeraża, ale taki był werdykt demokracji i wola Narodu. Wybór Nawrockiego jest złą wiadomością dla walczącej Ukrainy, dla Unii Europejskiej, szukającej jedności wobec agresji Putina i nielojalności Trumpa, bardzo osłabia międzynarodową pozycję Polski, odbiera nam sporą część prestiżu, jaki zyskaliśmy, powstrzymując fale prawicowego populizmu w 2023 r. Ale to wciąż do rządu należy polityka zagraniczna kraju.

Z punktu widzenia obozu demokratycznego trzeba robić swoje i czekać na nowe okoliczności, trzymać władzę i odsuwać powrót PiS, jak długo się da. I taka opcja pozostaje teraz koalicji pod przewodnictwem Tuska. W końcu prawie połowa społeczności nie wyobrażała sobie takiego prezydenta, jakiego dostała. Dlatego zasada „wasz prezydent, nasz premier", wzięta z dawnych czasów, a potem także praktykowana, znowu pokazuje swoją aktualność. Twarda walka się nie skończyła, ona się na nowo rozpoczyna. Po słabych dwóch latach rządu przy prezydencie Dudzie nadszedł czas znacznie lepszych przy prezydencie Nawrockim. To nie paradoks, to wyzwanie. Historia nie skończyła się 1 czerwca, w politycznym teatrze kurtyna nigdy nie zapada. Po prostu rozpoczyna się nowy akt.

JERZY BACZYŃSKI, MARIUSZ JANICKI

GALERIA POLITYKI

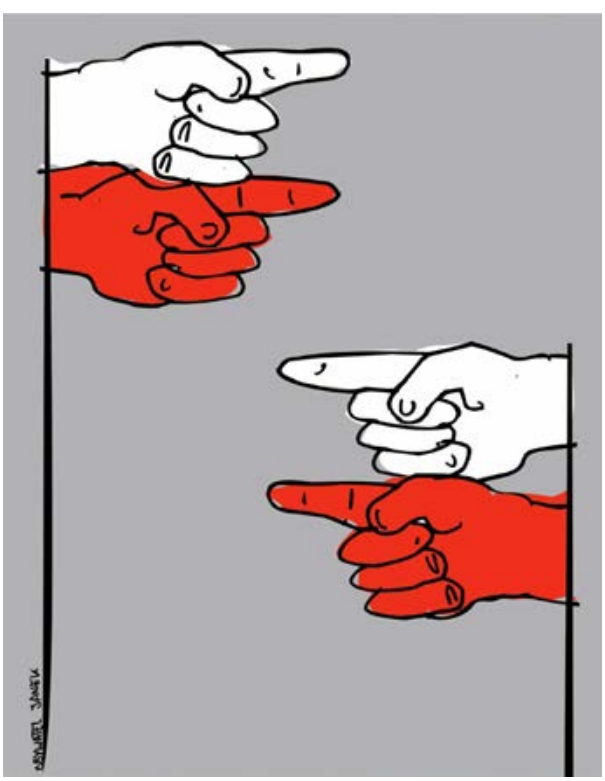

OBYWATEL JANEK

eprasa.pl 89558b6b43

Albatros travel

Zimowa przygoda na Islandii

Zimowa wyprawa w fascynującej scenerii gorących źródeł, zamarzniętych wodospadów i zorzy polarnej.

Zimowa Islandia zachwyca surową przyrodą, wulkanicznymi krajobrazami i nordyckim dziedzictwem. W blasku niskiego słońca odkryjemy śnieżne doliny i góry, tętniący życiem Reykjavik oraz urokliwe Selfoss. Już pierwszego wieczoru wyruszymy na polowanie na zorzę polarną – niezapomniane zjawisko arktycznego nieba. Zwiedzimy Złoty Krąg: gejzer Geysir, wodospad Gullfoss i Park Þingvellir. Odwiedzimy Muzeum Skyr oraz lokalnego producenta wełny. Dla chętnych – safari w poszukiwaniu morskich ssaków.

6 dni
Wyloty z Warszawy
18/01, 08/02, 08/03 2026

od **6.498,-**

NOWOŚĆ

NOWOŚĆ

3 posiłki dziennie

Indie – skarby kultury i wielkie Religie

Zobacz 3 największe atrakcje Indii – zachwycający Tadż Mahal, Złotą Świątynię w Amritsarze i Waranasi - święte miasto nad Gangesem.

Podczas 10-dniowej wycieczki zobaczymy najważniejsze atrakcje Indii – od świętych miejsc trzech religii po niezwykłe zabytki. Odwiedzimy Waranasi nad Gangesem i buddyjskie Sarnath. W Agrze zachwyci nas Tadż Mahal i XVI-wieczny Fort. Następnie polecimy do Amritsaru, by zobaczyć Złotą Świątynię sikhów i uczestniczyć w ceremonii zamknięcia granicy w Wagah. W Delhi poznamy historię Mahatmy Gandhiego. Czeka nas podróż przez kulturę, duchowość i niezapomniane krajobrazy Indii.

10 dni | Wyloty z Warszawy 21/11 2025, 13/03 2026 | 8.998,-

albatros.pl
Warszawa, ul. Marszałkowska 76, 8p.
rezerwacja +48 22 128 48 81

Kod reklamy: **PL21**

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty resjowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe

eprasa.pl 89558b6b43

Polska przegoniła Japonię

We wrześniu 1980 r. na spotkaniu związkowym Lech Wałęsa pierwszy raz zapowiedział, że „zbudujemy tu drugą Japonię". Obietnica zapadła w pamięć, z początku jako żart dla mieszkańców pogrążonej w kryzysie i odciętej od świata PRL. Od świata, w którym Japonia błyszczała, eksportując Hondy i Toyoty, w elektronice dominowały Sony i Canon, a sami Japończycy w bogactwie doganiali Amerykanów. Minęło 45 lat i Polacy właśnie przegonili Japończyków. Choć do tego stwierdzenia trzeba dodać kilka gwiazdek.

Według Międzynarodowego Funduszu Walutowego, dosłownie w ostatnich dniach – oddech… – polski produkt krajowy brutto na osobę, przy uwzględnieniu parytetu siły nabywczej (PPP), przekroczył barierę 55 190 dol. i jest już o 510 dol. wyższy od japońskiego. I teraz gwiazdki. Może poczuliśmy się bogatsi, ale nie chodzi tu przecież o bogactwo, bo to kumuluje się przez wieki i w tej kategorii jesteśmy daleko w tyle. Dane MFW dotyczą wartości wytworzonej przez poszczególne gospodarki w danym roku, to po pierwsze. Po drugie, chodzi o wartość na osobę (*per capita*). W wartościach bezwzględnych japońska gospodarka, która globalnie ustąpiła ostatnio trzeciego miejsca Niemcom, wciąż jest potęgą: w ostatnim roku wyprodukowała tej wartości pięć razy więcej niż polska – stosunek 4,21 bln dol. do 811 mld dol. Przy czym Japończyków jest 123 mln, a Polaków niecałe 38 – dzieląc więc na osobę, różnica nie jest już tak ogromna.

Najważniejsza dla naszego względnego sukcesu jest jednak trzecia gwiazdka, czyli PPP. Ów parytet siły nabywczej pokazuje koszt określonych towarów w różnych krajach – z uwzględnieniem kursów walut i realnych płac. Chodzi o to, ile porównywalnych dóbr może kupić statystyczny Polak i Japończyk. I dziś Polak może więcej, a o skali zmiany świadczy fakt, że jeszcze w 1992 r. nasze PKB na osobę PPP wynosiło zaledwie 28 proc. japońskiego. Ale do czołówki wciąż mamy daleko. Tu pierwsze dwa miejsca zajmują Singapur (157 tys. dol.) i Luksemburg (153). Mało tego, wyprzedzają nas m.in. Czechy (59) i Litwa (57), choć pozostałe państwa z regionu zostawiliśmy już w tyle. Według MFW za pięć lat w naszym zasięgu mogą być już Włosi, Brytyjczycy, a nawet Francuzi.

A co się stało z Japończykami? W latach 90. wpadli w kryzys gospodarczy, z którego w zasadzie do dziś się nie wygrzebali. Po drodze jeszcze pękła im bańka na rynku aktywów, zestarzeli się, przemysłowo są potężni, ale mają niewydajny sektor usług, na których stoją współczesne gospodarki. A co się stało z Polakami? No cóż, napracowaliśmy się.

ŁUKASZ WÓJCIK

Sebastian M. zrzuca z siebie winę

Po ekstradycji ze Zjednoczonych Emiratów Arabskich Sebastian M. nie przyznał się do winy. Co więcej – to siebie przedstawia jako ofiarę tragicznego wypadku na autostradzie A1. We wrześniu 2023 r. pod Piotrkowem Trybunalskim zginęła trzyosobowa rodzina z Myszkowa (woj. śląskie). W ich Kię uderzyło podrasowane BMW, którym kierował Sebastian M., 32-letni wówczas biznesmen i syn łódzkiego przedsiębiorcy. Nie został zatrzymany, a kilka dni później przez Niemcy i Turcję dotarł do Emiratów. Jego sprowadzenie do Polski było przetarciem szlaków w świeżej (weszła w życie w czerwcu 2023 r.) umowie ekstradycyjnej pomiędzy oboma krajami, co wymagało wsparcia dyplomatycznego polskiego rządu. Rejsowy samolot z Sebastianem M. na pokładzie wylądował w Polsce 26 maja.

Zanim to się jednak stało, M. udzielił wywiadu – nie dziennikarzowi, lecz Zbigniewowi Stonodze, wideoblogerowi z wyrokami karnymi na koncie, który zasłynął z publikacji akt śledztwa afery podsłuchowej (2014 r.). Sebastian M. mówił, że jechał lewym pasem niemal pustej autostrady z prędkością 160–170 km/h, gdy „znikąd, nie wiem, z jakiego powodu samochód Kia zjechał ze skrajnie prawego pasa" tuż przed jego BMW i „doszło do kolizji". M. widział słup ognia, ale rzekomo nie był świadomy tragicznych skutków wypadku. Za granicą ukrywał się z powodu – jak to ujął – nagonki ze strony ówczesnego ministra sprawiedliwości Zbigniewa Ziobry, mediów i opinii publicznej. „Nie ma dnia, abym nie myślał o ofiarach" – zapewniał, ale nie przeprosił bliskich ofiar i nie wyraził skruchy. Nie przyznał się do winy także prokuratorowi.

– *W przestrzeni publicznej Sebastian M. może mówić, co zechce, ale to nie ma znaczenia procesowego* – komentuje prok. Izabela Knapik z Prokuratury Okręgowej w Katowicach, gdzie prowadzone jest śledztwo. Według ustaleń biegłych M. jest „jedynym i bezpośrednim sprawcą", jechał z prędkością „co najmniej 253 km/h". Za spowodowanie wypadku ze skutkiem śmiertelnym grozi mu od pół roku do ośmiu lat pozbawienia wolności, w praktyce sądy orzekają co najmniej cztery lata więzienia. M. jest aresztowany na miesiąc, ale areszt zostanie zapewne przedłużony, a ukrywanie się przed wymiarem sprawiedliwości sąd uwzględni także w wyroku.

Prokuratura nie planuje zaostrzenia kwalifikacji prawnej czynu. W opinii pełnomocnika bliskich ofiar mec. Łukasza Kowalskiego materiał dowodowy jest „obszerny i szczelny". Bliscy nadal korzystają z terapii psychologicznej, ich cierpienie spotęgowała ucieczka M., przewlekanie ekstradycji i lęk, że sprawca uniknie kary. (ZBOR)

eprasa.pl 89558b6b43

Zapomniane święto

Obchody rocznicy wyborów 4 czerwca 1989 r. zostaną w tym roku przyćmione powyborczą zawieruchą. Świętował będzie przede wszystkim Gdańsk. Na pl. Solidarności w środę o godz. 12 odbędzie się uroczystość z podniesieniem flag, odegraniem hymnów Polski i UE oraz z wystąpieniami przedstawicieli władz lokalnych i państwowych, w tym Lecha Wałęsy i prezydentki Gdańska Aleksandry Dulkiewicz. W Warszawie w tym roku nie zwołano okolicznościowego marszu – jak rok temu, na kilka dni przed wyborami do Parlamentu Europejskiego. Donald Tusk apelował wówczas o udział w wiecu na pl. Zamkowym w Warszawie: „4 czerwca to dzień, w którym Polacy pokonali zło" – przypominał. Największa mobilizacja miała jednak miejsce **4 czerwca 2023 r.** – 380 tys. osób przemaszerowało przez Warszawę przeciwko tzw. lex Tusk i z okazji rocznicy wyborów.

Skromne uroczystości przewidziano w Sejmie i w Senacie. Małgorzata Kidawa-Błońska razem z przewodniczącymi izb wyższych Francji i Niemiec (którzy będą w Warszawie z okazji Spotkania Przewodniczących Senatów państw Trójkąta Weimarskiego) złożą wieniec pod pomnikiem Solidarności. Kancelaria Sejmu i Kancelaria Prezesa Rady Ministrów do końca maja nie potrafiły określić, w których uroczystościach wezmą udział marszałek Sejmu oraz premier. „Decyzje podejmowane będą w krótkich terminach" – usłyszeliśmy.

Upamiętnienie wydarzenia, które było początkiem końca komunizmu w Polsce, zawsze rodziło różne problemy. Dopiero w 2013 r. Sejm ustanowił 4 czerwca Dniem Wolności i Praw Obywatelskich. Za rządów PiS dominowała narracja, że najpierw doszło do spisku elit w Magdalence (powtarza to m.in. Jarosław Kaczyński), przy Okrągłym Stole komuniści podzielili się władzą z własnymi agentami, żeby 4 czerwca 1989 r. przeprowadzić „zbojkotowane przez wielu Polaków wybory, tylko częściowo wolne, z zasadami zmienionymi w trakcie, by ratować listę krajową i kandydatów PZPR".

Kiedy w 30-lecie wyborów Gdańsk organizował obchody, PiS w kolebce Solidarności celebrował rocznicę pierwszej pielgrzymki Jana Pawła II do Polski. Wygumkowywanie ze społecznej świadomości święta 4 czerwca, a także nieumiejętne próby przejęcia i celebrowania rocznicy przez obecną koalicję rządzącą, skutkują tym, że opowieść o tym dniu albo mocno dzieli (starsze pokolenia), albo budzi dość letnie skojarzenia (pokolenia milenialsów i zetek). Spoiwa międzypokoleniowego brak. A szkoda. (AGSZCZ)

Egzamin z cierpliwości

Egzaminy za nami, najgorsze przed nami – mówią sarkastycznie zdający egzaminy ósmoklasiści i maturzyści. Najgorsze – czyli czekanie na wyniki. Egzamin ósmoklasisty (między 13 a 15 maja) zdawało w tym roku 355 tys. uczniów; matury (między 5 a 24 maja) – 275 tys. absolwentów szkół ponadpodstawowych. Pisemne egzaminy maturalne na poziomie podstawowym – z polskiego, matematyki i języków obcych – trwały trzy dni, potem przyszedł czas na egzaminy ustne z języka polskiego i egzaminy pisemne na poziomie rozszerzonym. Każdy absolwent ma obowiązek podejść do przynajmniej jednego z nich. Wyniki matur rozszerzonych są głównym kryterium przy rekrutacji na studia wyższe na uczelniach publicznych. Z kolei wyniki egzaminów ósmoklasisty ważą przy rekrutacji do szkół ponadpodstawowych.

Problem w tym, że na rezultaty obu trzeba czekać aż do początku lipca (ósmoklasiści w tym roku poznają wyniki 4 lipca, a maturzyści 8). Nerwy dodatkowo szarpie

fakt, że kto zechce się od wyników odwołać, nie ma szans dostarczyć ewentualnie skorygowanych danych do szkół średnich (czy wyższych) w pierwszym terminie rekrutacji. Może liczyć na szczęście dopiero w rekrutacji uzupełniającej. Tak to jest źle skoordynowane.

Dyrektor Centralnej Komisji Egzaminacyjnej Robert Zakrzewski nie uważa jednak, że czas oczekiwania na wyniki egzaminów jest długi. Zwraca uwagę, że w ponad 40 dni egzaminatorzy – na ogół czynni nauczyciele – sprawdzają bowiem ponad 1,1 mln arkuszy ósmoklasistów oraz 1,4 mln arkuszy maturzystów, równolegle prowadząc egzaminy ustne. Do tego dochodzi 800 tys. egzaminów zawodowych oraz liczne czynności przygotowawcze i techniczne. – *Skrócenie tego czasu byłoby zapewne wykonalne – choć nie w znaczącym stopniu – jeżeli egzaminatorzy mogliby sprawdzać prace w dni inne niż weekendy. Pracujemy nad rozwiązaniem polegającym na ocenianiu zeskanowanych prac na monitorze komputera i pracy w miejscu innym niż ośrodek sprawdzania* – mówi.

Kolejną oszczędność czasu (około tygodnia) mogłaby przynieść rezygnacja z zaświadczeń o wynikach egzaminów w wersji papierowej i korzystanie tylko z danych w wersji elektronicznej. To rozwiązanie, nad którym – według zapewnień – również pracują specjaliści.

Ale na razie jest tak, jak było dotychczas – mimo podnoszonych od lat apeli, żeby uczłowieczyć i egzaminowanie, i przebieg rekrutacji. Paradoks polega na tym, że zgodnie z rozbudowanymi procedurami maturalnymi zdający są traktowani jak dzieci (np. wypuszczanie maturzystów do toalet tylko w towarzystwie nauczycieli), a nie jak osoby, które – jakkolwiek patrzeć – zdają egzamin dojrzałości. Choć czekanie na wyniki z pewnością tej dojrzałości wymaga. Również od ósmoklasistów. (J. CIEŚL.)

© ADAM ŁAWNIK/EAST NEWS, JACEK DOMIŃSKI/REPORTER, TOMASZ JASTRZĘBOWSKI/REPORTER

eprasa.pl 89558b6b43

Śmiercionośna „Pajęczyna”

Jeśli potwierdzą się informacje strony ukraińskiej, był to **najskuteczniejszy atak dronowy w historii**. W niedzielę 117 niewielkich dronów czterowirnikowych z ładunkami wybuchowymi zaatakowało cztery bazy lotnicze głęboko na terytorium Rosji, m.in. w pobliżu Murmańska i przy granicy z Mongolią. W wyniku ukraińskiego ataku zniszczonych lub poważnie uszkodzonych zostało ok. 40 bombowców strategicznych Tu-95 i Tu-22, których Rosja używa do wystrzeliwania pocisków dalekiego zasięgu rażących ukraińskie miasta. Wartość strat ocenia się na 7 mld dol. A wszystko to w przeddzień kolejnej rundy rosyjsko-ukraińskich negocjacji.

Operacja „Pajęczyna”, według prezydenta Wołodymyra Zełenskiego, który osobiście ją nadzorował, była przygotowywana od 18 miesięcy. Najpierw uzbrojone drony trafiły potajemnie na terytorium Rosji. Tam współpracownicy ukraińskich służb załadowali je do drewnianych kontenerów. Te z kolei przed samym atakiem załadowano do przyczep tirów, które stanęły w pobliżu rosyjskich lotnisk. Ukraińcy chwalą się już dronami o zasięgu 3 tys. km, ale te użyte w ataku były standardowe – chodziło o jak najkrótszy lot do celu, żeby rosyjska obrona przeciwlotnicza nie zdążyła zareagować. Ukraińcy najpierw zdalnie otworzyli dachy kontenerów, a potem uruchomili drony, które nawigowały, korzystając z rosyjskiej sieci. Najdalsza z zaatakowanych baz, Biełaja, znajduje się w obwodzie irkuckim, 4 tys. km od granic Ukrainy. Zełenski twierdzi, że jego służby zlikwidowały w ten sposób jedną trzecią rosyjskich samolotów dalekiego zasięgu, niezbędnych do atakowania Ukrainy. Straty są tym większe, że Rosja nie produkuje już Tu-95 i Tu-22. Przed atakami miała ich odpowiednio 58 i 54 sztuki (według bazy danych Military Balance), ale nie jest jasne, ile było jeszcze sprawnych.

Ostatni weekend był wyjątkowo intensywny na froncie. W nocy z soboty na niedzielę Rosjanie wystrzelili w stronę Ukrainy 472 drony, co również jest nowym rekordem. Jednocześnie w okolicy Kurska i Briańska doszło do zniszczenia dwóch rosyjskich mostów kolejowych, za co prawdopodobnie odpowiadają Ukraińcy. A wszystko to w kontekście drugiej tury bezpośrednich rozmów rosyjsko-ukraińskich, które rozpoczęły się w poniedziałek w Stambule. Przed tym spotkaniem Kijów przypomniał swoje warunki: całkowite zawieszenie broni, uwolnienie pozostałych jeńców i oddanie dzieci porwanych przez Rosję. Udana operacja „Pajęczyna” zapewne da Ukraińcom psychologiczną przewagę podczas rozmów.

Piła mechaniczna i podbite oko

Elon Musk przestał być szefem DOGE, specjalnego biura w rządzie Donalda Trumpa, którego zadaniem było radykalne odchudzenie federalnej administracji. Na pożegnalne spotkanie z prezydentem w Gabinecie Owalnym przyszedł z podbitym okiem. Wytłumaczył, że to od ciosu kilkuletniego synka podczas zabawy w mecz bokserski, ale czarne znamię było symbolem upadku najbogatszego człowieka z niedawnego piedestału. Nie udało mu się tak zmniejszyć biurokracji rządowej, by zaoszczędzić, jak obiecał, 1 bln dol. Redukcje przyniosły 175 mld dol. oszczędności, ale według ekspertów to też liczba naciągnięta. A ciął etaty nie skalpelem, lecz piłą mechaniczną, likwidując programy czasem ważne dla bezpieczeństwa obywateli, a radykalne redukcje wydatków na pomoc zagraniczną grożą śmiercią głodową dzieci w biednych krajach.

Fiasko DOGE to kolejny z kłopotów Muska. Kampania przeciw samochodom Tesla po jego wejściu do ekipy Trumpa

spowodowała drastyczny spadek akcji jego sztandarowej firmy. Rakiety Starship, którymi ma zawieźć Amerykanów na Księżyc, a potem na Marsa, eksplodują po starcie jedna za drugą. Jego sondaże zadołowały. Za ogromne wydatki państwa Musk obwinił nie porażkę z DOGE, tylko Republikanów, których uchwalona w Kongresie „wielka piękna ustawa”, poparta przez prezydenta, powiększy dług publiczny o 3 bln dol. Jego publiczna krytyka rozrzutników wywołała spekulacje, że pokłócił się z Trumpem i z Partią Republikańską, którą przestanie wspierać wielomilionowymi donacjami.

W Gabinecie Owalnym prezydent nie szczędził mu jednak komplementów, a Musk odwzajemniał się swoimi. Trump nie przejmuje się marnymi wynikami DOGE – cięcia administracji były mu potrzebne do pozbycia się wrogów w kluczowych resortach i pokazania fanom z MAGA, jaki jest twardy. Rosnące deficyt i dług go nie obchodzą. Musk wykonał za niego brudną robotę i posłużył za wygodny piorunochron, kanalizując gniew tysięcy ludzi wyrzucanych na bruk przez prezydenta. A jako biznesmen będzie nadal potrzebował poparcia Trumpa, bo jego kosmiczna korporacja SpaceX współpracuje z NASA.

Jednak Musk niekoniecznie będzie żałował przygody z DOGE. Pod jego kierownictwem biuro uzyskało dostęp do danych osobowych milionów Amerykanów. Może ich teraz użyć dla rozmaitych brzydkich celów. Do czego jest zdolny, wskazuje wiele sygnałów.

TOMASZ ZALEWSKI Z WASZYNGTONU

© X.COM, EVAN VUCCI/AP/EAST NEWS, ANA BRIGIDA/AP/EAST NEWS, SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 89558b6b43

Portugalia też

Po doliczeniu głosów oddanych za granicą sprawdziły się przewidywania – skrajnie prawicowa partia Chega (Dosyć!) stała się po przyspieszonych wyborach drugą siłą w portugalskim parlamencie. Wysunęła się przed socjalistów, którzy jeszcze niedawno, rządząc osiem lat, mieli większość absolutną, i rozbiła obowiązujący od półwiecza, od rewolucji goździków, układ naprzemiennych rządów socjalistów i centroprawicy. Antysystemowa Chega powstała sześć lata temu i zaczynała od jednego posła; teraz ma ich 60. Firmuje ją wygadany 42-letni **André Ventura**, prawnik, były seminarzysta i popularny komentator sportowy. Jego partia dobrze się lokuje w nowym ultraprawicowym europejskim pejzażu. Eksploatuje strach przed imigrantami, zmęczenie klasą polityczną (gdzie afera goniła aferę) i zapalne tematy: dotkliwy kryzys mieszkaniowy i słabość opieki zdrowotnej.

Elementem wyróżniającym Chegę na tle innych ultraprawic jest umiarkowana retoryka antyunijna, dyskurs antyromski i zapożyczone od Antónia Salazara hasło „Bóg, honor i rodzina", odwołujące się do nostalgii za dyktaturą. To pewien fenomen, bo wydawało się, że tamta epoka w Portugalii dawno odeszła do historii. Partia Ventury jest silna w mediach społecznościowych i szczególnie popularna wśród młodych (55 proc. 18–35-latków sondowanych przez lizboński Uniwersytet Katolicki przymierza się do opuszczenia kraju). Co czwarty z tej grupy wiekowej mieszka już za granicą; co czyni Portugalię krajem o największej emigracji w Europie.

Były to już trzecie w ciągu trzech lat wybory parlamentarne. Premierem pozostał Luís Montenegro. Jego centroprawicowy Sojusz Demokratyczny, zdobywając teraz 91 mandatów, lekko umocnił notowania, ale daleko mu do samodzielnej większości 116 głosów, będzie ją musiał ad hoc organizować, co nie zapowiada stabilnych rządów. Ciążą też na nim zarzuty korupcyjne, a przyspieszone wybory były ucieczką do przodu. Teraz jednak przestały być rozwiązaniem. Co najwyżej przesuną Portugalię – i Europę – o jeszcze jeden krok na prawo.

Wiek duński

Dania będzie miała najwyższy wiek emerytalny na świecie – 70 lat. Na razie Dunki i Duńczycy przechodzą na emeryturę po 67. urodzinach. Kolejne psychologiczne bariery będą pokonywane stopniowo, rozłożono je na najbliższe piętnastolecie: 68 lat w 2030 r., 69 lat w 2035 r. i 70 lat w 2040 r. Jako pierwsze w tak zaprojektowany system wejdą więc osoby urodzone w 1971 r.

To konsekwentne podążenie tropem dotychczasowej strategii, zgodnie z którą wiek zakończenia pracy zawodowej dostosowuje się do zmian przewidywanej długości życia. Parlament przyjął nowe rozwiązania mimo skarg części obywateli i protestów związków zawodowych. Do tradycyjnie podnoszonych argumentów, zwłaszcza ze strony pracujących fizycznie lub manualnie, dochodzi i taki, że duńskie podatki i składki są bardzo wysokie. Stąd oczekiwanie, że będzie można na tyle szybko nabyć uprawnienia do świadczenia, by móc możliwie długo prowadzić „godne życie seniora".

Przesuwanie wieku emerytalnego jest z reguły politycznie kosztowne. O czym w 2023 r. przypomnieli Francuzi, którzy na podwyższenie granicy z 62 do 64 lat przeforsowane przez prezydenta Emmanuela Macrona odpowiedzieli starciami ulicznymi z policją. Ale i tak Francja nie kroczy tu w awangardzie. Obecnie przeciętny wiek emerytalny w Unii Europejskiej to 63,8 dla kobiet i 64,7 dla mężczyzn (w Polsce 60 i 65 lat) – niewielka różnica między paniami i panami wynika stąd, że większość krajów nie robi różnic dla płci. W każdym razie to Europa ma poziomy najwyższe. Górną granicą pozostaje 66–67 lat, nie tylko na północy i zachodzie kontynentu. Po rozwiązanie to sięgnęła też przeorana kryzysami Grecja. W 2027 r. do klubu „67" dołączy Hiszpania.

Globalny standard utrzymuje się znacznie niżej. Wśród ludnych krajów rekordzistami dołu listy z poziomem 59 lat pozostają Bangladesz i Indonezja (w tym drugim kraju limit dla obu płci podniesiono ostatnio 1 stycznia). Polityczną wrażliwość emerytur znają państwa, gdzie władze mają zwyczajowo ciągoty autorytarne. Jak w Turcji (58 lat dla kobiet i 60 dla mężczyzn) czy Rosji (58 i 63). Co ciekawe, poziom 60 lat przy przejściu na wcześniejszą emeryturę utrzymuje także żyjąca długo Japonia. Pełnię świadczeń nabywa się pięć lat później, w praktyce jednak wielu japońskich emerytów nadal pracuje zawodowo, także w pełnym wymiarze. Publiczne systemy emerytalne są skomplikowane, rozróżniają branże (zwłaszcza służby mundurowe), profesje, wielkość firm, liczą staż pracy w latach albo w dniach roboczych. Generalna zasada jest wspólna – na wysokość wypłacanych emerytur wpływa zazwyczaj zamożność społeczeństwa, przepracowany okres i suma składek odprowadzonych w życiu zawodowym.

eprasa.pl 89558b6b43

Jak to się stało

Po tej dramatycznej nocy trudno będzie się otrząsnąć jeszcze długo, być może przez lata. Szóstym prezydentem Rzeczpospolitej został człowiek z życiorysem, który powinien go wyłączyć z życia publicznego. To nie tylko katastrofa polityczna, ale też etyczna.

RAFAŁ KALUKIN

O Andrzeju Dudzie mówiono nieraz, że pojawił się trochę znikąd, został wyczarowany z kapelusza, nie miał podstawowych kwalifikacji do bycia prezydentem. Z Karolem Nawrockim jest inny problem, bo on akurat jest skądś, wywodzi się z konkretnych środowisk, ma dosyć już rozpoznane znajomości i afiliacje. Wciąż mało o nim wiemy, ale dostatecznie wiele, żeby

eprasa.pl 89558b6b43

© JACEK DOMIŃSKI/REPORTER

nie mieć złudzeń co do jego kondycji moralnej. I sporo się pewnie w przyszłości jeszcze dowiemy.

Osobistą odpowiedzialność ponosi za to wszystko Jarosław Kaczyński. Nawrocki jest w końcu jego „decyzją". Można oczywiście spekulować, czy jej sobie w głębi duszy dzisiaj winszuje. Po wyborze Dudy prezes ponoć nigdy nie zaakceptował faktu, iż gabinet zajmowany w przeszłości przez jego brata przejął polityk tak miernego formatu. Niemniej z perspektywy wyczulonego na punkcie inteligenckiej kindersztuby Kaczyńskiego ustępujący wkrótce prezydent mimo wszystko spełniał elementarne kryteria, przynajmniej jeśli chodzi o pochodzenie i ogólną ogładę. Jak w takim razie potraktuje kolejnego wychowanka?

Lech Kaczyński był człowiekiem Solidarności. Karol Nawrocki przynajmniej otarł się o społeczny margines. I bynajmniej nie jest to kariera self-made mana, który dzięki ciężkiej pracy wyszedł na ludzi. Charakterystyczne, że w kampanii sztabowcy PiS nawet nie próbowali budować takiej legendy. Pewnie mieli świadomość, iż byłoby to szyte zbyt grubymi nićmi. Wiele pojawiło się po drodze dowodów, iż kandydat nie zerwał więzów z przeszłością, że jego relacje ze światem przestępczym i subkulturą kibicowską (co w znacznej mierze się pokrywa) nigdy nie wygasły. Że ten świat go fascynuje i nawet uczynił go przedmiotem swoich publikacji jako historyk. Pozbawiony skądinąd istotnego dorobku naukowego, bo swoje wcześniejsze awanse na dyrektora Muzeum II Wojny Światowej i prezesa IPN też przecież zawdzięczał wyłącznie skrajnej dyspozycyjności politycznej.

Przed laty Kaczyński z nieukrywaną pogardą komentował podwórkowe dzieciństwo Donalda Tuska i jego zamiłowanie do futbolu, zaliczając go do „lumpenproletariatu". Ideą założycielską Prawa i Sprawiedliwości była walka ze światem zorganizowanej przestępczości, co wpisywano w paradygmat „rewolucji moralnej". Biorąc sobie na koalicjanta Andrzeja Leppera, obniżył później etyczną poprzeczkę, ale kiedy wybuchła afera ze stręczeniem kobiet działaczom Samoobrony, wciąż nie potrafił ukryć obrzydzenia. Dzisiaj w sylwetce Nawrockiego spotykają się wszystkie te wątki. I nic, cisza albo puste zaprzeczenia.

To nie tylko kwestia sumienia Kaczyńskiego, lecz całej pisowskiej prawicy. Z dystyngowanym prof. Andrzejem Nowakiem, który stanął na czele komitetu poparcia „kandydata obywatelskiego", chociaż z pewnością nie miał złudzeń co do zawodowych i etycznych kwalifikacji tego człowieka. I w ogóle kłopot z szerokim profesorskim gronem z orbity PiS, podobnie jak pozującym na arystokratę ducha Bronisławem Wildsteinem, innymi dawnymi opozycjonistami, publicystami starej daty obnoszącymi się ze swoim zamiłowaniem do Herbertowskiej poezji, szczególnie owej mitycznej „kwestii smaku". To przecież niemożliwe, żeby wierzyli w propagandowe narracje o nieposzlakowanym Nawrockim, któremu służby Tuska i usłużne media spreparowały biografię.

Ostatecznie jednak to polscy wyborcy wybrali sobie takiego prezydenta. Dostał 10,6 mln głosów, czyli o 160 tys. więcej niż pięć lat temu Duda. I znacząco więcej niż wszyscy poprzednicy, poczynając od Lecha Wałęsy. Im bardziej dewaluuje się na przestrzeni ostatnich dwóch dekad ustrojowa ranga prezydentury, tym silniejszy staje się demokratyczny wyborczy mandat kolejnych prezydentów. Ot, taki paradoks.

Ale ten rekordowy wynik w istocie niewiele znaczy. Nawrocki choćby w najmniejszym stopniu nie zawdzięcza go przecież temu, kim jest, co w kampanii zaprezentował, do czego się zobowiązał. Nie sprawdził się nawet jako produkt marketingowy, co zresztą również odróżnia go od Dudy, który przynajmniej potrafił za pierwszym razem czymś oczarować swoich wyborców, rozbudzić w ich sercach jakąś nadzieję. Rychło się oczywiście okazało, że była to tylko retoryczna osłona dla autorytarnego projektu Kaczyńskiego, ale to już inna sprawa. Nawrocki niczym nie czarował i niczego nie rozbudzał. Miesiącami przeżuwał puste ideologiczne formułki, z których nie wyłonił się choćby zarys wizji prezydentury. I nazajutrz po wyborach trudno powiedzieć, co takiego właściwie obiecał poza ogólnikami o „służbie państwu polskiemu".

Prezydent Nawrocki jest esencją negatywności w polityce. Trochę jak Donald Trump, chociaż też nie do końca, bo żerujący na najniższych społecznych instynktach amerykański prezydent mimo wszystko realizuje autorski projekt. Niewykluczone, że Nawrockiemu również przyświecają takie ambicje, chociaż w naszym ustrojowym systemie raczej trudno będzie o ich ▶

eprasa.pl 89558b6b43

▶ realizację. I z pewnością nie po to został wybrany, bo sporej części jego wyborców – tych, którzy przeważyli – chodziło po prostu o to, żeby nie wygrał jego konkurent. Nie tyle zresztą sam Rafał Trzaskowski, ile jego szeroko pojęty polityczny obóz oraz utożsamiana z nim formacja kulturowa. Nawrocki to zatem ślepe narzędzie kary; pała bejsbolowa na elity, która akurat wisiała sobie na ścianie. Nawet już nie „elity liberalne" – jak w czasach rządów PiS – ale po prostu elity, do których tak samo należą Tusk, jak i Kaczyński. Triumf Kaczyńskiego w znacznej mierze też jest zatem pozorny. Następnym razem równie dobrze to on może oberwać.

1 czerwca to był polityczny dzień dziecka: o minimalnym zwycięstwie Nawrockiego zdecydowali młodzi wyborcy. To był bunt młodego pokolenia, które po raz pierwszy w dziejach III RP stało się suwerennym podmiotem politycznym. Już od dawna się na to zanosiło, ale kolejne symptomy przeważnie były bagatelizowane. Już wyniki pierwszej tury unaoczniły naturę i skalę tego zjawiska. Przy nadzwyczajnej mobilizacji najmłodszych kohort wiekowych, szczególnie ludzi poniżej trzydziestki, zakwestionowany został „duopolowy" podział sceny: w grupie najmłodszych wyborców Trzaskowski dostał wtedy raptem 13 proc. głosów, a Nawrocki – 11 proc. Niewiele lepiej zresztą obaj wypadli wśród trzydziestoparolatków. Triumfowali kandydaci pokoleniowi, czyli Sławomir Mentzen, Adrian Zandberg oraz Grzegorz Braun.

Teoretycznie można więc było się spodziewać, że wielu młodych wyborców wycofa się w drugiej turze. I gdyby tak się stało, mielibyśmy do czynienia po prostu z kolejną odsłoną starej wojny Polski Tuska z Polską Kaczyńskiego. Przy dosyć wyrównanych siłach, chociaż stojące za nimi hufce zdążyły się już mocno przetrzebić. Niemniej to Trzaskowski wyszedłby z niej zwycięsko. Tak się jednak nie stało, gdyż wybory prezydenckie potrafią emocjonalnie angażować jak żadne inne. Rewolucja młodych zdążyła się rozpędzić i w decydującym starciu to oni rozstrzygnęli o wyniku wielkiej bitwy, chociaż – paradoksalnie – to nie ich wojna.

Liczby nie kłamią, wystarczy spojrzeć na struktury elektoratów z badania exit poll Ipsos. Udział wyborców powyżej sześćdziesiątki był identyczny w puli Trzaskowskiego i Nawrockiego – po 28 proc. Seniorzy byli jednak relatywnie słabo zmobilizowani. Tych w średnim wieku – czyli w grupach 40 plus oraz 50 plus – trochę więcej miał u siebie kandydat KO, łącznie o 3,6 pkt proc. Z kolei młodzi przed czterdziestką zajęli nieco więcej przestrzeni – o 3,3 pkt proc. – w torcie kandydata PiS. Na tyle licznie się jednak zmobilizowali, żeby przeważyć szalę na korzyść Nawrockiego.

Dlaczego akurat jego, skoro dwa tygodnie wcześniej praktycznie nie dali mu szansy? Swoje oczywiście zrobił ogólny przechył politycznych postaw młodego pokolenia na prawo. Bo co do zasady, kod ideologiczny zadziałał w drugiej turze: wyborcy Mentzena i Brauna w większości poparli Nawrockiego, a zwolennicy Zandberga – Trzaskowskiego. Tyle że ów przechył wcale nie wydaje się ugruntowany. Przecież niecałe dwa lata temu największym poparciem młodych wyborców cieszyły się jeszcze KO oraz Lewica Czarzastego (chociaż wtedy jeszcze z Zandbergiem u boku). Na tej podstawie zrodziło się nawet złudne przekonanie w szeregach koalicji, iż młodzi jak kiedyś znów stoją za Tuskiem i Trzaskowskim. Niewątpliwy sukces Campusu Polska Przyszłości tego ostatniego mógł zresztą jeszcze podtrzymywać taką nadzieję. Okazała się ona jednak fałszywa, gdyż w 2023 r. młodzi w pierwszej kolejności po prostu głosowali za odejściem Kaczyńskiego, który nie spełnił ich oczekiwań. W tym roku ukarali za to samo Tuska.

I tak się złożyło, że nie mogli uczynić tego inaczej, niż popierając kandydata PiS. Wciąż jest ich w końcu trochę zbyt mało, żeby rozsadzić „duopol". Przede wszystkim są jednak ideowo rozproszeni i nie byli w stanie wyłonić wspólnego kandydata młodego pokolenia. Na razie mogą więc tylko lawirować w granicach „duopolu", wybierając aktualnie mniejsze zło, co jak widać jest kwestią płynną. Ale czas biegnie na ich korzyść. Z gruntu fałszywe były więc stereotypowe komentarze powyborcze o dwóch zwaśnionych Polskach. To tylko ordynacja wymusza podział mniej więcej pół na pół. W istocie mamy dzisiaj do czynienia z trzema silnymi grupami politycznymi. Ta najmłodsza – nie tylko pod względem wieku, ale też krystalizującej się w politycznej formie emocji – już teraz okazuje się najliczniejsza, chociaż jeszcze nie tak, jak złączone wspólnym konfliktem obie stare.

Ale czy Trzaskowski musiał przegrać? Nie zabraknie pewnie w najbliższym czasie cierpkich uwag o niedojrzałości młodego pokolenia, które odrzuciło polityka dużo bardziej kompetentnego, doświadczonego, obytego w świecie. Tylko że nie mają one większego sensu, a wręcz będą utwierdzać adresatów zarzutu w słuszności dokonanego wyboru. Bunt zazwyczaj jest ślepy, bardzo często irracjonalny. A tym, co go najlepiej oliwi, jest doświadczenie pogardy ze strony tych, przeciwko którym jest wymierzony.

Dziś można oczywiście spekulować, że może jednak energiczniejszy Radosław Sikorski byłby lepszym kandydatem. Tyle że on też byłby przecież obciążony rządową posadą i stygmatem starej elity. Kampania Trzaskowskiego niewątpliwie została źle zaprojektowana, chociaż początkowo wydawała się racjonalna. Kiedy startowała, nie było jeszcze widać rodzącej się nowej społecznej emocji. Nawrocki był drewniany i od razu zaczęły mu wypadać z szafy biograficzne szkielety. Objazdy Mentzena po Polsce wydawały się jeszcze mało ciekawą rutyną, a samodzielne wystawienie się Brauna – kandydata pod każdym względem niszowego – dodatkowo okrajało poparcie dla Mentzena.

Nikt wreszcie nie przewidywał, jak ogromna okaże się rola Kanału Zero w tej kampanii. Błazenada Krzysztofa Stanowskiego to tylko wierzchołek góry lodowej, tak naprawdę chodzi o medialny fenomen Kanału Zero, który już za chwilę może stać się głównym ośrodkiem krystalizacji młodej polityczności. Jej adepci policzyli się w gigantycznych zasięgach i poczuli swoją siłę. Premię na koniec zgarnął oczywiście Nawrocki, chociaż prawdziwymi bohaterami tej kampanii byli Stanowski i do pewnego stopnia Mentzen. To oni bowiem uwolnili dżina z butelki.

Znamienne, że na początku kampanii Trzaskowski mógł sobie jeszcze pozwolić na dezynwolturę, kiedy pytano go o ewentualne przyjęcie zaproszenia do Kanału Zero. Z czasem zrozumiał nowe reguły gry i spotkał się ze Stanowskim, ale wtedy to już było łapanie uciekającej młodej fali. Jego zaokrąglone przekazy miały sens jedynie w schemacie starej polaryzacji. Niezdarny Nawrocki co prawda próbował go sklejać z Tuskiem, ale słabo mu to wychodziło. Była to gra pozorów, w której kandydat PiS udawał „obywatelskiego", a kandydat KO – „zdroworozsądkowego" na lekko konfederacką modłę. Ich tkwiące w medialnych bańkach twarde elektoraty doskonale rozumiały taktyczne konieczności, od lat przyzwyczajone do tożsamościowej żonglerki

eprasa.pl 89558b6b43

Sztab Rafała Trzaskowskiego, godz. 21. Trwa świętowanie pierwszych szacunkowych wyników.

liderów. Aż nagle wdarła się w środek koturnowego spektaklu młoda polityczność, która poszukuje zwykle autentyczności. I uderzyła głównie w Trzaskowskiego, bo to on był faworytem i reprezentował aktualnie rządzący establishment.

I tutaj sklejki z Tuskiem już nie dało się ukryć. A Tusk po prostu zawiódł. Jego kurs na rozliczenie rządów PiS był uzasadniony logiką ustrojową oraz polityczną w schemacie starej polaryzacji. Nie potrafił jednak odpowiedzieć na lęki materialne, poczucie braku perspektyw młodego pokolenia, zwłaszcza na kryzys mieszkaniowy. Nie docenił jego rodzącej się podmiotowości i związanych z tym również symbolicznych potrzeb. Ale to nie tylko wina Tuska, właściwie cała liberalna strona prześniła zmianę. Spektakularnym tego przykładem było oczywiście Końskie, które – kolejny raz – wymyślone zostało przez sztab Trzaskowskiego pod kątem utwardzenia starego podziału. Konia z rzędem temu, kto wpadł na pomysł, żeby angażować w to akurat TVP, jakby nie wystarczyło poprzestać na stacjach komercyjnych.

Klęska Trzaskowskiego miała zatem wiele źródeł. Złożyły się na nią zaniedbania rządu, błędna strategia jego sztabu, nadgorliwość niektórych medialnych aktorów. Samemu kandydatowi też brakowało świeżości, chociaż miewał dobre momenty, szczególnie w rozmowie z Mentzenem, kiedy wreszcie opuścił gardę i był sobą. Ale to było za mało, za późno. Rzecz w sumie zadziwiająca, jak konsekwentnie nieudolne pozostaje jego środowisko polityczne w kampaniach. Wszystkie ważne wybory w dziejach PO wygrywał jednoosobowo Tusk: w debacie z Kaczyńskim, tuskobusie, ostatnio jako samotny szeryf „w samo południe". Ale machina kampanijna Platformy nigdy jak dotąd nie zadziałała jak należy.

Czekają nas teraz ponad dwa lata koszmarnej koabitacji. Bo też trudno się po Nawrockim spodziewać choćby nielicznych przejawów demokratycznej przyzwoitości, które czasem jeszcze przytrafiały się Dudzie. Wzmocniona niedzielnym sukcesem żądza rewanżu jego obozu politycznego będzie go pchała do twardych konfrontacji z rządem przy każdej okazji. Oczywiście możemy zapomnieć o uporządkowaniu chaosu prawnego. Nic się nie zmieni w sądach, prokuraturze, Trybunale Konstytucyjnym, prowizorycznie funkcjonujących publicznych mediach. Pół biedy, jeżeli nowy prezydent oprze się pokusie blokowania politycznie neutralnych inicjatyw legislacyjnych, szukania w nich dziur, siania czystej destrukcji. Głód kibicowskich ustawek zaspokoi brutalnymi radami gabinetowymi. No i zapewne czeka nas powrót wojen o krzesła, ambasadorskie nominacje, kontrolę nad generalicją. Polityka zagraniczna już na całego stanie się polem ideologicznej konfrontacji opcji trumpowskiej z unijną.

Ale czy koalicja jest na przegranej pozycji? Pamiętajmy, że legitymacja Nawrockiego jakościowo jest krucha. Można się zresztą spodziewać, że będą wypływać na powierzchnię kolejne biograficzne brudy, które ją dodatkowo osłabią. Z kolei Tusk psychologicznie zawsze najlepiej czuł się w warunkach ostrej konfrontacji z konkretnym przeciwnikiem, i teraz też nie odstawi nogi. Chociaż mimo wszystko powinien przyspieszać realizację kluczowych państwowych projektów, nie zasłaniając się wiszącym mu nad głową prezydenckim wetem. Wiele będzie oczywiście zależeć od spójności koalicji, szczególnie kalkulacji mającego skłonność do balansowania PSL. Podobno już wynegocjowana rekonstrukcja rządu ma temu zresztą służyć. Żaden z partnerów nie powinien czuć się pokrzywdzony zaplanowanym odchudzeniem gabinetu.

Ale też nie jest wcale czytelna pozycja Kaczyńskiego. Na razie ocalił swój autorytet i jeszcze w tym miesiącu prolonguje formalne przywództwo w PiS. Co nie zmienia faktu, że jego kariera polityczna znajduje się już w fazie schyłkowej. O relacji prezesa z Nawrockim niewiele wiadomo, a sporo pewnie wyjaśni obsada kancelarii. Nowy prezydent nie może być jednak dzisiaj pewien, czy to Kaczyński zdecyduje o jego nominacji w kolejnych wyborach za pięć lat, toteż zapewne będzie budował osobne relacje z pisowskimi frakcjami, żeby się jakoś zabezpieczyć. Konsolidacja może być więc po tej stronie jedynie chwilowa, a czasy wielkiego PiS tak czy inaczej pewnie już nie wrócą. Ostatnia kampania, chociaż zwycięska, bynajmniej nie ujawniła zdolności tego środowiska do odnowienia głównych politycznych kodów, które mogłyby poszerzyć społeczną bazę.

Bo jeśli coś naprawdę się dzisiaj poszerza, to luka pomiędzy starymi biegunami, z Mentzenem i Stanowskim w roli głównych wodzirejów trzeciej siły. Z bezpiecznej odległości będą teraz komentować polityczny chaos, zbierając dla siebie profity. A jak nie ci dwaj, to ktoś im podobny, co na jedno wychodzi, bo nie o konkretne nazwiska i szyldy tutaj chodzi, lecz ogólny model nowej polityki i nowych mediów. To coś dużo więcej niż antypolityczna krucjata Kukiza albo wyborczy *talent show* Hołowni, którzy nigdy nie dorobili się trwałej społecznej bazy. W polskiej polityce ruszyła z kopyta rewolucja pokoleniowa i odtąd nic już nie będzie takie samo.

RAFAŁ KALUKIN

© LESZEK ZYCH

eprasa.pl 89558b6b43

Jaka piękna katastrofa

Przemysław Sadura

Socjolog, profesor UW, kurator instytutu badawczego Krytyki Politycznej.

Jedno trzeba Koalicji Obywatelskiej przyznać: nikt tak jak ona nie potrafi przegrać tego, co miało być nie do przegrania. Kiedyś w kampanii prezydenckiej wyłożył się Donald Tusk. Później Bronisław Komorowski, który miał stracić rzekomo pewną reelekcję tylko w sytuacji, gdyby po pijanemu przejechał na pasach zakonnicę w ciąży. Udało mu się to zrobić bez osłabiania zasobu kadrowego Kościoła katolickiego. Do dziś zajmuje się więc… udzielaniem kolegom cennych rad, jak prowadzić kampanię prezydencką. Najwyraźniej skorzystał z nich sztab prowadzący kampanię Rafała Trzaskowskiego. Sam Trzaskowski na starcie dystansował wszystkich rywali w partii i poza nią. Potwierdzały to badania, które robiliśmy ze Sławkiem Sierakowskim na rocznicę wyborów parlamentarnych. Choć elektorat koalicji rządowej deklarował rozczarowanie, to Trzaskowski zdawał się być – jak to ujęliśmy – na autostradzie do prezydentury. Kto mógł przypuszczać, że sztab postanowi jechać nią pod prąd?

Dziś sztabowcy i liderzy KO zastanawiają się, na kogo zwalić winę za przegraną. Na liście są: mieszkańcy niektórych miast, którzy się nie zmobilizowali, dziennikarze piszący zbyt dużo o przeszłości Nawrockiego, Adrian Zandberg... Nie, to nie miasta zawiodły polityków, tylko politycy zawiedli wyborców. Koalicja rządowa powinna wyciągnąć z tego wnioski. Po półtora roku rządów ten wynik wyborów prezydenckich powinien być przesądzony. Tymczasem popełniono wszystkie błędy, które można było popełnić i jeszcze kilka dodatkowych. Kampania była źle stargetowana: od początku nastawiono się na uwodzenie wyborców prawicowych, zamiast mobilizować tych liberalno-lewicowych. Trzaskowski, zamiast prezentować wartości, które zaskarbiły mu sympatię progresywnie myślących Polek i Polaków, wił się jak piskorz, starając się a to nie przyjąć tęczowej flagi, a to zaatakować Ukraińców. Na debaty organizowane przez prawicę nie przychodził. Na tych, na których się pojawiał, wyglądał, jakby właśnie wyszedł ze szpitala. Kampania nie zdołała odpowiedzieć na największy deficyt koalicji demokratycznej: brak sprawczości. Trzaskowski obiecywał przyspieszenie, zmiany i ustawy. Jednak słowa to oręż opozycji. Rządzących rozlicza się z czynów.

Zabrakło pozytywnego przekazu, demonstracji jedności całej koalicji rządowej. Wygrać za dwa i pół roku będzie trudniej, niż wepchnąć korek do przedwcześnie otwartego szampana. Bez zmiany w wymiarze sprawczości będzie to po prostu niemożliwe.

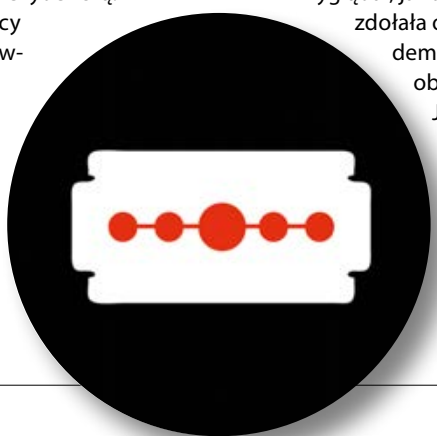

ILUSTRACJA **SYLWIA MARKIETA**

Brzemienne 370 tysięcy

Jakub Majmurek

Publicysta, „Krytyka Polityczna"

Karol Nawrocki wygrał z Rafałem Trzaskowskim o niecałe 370 tys. głosów. To mniej więcej tyle, ilu mieszkańców ma Szczecin. Ten „Szczecin" może jednak zdeterminować polską politykę do końca dekady, a nawet na dłużej.

Rządy koalicji 15 października coraz bardziej wyglądają jak krótka przerwa między dwoma okresami dominacji prawicy. Zwycięstwo Nawrockiego otwiera drogę do przyszłego rządu PiS–Konfederacja, w porównaniu z którym okres 2015–23 będzie można uznać za względnie spokojny. PiS gospodarkę zostawi Mentzenowi, a sam zajmie się rozliczaniem PO, biorąc na cel ludzi, którym od dwóch lat zarzuca „nielegalne przejęcie TVP" czy prokuratury. Wszystko to będzie się działo w zupełnie nowych warunkach międzynarodowych, gdy w sojuszu z trumpowską Ameryką PiS będzie czuł, że może pozwolić sobie na znacznie więcej – np. wobec mediów – niż jeszcze w czasach pierwszego Trumpa.

Jak doszło do tego, że to kandydat PiS – przy całym swoim bagażu – zdołał zebrać o „Szczecin więcej" od Trzaskowskiego? Już pierwsza tura pokazała nadzwyczajną mobilizację i determinację prawicy. W drugiej kandydata KO uratować mogła tylko mobilizacja na skalę tej z 2023 r. Eksperci przewidywali, że Trzaskowski zaczyna wygrywać w przypadku frekwencji przekraczającej 72 proc. – do czego zabrakło niecałego punktu procentowego.

Dlaczego? Częściowo wynika to ze słabej komunikacji rządu, częściowo z tego, że po prostu nie dowiózł on całego szeregu obietnic złożonych kluczowym grupom elektoratu, od przedsiębiorców do młodzieży. Wiadomo było od początku, że pogodzenie wszystkich odmiennych wartości, postaw i interesów składających się na koalicję 15 października – połączoną głównie chęcią przywracania porządku po PiS – będzie bardzo trudne. Nawet jednak biorąc to pod uwagę, nie sposób powiedzieć, by rząd wykorzystał dobrze czas, jaki dostał od wyborców w 2023 r.

Teraz potrzebne jest przyspieszenie i nowy pomysł na to, czemu ten rząd i wspierająca go koalicja mają dokładnie służyć. Są popularne kwestie wykraczające poza poparcie dla obecnej władzy, które rząd może obsłużyć, a PiS-owi ciężko będzie je zablokować – np. mieszkaniówka. Ciągle mamy w Polsce proeuropejską opinię publiczną, oczekującą innej polityki zagranicznej niż ta stawiająca wszystko na MAGA. Być może jest już za późno, by zapobiec scenariuszowi, w którym większość po kolejnych wyborach mają PiS i Konfederacja. Ale jeśli rząd nie wymyśli i nie opowie się na nowo, jeśli nie znajdzie sposobu na realizację tej opowieści, to na pewno nie będzie od tego ucieczki.

eprasa.pl 89558b6b43

Nowa warstwa betonu

Jarosław Kuźniar

Dziennikarz, twórca platformy podkastowej Voice House.

Znamy się z Polską 46 lat. To nie jest dla mnie wynik zaskakujący. To jest wynik, na który ponad połowa obywateli tego kraju po prostu zasługuje. Sztab prezydenta elekta żali się, że nie mógł przebić medialnej bańki. Że się wszyscy sprzymierzyli przeciwko kandydatowi Nawrockiemu. Mam poczucie, że największym wrogiem tego kandydata była jego przeszłość: szemrana transakcja z kawalerką, gangsterskie ustawki, w tle handlarze narkotykami, sutenerstwo. A mimo to ponad połowa Polaków wybrała Nawrockiego na swojego prezydenta. Mnie to nie cieszy i nie śmieszy, bo po ostatnich 10 latach funkcja prezydenta wymagała sprofesjonalizowania i odbudowy reputacji w świecie. Lubię się nie wstydzić za ludzi, z którymi mogę być kojarzony. Wychodzi jednak na to, że muszę jeszcze poczekać. Zniechęcająca jest motywacja w każdych polskich wyborach ostatnich lat: głosuję przeciwko, a nie za. Ze strachu, żeby nie było gorzej. A granica się przesuwa.

Po pierwszej turze, widząc, jak Polska brunatnieje, napisałem w komentarzu na X, że wyniki Mentzena i Brauna „sporo mówią o kondycji Suwerena". Dostałem odpowiedź czytelnika o pseudonimie Freel4ncer: „Tyle razy mijałem cię w Cambridge Innovation Center we wspólnej kuchni i gryzłem się w język, bo postanowiłem uszanować twoją prywatność – dzisiaj splunął bym ci w twarz karaluchu" [pisownia oryg. – red.]. Wynik drugiej tury wyborów prezydenckich tylko potwierdza, że co druga osoba na ulicy, w pracy, w sklepie, na koncercie nie ma ze mną nic wspólnego. Nie podziela moich wartości, stylu bycia, decyzji. Jest moim przeciwnikiem. I *vice versa*.

Jak w tym zacementowanym nową warstwą betonu społeczeństwie budować wspólnotę? Jak szukać języka? Jak rozumieć argumenty? To powinno być wyzwanie dla prezydenta. Ma demokratyczny mandat, ale nie zdobył mandatu moralnego. Wyniki wyborów pokazują, że większość moich współobywateli może nawet i docenia cwaniactwo, może nawet współczuje, że ktoś został złapany na gorącym uczynku. Powtórzone wielokrotnie zdanie: „Nie mamy pańskiego płaszcza i co nam pan zrobi" pozwala rozmywać odpowiedzialność. I doprowadza do sytuacji, w której świetnie odnajduje się Trump – produkuje tak wiele tak sprzecznych komunikatów, że ludzie zaczynają wątpić we wszystko, co słyszą na jego temat. Doskonały grunt do głębszej manipulacji.

ILUSTRACJA **PATRYK SROCZYŃSKI**

Rządzie – rządź

Anna Materska-Sosnowska

Politolożka, adiunkt UW, członkini zarządu Fundacja Batorego

Zwycięstwo Karola Nawrockiego nie obala rządu, teoretycznie podtrzymuje stan, który jest, czyli twardą koabitację, ale… praktycznie wszystko zmienia. Przede wszystkim przegrana po niespełna dwóch latach rządów to czerwona kartka dla rządzącej koalicji i samego premiera. Czy bez 11. zawodnika można grać? Tak. Czy można wygrać? Tak – pod warunkiem że cała drużyna tego naprawdę chce i jest gotowa „gryźć trawę".

Wydaje się, że decyzja o administrowaniu, o zarządzaniu, a nie rządzeniu, była świadomym zamiarem premiera Tuska. Miało być bez zbędnych sporów, co miało służyć wyborom prezydenckim. Ale brak determinacji rządzących w realizowaniu postulatów wyborczych zemścił się 1 czerwca. Nie będzie już lepszego czasu. Ten minął.

Wydaje się więc, że są trzy opcje: dymisja premiera i rządu, dalsze administrowanie lub przystąpienie do walki jak w 2007 r. i realne rządzenie. Ta ostatnia opcja jest najtrudniejsza, wymaga opanowania własnych szeregów, koalicjantów i twardych decyzji. Ale i – a może przede wszystkim – kadry. Czerwona kartka oznacza, że to najwyższy czas, a właściwie ostatni moment, na przegrupowania w szeregach. Tusk nie buduje legionu, silnej grupy, ale zawsze gra tylko na siebie. A to się teraz mści. Rząd czeka zatem głęboka rekonstrukcja – zarówno kadrowa, jak i zadaniowa. Do rządu powinni trafić ludzie nie tylko kompetentni, ale przede wszystkim decyzyjni.

Koabitacja ustawia wysokie progi proceduralne dla całej rządowej agendy. Teoretycznie Donald Tusk musi zdecydować, czy spowolnić własne reformy w imię kompromisu, czy też zaryzykować polityczną wojnę, w której straszak prezydenckich wet i „rozwiązania Sejmu" będzie wisiał nad każdym głosowaniem.

Spójność koalicji będzie testowana przez każde weto i legislacyjne inicjatywy prezydenta w sprawach światopoglądowych i socjalnych; utrzymanie narracji „jedność przeciw populizmowi" będzie wymagać stałych kompromisów. Ale też trzeba mieć świadomość, że prezydenckie weta mogą stworzyć wrażenie „blokady liberalnych eksperymentów", co prawica będzie wykorzystywać w kampanii w 2027 r.

Czy koalicjanci mają już pełną świadomość zaistniałej sytuacji i odpowiedzialności? Albo będą grali jako drużyna, powstrzymując swoje ambicje, albo czeka ich pełna marginalizacja w przedterminowych wyborach. Koalicja przetrwa, jeśli szybko nauczy się polityki „małych kroków" i utrzyma jedność w kluczowych sprawach. W przeciwnym razie Polska może wejść w okres powtarzających się kryzysów, które tylko pogłębią podział na dwa prawie równe obozy.

© ARKADIUSZ HAPKA (2), PIOTR WZIONTEK/SE/EAST NEWS/STUDIO POLITYKI

eprasa.pl 89558b6b43

Duda do kwadratu

Tomasz Nałęcz

Historyk, profesor UW, polityk; doradca prezydenta RP w latach 2010–15

Jak zawsze u progu kadencji najważniejsze pytanie dotyczy stylu rozpoczynającej się prezydentury, w tym relacji głowy państwa z rządem. Wybór Karola Nawrockiego oznacza kolejną koabitację, czyli sytuację, w której prezydent i rząd pochodzą ze zwalczających się obozów.

Koabitacja zawsze podnosiła temperaturę politycznego sporu. Jednak nie musiała to być od razu wojna na śmierć i życie, o czym najlepiej świadczy historia wcześniejszych prezydentur. Lech Wałęsa walczył z rządem SLD–PSL, ale obie strony zgodnie pracowały na rzecz członkostwa Polski w NATO i Unii Europejskiej. Podobnie było w czasie koabitacji Aleksandra Kwaśniewskiego i rządu Akcji Wyborczej Solidarność–Unii Wolności. Także Lech Kaczyński w polityce zagranicznej współpracował z rządem Donalda Tuska, powołanym jesienią 2007 r., narażając się bratu swoją zgodą na ratyfikowanie traktatu lizbońskiego, działającego na PiS jak płachta na byka.

W totalną wojnę na wyniszczenie koabitację zamienił dopiero Andrzej Duda, od początku bezpardonowo zwalczający rząd Donalda Tuska utworzony w grudniu 2023 r. Prezydent używał w tym starciu swojej najpotężniejszej atomowej broni, jaką jest wetowanie ustaw, bez których rządzenie krajem idzie jak po grudzie. Nawet nie próbował markować obiektywizmu, o czym najlepiej świadczyło jego bezprecedensowe zaangażowanie w kampanię wyborczą pisowskiego kandydata. Popierał go z taką zapalczywością, że nawet w bandyckich kibolskich bójkach, w których brał udział Nawrocki, dopatrzył się uroku baraszkujących małych niedźwiadków.

W wyniku takich zachowań prezydentura sięgnęła dna. Niestety wiele wskazuje na to, że po objęciu urzędu przez Karola Nawrockiego prorocza okaże się fraza Stanisława Jerzego Leca: „Kiedy znalazłem się na dnie, usłyszałem pukanie od spodu". Jarosław Kaczyński po to przecież postawił na wszystko mu zawdzięczającego Nawrockiego, by trzymać go na jeszcze krótszej smyczy niż Dudę. A intencji nie ma dobrych, bo chce zablokowania rozliczenia afer PiS-u i rewanżu za porażkę w wyborach z 2023 r. Będzie więc od nowego prezydenta oczekiwał, by był Dudą do kwadratu i w wojnie z rządem Tuska stosował taktykę „spalonej ziemi", bez umiaru wetując ustawy i jak tylko można, sypiąc piach w tryby państwowej maszynerii.

Wnioskując z przebiegu kampanii, można sądzić, że prezydent Karol Nawrocki podejmie się tego zadania z zapałem równym temu ze wspomnianych kibolskich ustawek. Będzie walczył z rządem jak na boksera wagi ciężkiej przystało, ceniąc sobie tylko nokaut.

ILUSTRACJA **OBYWATEL JANEK**

Sztuka zrażania

Anna Siewierska

Profesor Uniwersytetu Rzeszowskiego, politolożka.

Każda kampania wyborcza ma takie momenty, które szybko stają się symboliczne. Gdyby Rafał Trzaskowski wygrał, prawdopodobnie do historii przeszłyby zdjęcia ze wspólnego piwa ze Sławomirem Mentzenem i Radosławem Sikorskim oraz czerwone korale Joanny Senyszyn. To one ilustrowałyby informacje o przepływach elektoratów, mobilizacji i zwycięstwie. Ale kandydat KO przegrał i symbolicznym obrazem tej klęski zostaną zdjęcia posłanki Kingi Gajewskiej z workiem ziemniaków dla DPS oraz słowa posła PO Przemysława Witka: „Co szkodzi obiecać".

Oczywiście powodów przegranej, i to na ostatniej prostej, jest bardzo wiele, ale w czasach postpolityki to emocje społeczne decydują o ostatecznym wyniku wyborów i istotną częścią analizy politycznej powinna być próba zrozumienia zbiorowych odczuć. A one nie były dobre. Potencjalnym wyborcom Trzaskowskiego zafundowano prawdziwy rollercoaster. Sztab kandydata, na czele z mistrzami zrażania do siebie ludzi, czyli Sławomirem Nitrasem i Barbarą Nowacką, najpierw wymyślił, żeby polityka, który chodził na parady równości i publicznie popierał liberalizację prawa do aborcji, przemalować na konserwatystę. Prawicowych wyborców nie udało się przejąć, bo po co kupować podróbkę, skoro można mieć oryginał. Za to żelazny elektorat KO poczuł się skonfundowany, a ci, którzy zadecydowali o zwycięstwie w 2023 r., czyli młodzi i kobiety – oszukani. Największe atuty Trzaskowskiego, czyli inteligencję i doświadczenie międzynarodowe, sztabowcy postanowili w tej kampanii ukrywać, częściej zatem widzieliśmy kandydata rozdającego drożdżówki na podmiejskich targach niż prowadzącego rozmowy z zagranicznymi partnerami. I znowu – konsternacja i dysonans poznawczy wśród własnych wyborców, którzy zamiast dumy odczuwali głębokie zażenowanie sztucznością tych zaaranżowanych sytuacji, w których sam Trzaskowski czuł się wyraźnie nieswojo.

Kiedy na jaw zaczęły wychodzić kompromitujące informacje na temat Karola Nawrockiego, sztab uznał z kolei, że można odpuścić kwestie programowe oraz budowanie pozytywnego przekazu. Skoncentrowano się na straszeniu ciemną przeszłością kontrkandydata i powrotem PiS do władzy. Tyle że w straszeniu to prawica ma przewagę już na starcie; wzmożenie tylko pomogło Nawrockiemu, którego wyborcy PiS w końcu skleili ze swoją ukochaną partią.

Gwoździem do trumny było włączenie się w kampanię premiera Donalda Tuska, który tylko ułatwił obciążenie Trzaskowskiego błędami własnego rządu i zniechęcił do kandydata KO lewicowych wyborców – dla wielu z nich jest bowiem symbolem znienawidzonego liberalizmu.

Najgorsze jednak, czego możemy się teraz spodziewać, to rozliczenia. Ale nie własnych błędów sztabu, lecz wyborców, którzy „nie dorośli do demokracji".

© LESZEK ZYCH/STUDIO POLITYKI

eprasa.pl 89558b6b43

© WOJCIECH JARGIŁO/PAP

Sekrety Karola

Kogo naprawdę wybrali Polacy na prezydenta i jakich ludzi wprowadzi on do Pałacu?

ANNA DĄBROWSKA, KATARZYNA KACZOROWSKA

Prof. Andrzej Nowak, historyk, członek kolegium Instytutu Pamięci Narodowej, pytany o to, czy kandydatura Karola Nawrockiego na prezydenta Polski zrodziła się w głowie jego czy prezesa PiS Jarosława Kaczyńskiego, odpowiada, że za głowę ręczyć nie może, ale mówi: – *Pierwszy, który o Karolu Nawrockim powiedział, że może wystartować w wyborach prezydenckich, był prof. Grzegorz Motyka, też członek kolegium IPN i zdecydowany krytyk wybranego 1 czerwca prezydenta Polski.* Ale jeden ze znajomych Nawrockiego z IPN zdradza: – *O tym, że chce wystartować na prezydenta, słyszałem w Instytucie już dwa lata temu. Wtedy się z tego śmiałem, bo ten scenariusz wydawał się kompletnie nieprawdopodobny. A jednak...*

Strategiczny plan?

Karol Nawrocki ma 42 lata. W maju tego roku obchodził z żoną Martą 15. rocznicę ślubu. Cztery lata temu został wybrany na prezesa Instytutu Pamięci Narodowej. Dzisiaj już nikt nie chce pamiętać, że to powołanie było polityczną ustawką. 28 maja 2021 r. w Sejmie za wyborem Karola Nawrockiego na prezesa IPN głosowało 248 posłów, 198 było przeciw, a czterech się wstrzymało. Sylwetkę kandydata przedstawił prof. Wojciech Polak, dzisiaj przewodniczący kolegium IPN, podkreślając, że dewiza Karola Nawrockiego brzmi: „Prawda nie obroni się sama". Nie musiał nawet mówić w sali posiedzeń Sejmu, że jeśli Senat, będący wtedy w rękach opozycji, chce wybrać rzecznika praw obywatelskich i mieć na niego zgodę posłów, to musi przystać na prezesa IPN.

W sejmowym głosowaniu kandydaturę Nawrockiego poparło trzech posłów PSL-Koalicji Polskiej: Piotr Zgorzelski, Marek Sawicki i Jacek Tomczak. Prof. Andrzej Nowak: – *Moim kandydatem na prezesa Instytutu był ktoś inny. Ale po prezentacji przed członkami kolegium zdecydowałem, że poprę Karola Nawrockiego. Był dynamiczny, a przede wszystkim o pamięci historycznej i historii potrafił mówić językiem docierającym do młodych ludzi, co nie było domeną IPN.*

Jeden z dawnych znajomych z Instytutu mówi: – *Za poprzednich prezesów każdy mógł robić badania, jakie chciał, publikować, gdzie chciał. A Nawrocki twardo podporządkował linię Instytutu polityce historycznej PiS, a tych, którzy się z nią nie zgadzali, zwalniał. Stąd ta wielka niechęć do niego prof. Antoniego Dudka – Nawrocki zwolnił z pracy wielu jego znajomych.*

Kampania, zaplecze i kancelaria

Nasi rozmówcy z PiS, którzy przez ostatnie miesiące z bliska przyglądali się Nawrockiemu, pracowali z nim w sztabie i przejechali tysiące kilometrów w kampanii, są zgodni: Karol ma potrzebę zaznaczania swojej niezależności, często zdarza się, że zrobi coś po swojemu, ale zawsze w kierunku oczekiwanym przez nas. – *Jestem pewien, że nie będzie szedł na żadną wojnę z Jarosławem, bo w większości spraw ma poglądy takie jak prezes, tylko czasami wyraża je bardziej radykalnie. Niektóre tematy prezes traktuje jako narzędzie polityczne, a Karol w nie mocno wierzy* – twierdzi nasz rozmówca z okolic Nowogrodzkiej.

Prezes miał podobno mówić, że ceni Karola za to, że nie jest tak naiwny jak Andrzej Duda, który wyrósł z Unii Wolności i wierzył, że mimo wszystko trzeba siadać do stołu ze wszystkimi i jakoś się ▶

eprasa.pl 89558b6b43

▶ dogadywać. Osoba, która zna Kaczyńskiego: – *Prezes zobaczył w Karolu postawę boksera, która jest potrzebna w polityce. Kaczyński nie będzie musiał go przekonywać, że w UE nie chodzi wcale o żadną praworządność, ale że to jest ostra walka o władzę i pieniądze.*

Nawrocki nie ma w PiS żadnego politycznego zaplecza i będzie meblował Kancelarię Prezydenta głównie nazwiskami z listy spisanej przez Kaczyńskiego. Ale wcale – przynajmniej na razie – nie ma tak wielu chętnych. Z ministrów z zaplecza Dudy raczej nikt nie zostanie, bo Kaczyński na to nie pozwoli. Z pewniaków – ministrem odpowiadającym za Biuro Polityki Międzynarodowej zostanie Jacek Saryusz-Wolski, o którym Karol Nawrocki wprost mówi, że jest jego doradcą do spraw europejskich. Po czterech kadencjach spędzonych w Parlamencie Europejskim (najpierw pod szyldem PO, a potem PiS) przepadł w eurowyborach w 2024 r.

Kiedy pytamy polityków mocno zaangażowanych w sukces Nawrockiego, pada podobna odpowiedź do tej: – *Mentalnie i osobowościowo nie jest mi blisko do Karola. Jemu naprawdę bliżej jest do Konfy niż do PiS, nie ma politycznego doświadczenia i jest typem wodzireja. W kampanii to grało, ale nie wyobrażam sobie z nim współpracy.* Nasz rozmówca dodaje jednak: – *Jeśli jednak Jarosław powie, że mam iść na Krakowskie Przedmieście, to nie będzie wyjścia.*

Do Pałacu bardzo chce się dostać Jacek Kurski, a szansę na to, by dłużej zagrzać tu miejsce, ma dostać Andrzej Dera (odpowiada za interwencje prawne, odznaczenia i współpracę z Polonią). Na sukces Nawrockiego w sztabie ostro pracowali posłowie Andrzej Śliwka, Przemysław Czarnek i sam szef kampanii Paweł Szefernaker, którego wymienia się jako przyszłego szefa kancelarii, ale ta trójka nie ma zamiaru rezygnować z mandatów. Ich ambicje są większe niż praca dla prezydenta Nawrockiego – chcą dbać o swoje wpływy w PiS, a po kolejnych wyborach wrócić do rządu.

Współpracownicy i koledzy

Wiadomo, że po wyborach prezydenckich parlament wybierze nowe władze IPN i niektórzy przeprowadzą się z Nawrockim do dużego Pałacu. Mówi się, że ważną osobą w otoczeniu nowego prezydenta będzie Sławomir Cenckiewicz, historyk z Gdańska, wsławiony na prawicy bojem o agenturalną przeszłość Lecha Wałęsy, dziś członek kolegium IPN. Dawniej miał żal, że sam nie został prezesem Instytutu, ale kiedy zorientował się, że nie ma szans, forsował Nawrockiego. – *Przesądziło to, że Cenckiewicz nie dawał Kaczyńskiemu gwarancji sterowalności. Ciekawe, czy prezes da mu zielone światło, aby wszedł do Pałacu, bo wiadomo, że będzie podburzał Karola.*

Nawrocki, pracując na zaufanie Kaczyńskiego po przegranych przez PiS wyborach parlamentarnych, pozatrudniał w IPN ludzi, którzy po zmianie władzy stracili stanowiska: Agnieszkę Kamińską, byłą prezes Polskiego Radia, Marcina Zarzeckiego, prezesa Polskiej Fundacji Narodowej za rządów PiS, wojewodę pomorskiego Dariusza Drelicha. Także kontrowersyjnego i słynącego z niewybrednych zachowań, nazywanego Misiewiczem Piotra Glińskiego, warszawskiego radnego Piotra Mazurka. Ale Nawrocki nie zapomina o starych znajomych, z którymi czuje o wiele silniejsze więzi, i z pewnością to oni będą dla niego więcej znaczyć w Pałacu, co może rodzić napięcia.

– *To my wyłożyliśmy pieniądze, zaangażowaliśmy cały aparat partyjny, i to Jarosław podjął decyzję, że Karol zostanie prezydentem, więc gdańskie środowisko musi to wiedzieć i znać swoje miejsce* – mówi poseł PiS. Chodzi o ulubienice Nawrockiego, które ściągnął do Warszawy z Muzeum II Wojny Światowej: Magdalenę Hajduk, specjalistkę od marketingu cyfrowego, i Karolinę Imianowską, która w Gdańsku nadzorowała słynne apartamenty w siedzibie muzeum. To ona ma odpowiadać za utylizację 8 tys. albumów muzeum wartych 200 tys. zł.

Ktoś z PiS mówi, że na pewno w Pałacu ważną rolę dostanie Grzegorz Berendt. „Na IV roku studiów dostałem wielką szansę" – mówił Karol Nawrocki w lechiahistoria.pl. Dał mu ją właśnie dr hab. Berendt z Uniwersytetu Gdańskiego, równocześnie pracownik IPN. Zaproponował Nawrockiemu udział w programie „Index Polaków zamordowanych i represjonowanych za pomoc Żydom. „Sprawdziłem się i to otworzyło mi drogę do IPN". Berendt został promotorem jego pracy doktorskiej o oporze społecznym wobec władzy komunistycznej w województwie elbląskim. Wtedy, zbierając materiały do doktoratu, Nawrocki pierwszy raz spotkał Jarosława Kaczyńskiego (który w 1998 r. został senatorem z Elbląga). Gdy 34-letni Nawrocki awansował na dyrektora Muzeum II Wojny Światowej, powołał Berendta na swojego zastępcę, a także na doradcę w IPN. Nawrocki lubi mieć przy sobie zaufanych znajomych, także takich, którzy nie są historykami, z tymi czuje się najlepiej.

Gdy był dyrektorem MIIWŚ, na owocną współpracę z muzeum mógł liczyć Marcin Marczak, były bokser zawodowy, pseudonim Polish Express, właściciel klubu Ring3City, do którego Nawrocki wpadał na trening. Muzeum finansowało gale boksu poświęcone opozycjonistce Annie Walentynowicz. Gdy Nawrocki poszedł do centrali IPN, to dla Marczaka znalazło się tam stanowisko głównego specjalisty, a później zastępcy dyrektora oddziału IPN we Wrocławiu. Nawrocki przyjaźni się też z Łukaszem Witkiem. To trener piłkarski, znajomy z klubu EX Siedlce, którego awansował w Instytucie na dyrektora Biura Przystanków Historia. Szefem biura kadr w IPN został Mateusz Kotecki – kolega Nawrockiego z klasy w liceum. To z kolei były asystent Andrzeja Jaworskiego, ulubionego posła o. Rydzyka.

Kumple z boiska i ringu byli przy Karolu w kampanii. Robili z nim pompki, biegali, roznosili dary powodzianom i ochraniali swoim ciałem, gdy przeciskał się przez tłumy na spotkaniach wyborczych. „Dzięki tym ludziom IPN jest instytutem przyszłości narodowej" – mówił Nawrocki. W Radiu Zet już zapowiedział, że jak wygra wybory, zabierze ich ze sobą do Pałacu, bo „są gotowi, by służyć państwu polskiemu".

Respekt i blef

Nasi rozmówcy z PiS mówią, że Nawrocki czuje wielki respekt przed Jarosławem, i właściwie z pisowskiej wierchuszki to tylko przed nim. – *Kiedyś na spotkaniu przy Nowogrodzkiej otwarcie skarżył się Jarosławowi w obecności ludzi z wąskiego sztabu, że nie ma jasnego planu na kampanię i to mu przeszkadza* – opowiada jeden ze sztabowców. I dodaje, że Nawrocki wie, czym zaskarbić sobie uznanie Kaczyńskiego. Kiedy jego nazwisko pojawiło się na giełdzie prezydenckiej, na frontowej ścianie siedziby gdańskiego IPN z jego inicjatywy odsłonięta została tablica poświęcona prezydentowi Lechowi Kaczyńskiemu. Odsłaniał ją Nawrocki z Jarosławem Kaczyńskim i Martą, córką tragicznie zmarłej pary prezydenckiej. Wie, że pamięć o bracie to czuły punkt Kaczyńskiego.

W sztabie Nawrockiego mówią o nim, że podobno kompletnie nie przejmował się kolejnymi trupami wypadającymi z jego

eprasa.pl 89558b6b43

szafy w czasie kampanii. – *W boksie gra się z przeciwnikiem jeden na jeden, trzeba dużo wytrzymać i blefować. To nauczyło go odporności* – mówi sztabowiec PiS. Ktoś opowiada, że na debacie wymienił w ustach snusa na świeżego, bo nie ma wyobraźni kampanijnej, ale z drugiej strony on taki jest, że nie bardzo się przejmował tym, jak to będzie wyglądało.

Sporo pracował z ekspertem od wystąpień publicznych Markiem Kochanem i od czytania z kartki, podczas prezentacji kandydata „obywatelskiego" w Sali Sokoła w Krakowie, zrobił ogromny postęp. – *Szybko się uczył, miał wiele spotkań z ekspertami, rozumiał i powtarzał ich tezy, bo poza polityką historyczną miał raczej marne pojęcie o kwestiach bezpieczeństwa, energetyce, ekonomii itd.... Myślę, że potrzebuje wielu doradców* – przyznaje ważny polityk PiS. I dodaje, że czasami w PiS rozmawia się o tym, czy Karol nie zerwie się prezesowi, by razem z Konfederacją budować nową siłę. – *Ważne, aby dziś Karol nie uwierzył za bardzo, że to jego wielka zasługa, że jest tu, gdzie jest, bo jeśli nie będzie słuchał Kaczyńskiego, to Tusk na tym skorzysta* – stwierdza ważny polityk PiS.

Siła w rodzinie

Nawrocki od początku swojej kampanii postawił na rodzinę – już w Sali Sokoła przedstawił go nie tylko prof. Andrzej Nowak, ale też najstarszy syn Daniel, który nie jest biologicznym dzieckiem zwycięzcy wyborów prezydenckich.

W czasie kampanii w „Super Expressie" Marta Nawrocka tak wspominała swoje pierwsze spotkanie z przyszłym mężem: „To był przypadek. Miałam przyjaciółkę, którą odwiedzałam na gdańskich Siedlcach. Minęłam się kiedyś w przejściu na schodach z chłopakiem, spotkaliśmy się wzrokiem. Poszłam do koleżanki i zaczęłam o nim opowiadać. Jak był ubrany, że był z psem. No i ona mówi, że to pewnie Karol, nasz kolega z osiedla, trenuje boks. Jej chłopak go znał. O tak się zaczęła nasza znajomość. Ujął mnie tym, że nie było dla niego żadną przeszkodą to, że mam 19 lat i dwuletniego synka".

Karol miał wtedy 22 lata. W rozmowie z influencerem Żurnalistą Nawrocki opowiedział, że wyrastał w robotniczym domu – mama była introligatorką. I to mama wychowywała jego i siostrę, dzisiaj mistrza cukiernictwa. Ojciec tokarz pracował w Stoczni Gdańskiej, ale jego relacje z dziećmi nie były najlepsze. Sam Nawrocki tak go wspominał: „Ja nie nadążałem za swoim ojcem, były takie momenty, że przez kilka lat go nie widziałem, gdzieś wyjeżdżał. (...) On spędzał ze mną czas, ale nie tak dużo jak moja mama. (...) Czasami nie wiedziałem, gdzie jest, co robi".

To zupełnie inaczej niż w rodzinie Karola – syn Daniel po ujawnianiu kolejnych skandali dotyczących jego ojczyma nagrywał krótkie filmiki, które udostępniał w mediach społecznościowych. Stawał w nich murem za ojcem.

Marta Nawrocka, funkcjonariuszka Krajowej Administracji Skarbowej, na czas kampanii wzięła urlop. Razem z synami Danielem i Antonim oraz najmłodszą Kasią stała przy mężu w czasie wieczoru wyborczego w sztabie, gdzie można było usłyszeć, że się sprawdziła lepiej niż Agata Duda. – *To nie jest intelektualistka, tylko taka zwyczajna dziewczyna z sąsiedztwa, z którą wiele Polek może się identyfikować, zwłaszcza biorąc pod uwagę jej osobistą historię. Ale też może imponować tym, że pracuje, w tej pracy nosi przy sobie broń, choć nigdy jej nie użyła. Co chyba najważniejsze, nie steruje Karolem jak Agata Andrzejem. To ważne dla prezesa, bo to on chce sterować prezydentem, a przy żonie, która ma wpływ na męża, to trudne* – mówi jeden ze sztabowców Karola Nawrockiego.

Przyszłość? Nieznana

Na wieczorze wyborczym Karola Nawrockiego, kiedy sondaże pokazywały jeszcze przewagę rywala, atmosfera zrobiła się bardzo ciężka i już zaczęto się oswajać z porażką. Karol Nawrocki wychodził ze swoją żoną Martą z klubu na warszawskiej Pradze tuż po godz. 22, zmęczony i rozgoryczony. Ktoś z grupy ludzi, która odprowadzała go do samochodu, rzucił: zakrzyknijmy dla Karola „Zwyciężymy"! Nawrocki dziękował, ale nie było w tym wielkiego entuzjazmu, i zapewniał: – *Dalej będę pracował dla Polski, bo moją partią jest Polska.* Syn Nawrockich Daniel, który mocno zaangażował się w kampanię, mówił w niedzielę wieczorem dziennikarzom o tym, że najważniejsze dla niego jest dziś to, że ta kampania się skończyła: – *Że nasza rodzina przetrwała, że pomimo ataków medialnych jesteśmy razem.*

Te „medialne ataki" to ujawnienie sprawy kawalerki komunalnej wykupionej przez Jerzego Ż. za pieniądze, jakie pożyczył mu Karol Nawrocki, udziału w ustawce kibiców Lechii Gdańsk i Lecha Poznań, która dla części jej uczestników skończyła się wyrokami, czy artykuły Onetu dotyczące pracy Nawrockiego w sopockim Grand Hotelu. Jako ochroniarz miał tam przywozić prostytutki gościom hotelowym na ich zamówienie. Po tych publikacjach Karol Nawrocki, rezygnując z przyspieszonego trybu wyborczego, skierował do sądu dwa pozwy przeciwko autorom publikacji.

Prof. Andrzej Nowak powtarza: – *Ta prezydentura daje nadzieję na powstrzymanie dyktatorskich zapędów Donalda Tuska, który od Jarosława Kaczyńskiego różni się tym, że ma wsparcie Unii Europejskiej. Przede wszystkim jednak to, co się wydarzyło 1 czerwca, to realny początek końca duopolu. Kończy się porządek pookrągłostołowy. Będą zyskiwali politycy ideowi, wyraziści, i to stojący po tak różnych stronach sceny politycznej, jak Sławomir Mentzen czy Adrian Zandberg.*

– *Ja wiem, że to dość karkołomne porównanie, ale Nawrocki kojarzy mi się z Wałęsą. Chłopak z ludu, twardy, kiedy trzeba, to sprytny* – mówi dawny znajomy z IPN. Na pewno z Wałęsą Nawrockiego łączy najsłynniejsza gdańska parafia pw. św. Brygidy, kierowana przez lata przez skompromitowanego licznymi aferami ks. Jankowskiego. Tutaj Karol został ochrzczony, tutaj chodził z Martą na nauki przedmałżeńskie, tutaj był bierzmowany. Na kilka dni przed ciszą wyborczą na stronie Klubu Przyjaciół Ludzkiego Życia, będącego częścią Human Life International Polska, oraz na portalu wpolityce.pl ukazał się tekst Viktorii Samp o Karolu Nawrockim, podkreślający m.in. jego zaangażowanie religijne.

Co ciekawe, akurat ta więź z Kościołem nie była istotnym elementem w kampanii prezydenckiej, choć po objęciu prezesury IPN w pierwszym tygodniu urzędowania pojechał do Watykanu, by odwiedzić grób św. Jana Pawła II. Co jednak istotne, z tekstu Samp można się dowiedzieć, że imię, jakie Karol Nawrocki przyjął podczas bierzmowania, to Josemaría – wprost nawiązujące do założyciela Opus Dei Josemarii Escrivy.

POLITYKA od jednej z osób z Klubu Przyjaciół Ludzkiego Życia usłyszała: – *No i wszystko wychodzi z Gdańska. Lech Wałęsa, Lech Kaczyński, Donald Tusk, a teraz Karol Nawrocki...* Czyli kto? Na razie wiemy tyle, że debiutuje w polityce od razu w roli prezydenta Rzeczpospolitej.

ANNA DĄBROWSKA
KATARZYNA KACZOROWSKA

eprasa.pl 89558b6b43

Chłopki 2025

Takie obrazki to już tylko w Muzeum Wsi Lubelskiej w Lublinie. Ale jedno się nie zmieniło: ze wsi nadal trudno uciec.

Dwa lata po premierze głośnej książki „Chłopki. Opowieści o naszych babkach" Polki na wsi wciąż stosują w życiu te same stare strategie. Tyle że w nowych wersjach.

MARTYNA BUNDA

Wronczyn, mała wieś w Wielkopolsce. Trzystu mieszkańców, trzy ulice, sklep Żabka. A w niej piec, który w niedzielę pracuje non stop. Pierwsi klienci przychodzą przed dziewiątą, po hot dogi dla dzieci na śniadanie, a po mszy w pobliskim Modrzu drzwi w Żabce przestają się zamykać. Od tego momentu dania obiadowe – spaghetti, kuchnię polską, pierogi, potem pizzę – trzeba dokładać do lodówki do samego wieczora.

Pani B., urodzona w tej wsi, podobnie jak matka i babka, mówi, że przy tych cenach nie opłaca się gotować w domu. Zresztą po co, dzieci i tak wolą tacki z Żabki, a na tackach wedle tego, co czyta na opakowaniach, jest pożywienie zbilansowane i zdrowe. Stołowanie się w Żabce dobrze świadczy o statusie rodziny – nie każdego stać. Poza tym codzienne gotowanie to dla pani B., podobnie jak dla koleżanek, symbol uwiązania. Już lepiej spędzić ten czas na oglądaniu filmów na Netflixie albo robieniu czegoś w domu.

Brak jest badań mówiących, w ilu wiejskich domach wciąż samemu gotuje się codziennie i czy podaje się tam mityczny niedzielny obiad, wiadomo jednak, że niegdysiejszy żelazny punkt na liście kobiecych obowiązków na naszych oczach odszedł w niebyt. Nawet w takich wsiach jak Wronczyn, niewielkich i rolniczych.

eprasa.pl 89558b6b43

Używając nomenklatury socjologów – we wsiach typu pierwszego, czyli „z dominacją tradycyjnego rolnictwa". Bowiem sama wieś – a z nią jej mieszkańcy – zmieniła się równie mocno, jak zwyczaje kulinarne Polaków. A przede wszystkim wieś się różnicuje. O ile bowiem miasta to względnie powtarzalny model (nie licząc historycznych zaszłości), o tyle nie ma jednej typowej polskiej wsi. Miasto wedle kategorii demograficznych liczy zawsze ponad 2 tys. mieszkańców i ma miejską strukturę: rynek bądź centralny plac, chodniki, odpowiedni dochód na mieszkańca. Ze wsią sprawa jest bardziej złożona. Socjologowie mówią aż o siedmiu typach miejscowości wiejskich. Na jednym krańcu są wsie rolnicze, oddalone od miast i często pozbawione publicznej komunikacji, czy też te kolejnego typu: rozdrobnione, wykluczone, pozbawione dostępu do sieci internetowej, a bywa, że nawet łazienki. W województwie lubelskim wciąż są gminy, gdzie tylko co drugi dom ma łazienkę; w całej Polsce ten problem dotyczy miliona mieszkań i 2,3 mln Polaków. Na drugim krańcu typologii są podmiejskie suburbia (typ szósty) z szeregówkami lub willami, z zamkniętym wybiegiem dla psów, minicentrum handlowym, z autobusami, kolejkami podmiejskimi. Z takiej wsi dojeżdża się do pracy w centrum w czasie podobnym co z blokowiska obok, ale żyje się znacznie wygodniej.

Co więcej, nawet wsie typowo rolnicze, oddalone od ośrodków miejskich, mogą się różnić od siebie, np. estetyką. Internet, paczkomaty (dostępne niemal w każdej wsi) i szeroka oferta portali typu Temu przeorały wieś estetycznie. Dziś w niejednym rolniczym regionie salon wiejski i miejski różni się tylko metrażem – ten na wsi jest znacznie większy.

Wsi spokojna

Z pewnością wsie różnią się od siebie poglądami politycznymi. To reguła każdych wyborów; suburbia zawsze głosują tak jak największe miasta, a wsie rozdrobnione – tak jak każe Kościół. Wsie rolnicze są też najbardziej zróżnicowane pod względem struktury. Niewielkie osady oddalone od głównej wsi; wybudowania, czyli jeden dom pośrodku niczego, czasem w lesie; dawne gospodarstwa zamienione na agroturystyki – to wszystko nazywa się wsią.

Statystycznie rzecz biorąc, na wsiach, zajmujących 93 proc. powierzchni Polski, mieszka ponad 16 mln ludzi; nieco mniej niż połowa Polaków. Kilkanaście lat temu trend przechylił się na korzyść wsi (a konkretnie – tworzących się suburbiów), gdzie dziś mieszka co piętnasty Polak. Wsie rolnicze zamieszkuje 10 proc. Polaków, regiony wielkoobszarowych gospodarstw – 7 proc., a biedne, niezurbanizowane, wykluczone wsie to wciąż jeszcze 8 proc. ludności. Zarządzane są przez ponad 40 tys. sołtysów, spośród których niemal połowa to kobiety (w czasach powojennych rządy kobiet były ledwo dostrzegalną statystycznie rzadkością). Sołectwa przynależą do gmin, zwykle ulokowanych w pobliskim kilkutysięcznym miasteczku, a te – do powiatów. Warszawski, poznański, wrocławski – nazwy powiatów brzmią często wielkomiejsko, ale gminy kulturowo i organizacyjnie rzadko ciążą ku metropolii (wyjąwszy suburbia). Raczej ku innemu, nieco większemu miastu, położonemu w przeciwnym kierunku.

We Wronczynie, powiat bądź co bądź poznański, dziecko pośle się do liceum raczej do Grodziska Wielkopolskiego, chociaż odległość jest ta sama. Podobnie z wyjazdem na zakupy – do Stęszewa, do gminy, albo do Kościana. Do Poznania rzadko, po co pchać się w korki, których w okolicy Wronczyna przecież nigdy nie ma. Dodatkowo dla rolników przywykłych do powolnego spokojnego życia miejskie tempo często oznacza nieznośny chaos, którego unikają, a zwyczaje rodziców przekładają się na dzieci. W efekcie nawet autobusy są tak zaplanowane, że przed ósmą można łatwo dostać się do tego pierwszego miasta; a do metropolii już niekoniecznie. Koło się zamyka.

Kobiety, które statystycznie stanowią w Polsce większość, na wsi są w mniejszości. A jeśli wziąć pod uwagę tylko kobiety i mężczyzn czynnych zawodowo, niedobór kobiet jest już bardzo widoczny, bo w niektórych regionach wyraźnie przekracza 20 proc. Klasyka gatunku, czyli „rolnik szukający żony" (przełożona zresztą na popularny program telewizyjny), ma więc realne podstawy: co piąty mieszkający na wsi mężczyzna nie znajdzie partnerki do pary.

A trend wypychający kobiety ze wsi zaczął się już w XIX w. i trwa. Pytanie więc, po co zostają i jak żyją te, które jednak zostają.

Kochany patriarchacie

Niby mają to, co współcześnie uchodzi za luksus. Katarzyna Czajka-Kominiarczuk na blogu Zwierz Popkulturalny zwraca uwagę, że współcześnie oznaką statusu jest właśnie możliwość realizacji sielsko-wiejskich ideałów. Dowolna ilość czasu, którą można zmarnować na czynności kojarzące się z wiejskim życiem. Jak w popularnym programie „With Love. Meghan", gdzie żona księcia Harry'ego w domu pośród pól opatruje własnoręcznie zrobione konfitury wypisanymi ręcznie naklejkami, przyrządza w kuchni dania z warzyw z ogrodu, poświęcając każdemu warzywu absurdalną ilość uwagi.

A polska wieś w jakiejś mierze aspiruje do takiego stylu. On ma zarobić, ona zadba o estetykę.

Patriarchalny model znacznie częściej realizuje się na wsi niż w mieście. W badaniu CBOS „Struktura poglądów politycznych Polaków" z 2023 r. aż połowa kobiet mieszkających na wsi deklaruje się jako konserwatywna (wobec 29 proc. kobiet z miast), ale jednocześnie tylko co czwarta nazwałaby siebie prawicową w sensie politycznym. Obyczajowy konserwatyzm w wydaniu wiejskim, kobiecym, jest bowiem bardzo pragmatyczny, a wejście w patriarchalne buty 2025 oznacza czerpanie z tego, co patriarchat ofiaruje.

Joanna Kuciel-Frydryszak w książce „Chłopki. Opowieść o naszych babkach" pisze, że kobiety na wsi rodziły się „potencjalnie zbędne". Kategoria zbędności, stworzona na potrzeby międzywojennej socjologii, nie tylko masowo wypchnęła kobiety ze wsi do miast i popchnęła ku edukacji (na trzy kobiety z wyższym wykształceniem zarówno na wsi, jak i w mieście, przypada dwóch mężczyzn po studiach), ale również wykształciła wzorzec kobiety umęczonej, pracującej ponad siły. Z tym właśnie – rękami powyciąganymi od wiader z wodą – kojarzy się patriarchat pokoleniom następczyń, ale w mieście. Na wsi już niekoniecznie. W wydaniu wiejskim patriarchat oznacza raczej, że nie należy brać na siebie za dużo.

Jest deficyt kobiet, a więc mogą wybierać. A gminy wiejskie (co zresztą dobrze odkłamuje wspomniany serial „Rolnik szuka żony") nierzadko są dziś zamożniejsze niż miasto. Weźmy Wielkopolskę. Na 17 gmin powiatu poznańskiego pod względem dochodów na mieszkańca to miasto wojewódzkie lokuje się w połowie stawki. Ze średnią trochę ponad 4 tys. zł na rękę jest daleko za sąsiednimi gminami wiejskimi, gdzie średnia dochodów to 7–8 tys. zł netto na głowę. Również z raportu „Polska Wieś 2024" wynika, że dochody na wsi w ostatnich dwóch dekadach więcej niż potroiły się, a wśród mieszkających na wsi i pracujących na własny ▶

© KRZYSZTOF RADZIK/EAST NEWS

eprasa.pl 89558b6b43

▶ rachunek (czyli w wielu miejscach większości) wzrosły pięciokrotnie. Co więcej, na wsi mieszka się w odziedziczonych domach, a jak zabraknie pieniędzy, można sprzedać grunt. Ceny ziemi osiągnęły taki poziom, że nieuprawne pole po rodzicach da się sprzedać za milion albo dwa.

Dla pani M. podział ról płciowych jest kwestią bezdyskusyjną, jak podkreśla. Wyszła za rolnika parającego się też budowlanką i handlem. Wedle jej rozumienia świata mężczyzna musi być. Bo kto dźwignie obalony płot albo wtaszczy belkę na dach (papę dałaby radę przybić sama, ale po co). Oczywiste też, że on zarobi na rodzinę. Dom po teściach od razu wyremontowali. Biała kuchnia w stylu francuskim kosztowała ponad 20 tys. zł. Do jego obowiązków, oprócz zapewnienia bytu, należy zawiezienie ich syna do przedszkola i odebranie go, a od czasu do czasu również odwożenie jej samochodem do pracy (tyle że w żadnej nie podobało jej się na tyle, żeby chciała tam zostać na dłużej). Nie, on nie uważa, że kobieta powinna być odpowiedzialna – od tego są faceci. Kłócą się, on czasem chce ją rzucić, ale – uważa – przecież dziecko musi mieć matkę.

W całej Polsce działa ponad 25 tys. kół gospodyń wiejskich. W podlaskich Karakulach (fot. po lewej) **panie krzewią tradycje i integrują lokalną społeczność. Te z Jasieńca w woj. łódzkim** (po prawej) **wygrały konkurs „Zioła dla Zdrowia".**

Same sobie

Patriarchat rządzi, gdzie rządzi, jednak równolegle wśród kobiet na wsi wciąż doskonale ma się odwrotny model – „zrób to sama". Nie walcząc z patriarchatem – ale też nie uciekając od szyldu „feminizm", jeśli tak się akurat ułoży – kobiety łatają te miejsca, z których abdykowało państwo. W „Chłopkach" chodziło o zrobienie butów z niczego, a współcześnie np. o zorganizowanie sobie i sąsiadkom mammografii. Bo, statystycznie, obszary wykluczenia na wsi wciąż są ogromne. Począwszy od opieki zdrowotnej. Według raportu GUS „stan zdrowia ludności Polski w 2019 roku" jedna czwarta kobiet w ostatnim roku nie widziała się z lekarzem ani osobiście, ani online. Do specjalistów docierają wyraźnie rzadziej niż mieszkanki miast i zwykle za późno. Jednak w ostatnich latach w co najmniej kilkudziesięciu gminach z inicjatywy tamtejszych kobiet pojawiali się specjaliści przyjeżdżający z konsultacją. Najczęściej ginekolodzy i psychiatrzy.

Z raportu o aktywności kobiet w Polsce, przygotowanego dla Funduszu Feministycznego przez Martę Rawłuszko, socjolożkę z Uniwersytetu Warszawskiego, wyłania się obraz chłopki 2025 jako głównej siły łatającej. Spośród tysiąca wniosków o minigrant, które w ostatnich latach spłynęły do funduszu, większość dotyczyła zaspokojenia potrzeb mieszkanek wsi w dziedzinie zdrowia czy relacji społecznych. Osoby te okazywały się też bardzo pragmatyczne, słowo „feministyczny" w nazwie funduszu nikomu nie przeszkadzało, nawet jeśli organizatorki należały do kółek różańcowych.

Z raportu Fundacji Batorego wynika również, że kobiety na wsi, często niewidoczne w debacie publicznej, bynajmniej nie są bierne. Pracują zawodowo – co trzecie gospodarstwo jest prowadzone przez kobietę; spora część jest zatrudniona na etacie albo prowadzi niewielką firmę online. Cztery kobiety na wsi na dziesięć pozostają oficjalnie aktywne zawodowo, pozostałe pomagają w gospodarstwach, prowadzą domy, wychowują dzieci. Działają w kołach gospodyń wiejskich (ponad 25 tys. KGW w Polsce), organizują lokalne festyny, wydarzenia, grupy wsparcia. Koła gospodyń to zresztą socjologiczny ewenement. Powstałe w międzywojniu (gdy to do ponad 4 tys. kół należało ponad 100 tys. kobiet), po wojnie stały się organizacją masową, z czasem zrobiło się ich 35 tys. Po transformacji wymierały, po czym weszły w renesans – ale raczej jako jednostka organizacyjna niż grupa odnosząca się do folkloru, który, owszem, przeżywa renesans, ale raczej w mieście niż na wsiach. Dziś tylko co trzecia gmina wiejska w Polsce nie ma przynajmniej jednego koła gospodyń; obok straży pożarnych, skupiających mężczyzn, gospodynie nadają rytm kobiecemu życiu. Począwszy od spotkań, najczęściej w wiejskiej sali świetlicowej, przy kawie i ciastkach na Dzień Kobiet czy Dzień Matki, poprzez organizację festynów, kursów, spotkań z ciekawymi ludźmi, po wyręczanie państwa w jego obowiązkach, gdy trzeba sprowadzić mammobus, czy wreszcie działalność gospodarczą. W odpowiedzi na potrzeby kół i pojawiające się od lat postulaty w styczniu 2025 r. zmieniono limity przychodów, do których koła mogą prowadzić uproszczoną księgowość, ze 100 tys. zł rocznie do miliona.

Jeszcze kilka lat temu powszechnie narzekano na obniżający się wiek członkiń. To już też przeszłość. Poza tym kobiety zdobywające pierwsze szlify w kołach coraz częściej startują w wyborach samorządowych i tworzą lokalne NGO-sy. Wedle danych stowarzyszenia Klon/Jawor kobiety stanowią 62 proc. wolontariuszek na wsi.

Wśród kobiet – animatorek wiejskiego życia – szczególną grupę stanowią te, które napłynęły z miast. Zwłaszcza do wsi na skraju wymarcia, które za sprawą mieszczuchów znów się zaludniły znajomymi i znajomymi znajomych. Ta grupa animatorek nie ma wiele wspólnego z obrazem z serialu „Ranczo", gdy to przyjezdna Lucy wchodzi w obce, również w sensie kulturowym, środowisko i sama też pozostaje trochę z boku – jak pani dziedziczka z dworku. We wsi Chwałowice pod Jelczem-Laskowicami prawie wszyscy są napływowi. Gdy znajomi z miasta pytają, skąd pomysł na tę dobrowolną zsyłkę daleko, nowoczesne wieśniaczki odpowiadają, że „żeby to zrozumieć, trzeba poznać ich sołtysa". Ale w gruncie rzeczy bardziej niż o niego chodzi o nie same – ich energię do tworzenia wokół siebie miejsca stymulującego kulturalnie. Rozwijającego życiowo. Chwałowice realizują wszystkie możliwe humanistyczne ideały – mają klub książki, do którego zaprasza się uznanych pisarzy; mają pikniki, szkolenia, zajęcia jogi, wspólne oglądanie debat wyborczych i intensywne życie dyskusyjno-towarzyskie w zwoływanych *ad hoc* salonach. Mają też pracownię ceramiczną, hafciarstwo, salę wiejską wyremontowaną za unijne pieniądze i rekordy w zbiórkach na Wielką Orkiestrę. Świat

eprasa.pl 89558b6b43

napędzany siłą rozpędu uciekinierek z korporacji, właścicielek niewielkich biznesów, żon, matek, które określeniem „kobieta wiejska" się bawią.

Notabene wejście słowa „wieśniaczka" do językowej awangardy wydarza się na kilka sposobów. Z jednej strony wciąż jeszcze niesie stygmat. W tytule popularnego programu telewizyjnego pozostaje odwrotnością „damy"; wieśniaczka nie rozumie, nie ogarnia, dziwi się.

Ale już w głośnej książce Stasi Budzisz „Welewetka" historia uciekania przed etykietą „wieśniaczki" zatacza koło, a zrzucenie z barków poczucia wstydu, wmówionego całemu wychowanemu na wioskach pokoleniu, otwiera drzwi już nie do kruchej, ryzykownej w sensie psychologicznym i silnie eksploatowanej przez prawicowe ekstremizmy dumy, ale do wewnętrznej wolności. Tam, gdzie „wieśniaczka" staje się etykietą, której sami nadajemy sens – i może oznaczać na przykład „świadomą siebie rebeliantkę". To jednak już inna opowieść – o negowaniu starych zwapniałych układów. O buncie.

Strategia „na czarownicę"

Niezgoda, negacja starego to kolejne wcielenie nowoczesnej chłopki. „Jak nie wołam, to mnie nie ma. Ale jak powiem swoje, to mnie wyśmieją. To lepiej milczeć?" – deklaruje mieszkanka wsi, cytowana w raporcie Fundacji Batorego.

Mimo deklarowanego konserwatyzmu to kobiety na wsi są dziś tą siłą, która wchodzi na przykład w polemikę z Kościołem. Według badań Instytutu Statystyki Kościoła Katolickiego uczestnictwo kobiet we mszach spada, a ich zaufanie (zwłaszcza w młodszym wieku) do księży wyraźnie maleje. A uciec od Kościoła na polskiej wsi wciąż się nie da. Jest wpisany w strukturę społeczną znacznie silniej niż w mieście. To za sprawą pogrzebów. Udział w niedzielnych mszach spada, ale na ostatnią drogę sąsiada pójść trzeba. W miejscowości K. w Wielkopolsce pogrzeby są co najmniej raz w miesiącu; bo wieś się starzeje, bo nowotwory, wypadki, samobójstwa. Ksiądz, którego im przysłali z kurii, jest jak wielu innych duchownych zsyłanych na wiejskie parafie: zapalczywy, gromi potencjalnych nieprzyjaciół z ambony. Ostatnio była wielka awantura, bo pięć parafianek wyszło w trakcie kazania.

Według raportu Fundacji Batorego z 2024 r. kobiety na wsi coraz częściej kwestionują narzucone im role, zwłaszcza gdy chodzi o edukację, ruch społeczny lub pracę poza środowiskiem rolniczym. Z wielu innych badań również wyłania się obraz wiejskich buntowniczek. Autorzy opracowania „Religia i polityka na wsi" dostrzegają powolną, lecz realną liberalizację poglądów kobiet wiejskich, szczególnie tych najmłodszych, 20–35-letnich. Coraz więcej z nich popiera prawo do aborcji (nawet jeśli „nie dla siebie, to dla innych"), krytykują Kościół jako instytucję, choć niekoniecznie odrzucają wiarę. Coraz częściej deklarują się też jako osoby niewierzące lub „duchowe, ale nie religijne".

Długa droga

A jednocześnie chłopki Anno Domini 2025 oceniają swoje życie gorzej niż kobiety z miast. Według badania CBOS z 2024 r. zadowolenie deklaruje tylko ponad 60 proc. kobiet ze wsi, wobec 82 proc. mieszkanek miast. Najczęściej skarżą się na brak wpływu na swoje życie.

Bo jedno się nie zmieniło: nadal ze wsi, jeśli się już tam osiądzie, trudno uciec. Miasto oferuje dziesiątki odskoczni od codzienności – kino, joga albo chociaż polowania na okazje w lumpeksach. W porównaniu z miejskim życiem wieś pozostaje monotonna. Można włączyć internet, telewizor albo powyglądać przez okno. Zająć się animowaniem wiejskiego życia, sprowadzić lekarza, kolejną ciekawą osobę – ale potem zawsze przychodzi ten moment, gdy goście wychodzą i trzeba zgasić światło.

Wyjazd do miasta do szkoły lub na studia jeszcze jest możliwy, potem szanse maleją, a może i spadają do zera. „Chłopki" Kuciel-Frydryszak używały wszystkich talentów, całego sprytu, by jeśli nie siebie, to choćby córkę wyprawić w świat. Współczesna wieś z braku bodźców częściej – jednak – okazuje się klatką, w której wszystko staje się zerojedynkowe.

Także z raportu SHARE o kobietach na polskiej wsi wynika, że nieleczona depresja jest wśród nich realnym problemem, zwłaszcza w połączeniu z objawami wypalenia opiekuńczego. W świetle statystyk policyjnych to na wsi, a nie w mieście, mieszkańcy częściej targają się na życie; do tego dramatycznie rośnie liczba prób samobójczych podejmowanych przez kobiety.

Przy tym wszystkim książka Kuciel-Frydryszak to również opowieść o tym, jak na nowo zdobyć wieś dla siebie. – *Po lekturze „Chłopek" czuję, że każde „nie" powiedziane kulturze zap...dolu, każda chwila odpoczynku i zrobienia czegoś tylko dla siebie po prostu mi się należy. One to dla mnie wypracowały swoim poświęceniem* – opowiada Anna Opozda, czytelniczka. – *Mój komfort, moja wolność, moje własne łóżko to efekt ich trudów. Z tej perspektywy życie na wsi wygląda całkiem znośnie* – dodaje.

Szczęśliwie wśród wszystkich trendów statystycznych dotyczących wsi jest jeden szczególnie ciekawy i bardzo wyraźny. To powroty na wieś w okolicach sześćdziesiątki, w wieku zwanym w miastach *queenagers* (jak socjologowie określają jedno z najciekawszych zjawisk społecznych ostatnich dekad, polegające na wzmożonej aktywności życiowej kobiet dojrzałych, które zamiast wejść w role opiekunek wnuków, zakładają swoje firmy, odpalają kanały telewizyjne w internecie, ruszają w podróże dookoła świata, względnie zaczynają nowe studia). Już po rozwodzie i usamodzielnieniu się dzieci, z odłożonymi pieniędzmi, na własnych prawach wracają na wieś. Nierzadko tę rolniczą, daleko od miasta. Własną. To paradoksalnie dziś najbardziej szczęśliwa grupa mieszkanek wsi. Już nie wracają na zapiecek jak w „Chłopkach", ale do nowych lub wyremontowanych mieszkań i domów, zawsze z łazienkami. I jest to jedyna zauważalna w statystykach grupa, w której mieszanek wsi wyraźnie przybywa.

MARTYNA BUNDA

© WOJCIECH WOJTKIELEWICZ/KURIER PORANNY/POLSKA PRESS, MATEUSZ GROCHOCKI/EAST NEWS

eprasa.pl 89558b6b43

Pasożyty z patożycia

Mogłoby się wydawać, że TikTok to kilkunastosekundowe rolki, które młodzi nałogowo scrollują. Ale są tam również kilku-, a nawet kilkunastogodzinne live'y, na których z pozoru nic się nie dzieje. I to one są kluczowe. Tam się zarabia, buduje pozycję, rekrutuje zwolenników.

Cesarzowa Internetu

Gabriel Black

Polski Batman

Wszystkie screeny pochodzą z TikToka

© SHUTTERSTOCK, TIKTOK.COM/@CESARZOWA_INTERNETU_, TIKTOK.COM/@WONSKIIIII, TIKTOK.COM/@GAB.RIELBLACK

AGNIESZKA SOWA

Można tu znaleźć niemal wszystko. Live'y sprzedażowe, instruktażowe, kulinarne, polityczne, zabawne i głupie. Jak w życiu. A czasem wieje tam nudą tak, że można zasnąć. Udało się to nawet kilku prowadzącym. Pierwszy był chyba Janusz Korwin-Mikke. Zasnął w trakcie własnego live'a, telefon dalej transmitował, a internauci mieli bekę, słuchając pochrapywania polityka i obserwując unoszący się miarowo wydatny brzuch. W końcu ktoś ze znajomych zlitował się, zadzwonił i go obudził. Ale co się dziwić niemłodemu już Korwinowi, skoro w trakcie prowadzenia live'a zasnęła też słynna Cesarzowa Internetu, 25-letnia Patrycja Dąbrowska z Ciechocinka (pół miliona obserwujących). Jej krótkie rolki mają po kilkadziesiąt tysięcy wyświetleń. Wielu „fanów" ogląda je po to, by się z niej nabijać. Tysiące komentarzy pod filmikami to drwina, niedowierzanie albo litość. Dziewczyna sprawia wrażenie niepełnosprawnej intelektualnie. Mówi niewyraźnie, przekręca trudniejsze słowa. Rekordy popularności biły jej poradniki np. o tym, jak przełamać strach przed deszczem. „Żaden deszcz, żadna burza mnie nie złamie, popada, popada i przestanie, ja nie zmoknę, nie jestem z cukru, popada, popada i przestanie".

Nieprzychylne komentarze wywołuje pokaźna tusza Cesarzowej. Do tego często występuje w cienkich kolorowych „pajacykach" i jaskrawych kombinezonach, które niewiele ukrywają. Plotka głosi, że stoją za nią „współpracownicy", którzy wymyślają takie kreacje, by „beka z Pati" była jeszcze większa. A razem z beką rosną zasięgi. Wydaje się, że Patrycja nie przejmuje się hejterami, i odpowiada krótko: „Wybombiaj niunia". „Współpracownicy" ponoć zarabiają na niej fortunę, sama Cesarzowa też swoją sławę monetyzuje. Otworzyła sklep z gadżetami. Wszystkie kubki, poduszki, torby mają jej wizerunek i słynne już bon moty. Króluje „Wybombiaj niunia", ale świetnie sprzedaje się też „Dobre, smaczne, pyszne". Tymi słowami Pati zachwala testowane produkty spożywcze, owsiankę, piwo bezalkoholowe czy sushi z Żabki.

eprasa.pl 89558b6b43

Matuszka Rosija

Kamera telefonu pokazuje dużą flagę rosyjską z orłem zawieszoną nad telewizorem stojącym na niskim regale. Przed telewizorem i flagą siedzi prowadzący live'a. Widać tylko nogi swobodnie wyciągnięte na kanapie, w ciemnym dresie i czarnych skarpetkach. To Polski Batman, prowadzi live'a na swoim kanale na TikToku. Ogląda go w tej chwili prawie 3 tys. obserwujących. Rozmawia z dwiema osobami, które wpuścił na tzw. okienka. O polityce; co chwila przekleństwo. Więcej k... i ch... niż normalnych słów, więc jak ktoś nie wie, o co chodzi, to trudno cokolwiek zrozumieć. Drwi z posłanki lewicy, która powiedziała, że to Polska powinna odszkodowanie wypłacać Niemcom. Potem Batman udostępnia na livie swoją rolkę, na której byłoby widać jego twarz, gdyby nie szary worek z wyciętą dziurą na oczy. Opowiada o Tusku, który na Westerplatte mówił, że dziś już nie powiemy „nigdy więcej wojny". „Ładnie oswajają nas z tą świadomością wojny", komentuje Batman. „A wy na co liczycie, na artykuł 5, tam jest wyraźnie napisane, że każdy k... pomoże, jak uważa za stosowne. Jesteśmy stroną k... tej wojny i sami się w...śmy tam... 100 miliardów już nas to kosztowało".

Reszta obecnych może wypowiadać się w komentarzach, które co chwila przesuwają się na ekranie telefonu. Jest trochę nieprzychylnych, „spal to" (o fladze). Ale wielu popiera. Krytykują polski rząd: „Sprzedali nas". Co jakiś czas życzenia dla Vladka. Slava Putin! Prowadzący live'a Batman przypomina, że dziś urodziny prezydenta Rosji. 72 lata. Śpiewają 100 lat.

Jeden z oglądających dołączył „na okienko". Chce osobiście złożyć życzenia prezydentowi. Potem stwierdza, że to, co się w Polsce dzieje, to „jakaś patologia". „Nazjeżdżało się tych żółto niebieskich... Je...ć ich. Wolna Moskwa!". Dyskusja niespiesznie toczy się dalej.

Marek Poręba, przewodniczący Rady Fundacji OKSYMORON – Instytutu Badań Społecznych i Mediów w Rzeszowie, twórca Hubu Fact-Checkingowego, z którym rozmowę opublikowaliśmy na portalu polityka.pl, ma kilka terabajtów takich zgranych live'ów. Od ponad trzech lat on i jego analitycy monitorują skrajnie prawicowe, prorosyjskie, antysemickie i antyukraińskie grupy na TikToku. – *Przez ten czas zrobiła się z tego armia* – mówi. Rekrutację zwolenników prowadzą najczęściej na live'ach. Poręba pamięta, jak przed wyborami w 2023 r. tylko na jednym livie zrekrutowali w ciągu 30 minut pół tysiąca profili ludzi sympatyzujących z Putinem, popierających opcję antyunijną.

A w tej kampanii widywał rolki i transmisje z podobnym przekazem, pod którymi było ponad 4 tys. komentarzy z Polski. Jak pod rolką z wizerunkiem Putina i napisem „Meldować Władkowi skąd jesteście, szybciutko, trolice, trole, onuce, bolszewiki, pozdro dla trzeźwo myślących". No i meldowali się posłusznie. Poręba i jego zespół też się zgłosili i dostali propozycję współpracy za wynagrodzenie w kryptowalucie. Współpraca miała polegać na udostępnianiu rolek. W ten sposób tworzy się cała sieć. Zrekrutowani zwolennicy najpierw zaczynają udostępniać, potem tworzą własny przekaz, część zaczyna robić swoje live'y. – *To trwa, ale w tej chwili ta grupa jest już tak duża, że sami nie jesteśmy w stanie tego ogarnąć* – mówi Poręba.

Tapowanie, gifty i diamenty

Żeby dotrzeć do tak licznego grona odbiorców na TikToku, trzeba mieć duże zasięgi. Są na to sposoby. Jednym z nich jest tapowanie, o które w trakcie każdego live'a proszą prowadzący: „Tapujemy, kochani!". Chodzi o dwukrotne puknięcie w ekran telefonu, które wysyła serduszko – polubienie transmisji. Można to robić cały czas, wysyłając niezliczoną ilość serduszek. Są nawet urządzenia do automatycznego tapowania, które przymocowuje się opaską do włączonego telefonu, z silniczkiem i bateryjką; dostępne na chińskich platformach sprzedażowych. Tapują same i to bardzo szybko. A jak algorytm TikToka wykrywa, że live ma np. 10 tys. polubień w czasie 2–3 godz., to automatycznie pozycjonuje taką transmisję na stronie głównej. Masowe tapowanie może znacząco zwiększyć zasięgi live'a, wpływając na widoczność transmisji w całej aplikacji. Im więcej serduszek, tym większa szansa, że transmisja zostanie pokazana większej liczbie użytkowników. Polubienia to jeden z kluczowych czynników uwzględnianych przez algorytmy TikToka podczas decydowania o sposobie wyświetlania treści.

Można też jednego live'a odpalić na kilku urządzeniach jednocześnie i tapować na wszystkich, właśnie za pomocą chińskich urządzeń. Ci, którzy walczą o zasięgi, streamują praktycznie całą dobę. Nie robią tego sami, zmieniają się, mają sztaby administratorów i moderatorów.

Na pozycjonowanie live'a ma też wpływ to, do jakiej ligi należy jego twórca. A to zależy od tego, ile posiada tarcz ligi, które pozyskuje się za diamenty. Diamenty zaś kupuje się za gifty, którymi obserwujący obdarowują twórcę live'a podczas jego trwania. Można dawać prezenty także w komentarzach pod filmikami zamieszczanymi na profilu, ale znacznie częściej obserwujący wolą nagradzać twórców osobiście. Dlatego wszyscy tiktokerzy robią live'y, nawet jeśli nie mają na nie pomysłu.

Himi, Michał Hetnar, 25-latek z długimi dredami, odpalił live'a późno, ok. 22, i był wyraźnie zmęczony. Pewnie treningiem, bo Himi – 20 tys. obserwujących na TikToku, 5 tys. na Instagramie, to były pięściarz, który po trzech latach amatorskich startów, przerzucił się na pole dancing, czyli taniec na rurze. Siedział wieczorem w kuchni, za jego plecami krzątała się mama, oczy mu się zamykały, a on dzielnie jadł kolację do ekranu telefonu, rzadko odzywając się do oglądających, których jednak było ponad 300. Bo Himi zrobił się sławny, za kilka dni miał wziąć udział w Prime Show MMA. We freakfight – walce w klatce. W dodatku po raz pierwszy miało walczyć ze sobą jednocześnie trzech zawodników. Himi w tym zestawieniu wziął się trochę z przypadku. Początkowo miał być jednym z dwunastu rywali Tazzy'ego, jednak okazał się zbyt zaawansowany, i tak trafił do oczekiwanej przez kibiców walki trzech freakfighterów jednocześnie.

Himi jadł, dziękował obserwującym za gifty, róże i pufy. Skończył posiłek i wpuścił „na okienko" pierwszego zgłaszającego się. Dołączyła do niego Rozalia, ale rozmowa się nie kleiła. Jedno i drugie czytało niemrawo swój czat, czyli to, co pisali do nich w trakcie live'a obserwujący. Takie wpuszczenie „na okienko" albo inaczej „bitewka" ma zmobilizować obserwujących do tapowania, bo dwójka na livie rywalizuje ze sobą, na ogół nie na argumenty, tylko na serduszka. Wyniki wyświetlają się w czasie rzeczywistym, widać, czyja drużyna zdobywa przewagę. Ten, kto wygrywa, zgarnia premię.

Rozalia przegrała i poszła spać, a Himi puścił głośniej muzykę i zaprosił do tańca swoją mamę. Pomysł się spodobał, na konto Himiego poleciały róże.

Prezenty na TikTok Live to wirtualne przedmioty, róże, pufy, pandy, znaczek TikToka, mikrofon, rożek lodów, które ▶

eprasa.pl 89558b6b43

▶ fani mogą kupować i przekazywać swoim ulubionym twórcom, aby ich wspierać; pod warunkiem że mają wystarczającą liczbę monet. Kupują je w aplikacji. Aby otrzymać prezenty, twórcy muszą mieć co najmniej 1000 obserwujących i aktywowaną funkcję przekazywania prezentów na żywo na swoich kontach.

– *To jest sposób na finansowanie jakiejś osoby czy organizacji, którą reprezentuje* – mówi Marek Poręba. – *Obserwujemy takie profile, które stale giftują konkretnych „twórców", i to niemałymi podarunkami.*

50 proc. wartości giftów zabiera TikTok, dla twórcy live'a zostaje połowa. Żeby nie tracić pieniędzy, para 17-latków, która tańczy na zamówienie na profilu „goryla basem trzepie", pobiera opłaty BLIK-iem. W komentarzach publikują cennik: taniec 5 zł, pozdrowienia 10 zł, tyle samo taniec w parze, a z miotłą 12 zł.

Dla Himiego gifty są istotną pozycją w budżecie. Streamował nawet ze szpitala. Walka na Prime MMA zakończyła się porażką, a obrażenia odniósł na tyle poważne, że konieczna była operacja. W okolicach czoła i prawej skroni wstawili mu dwie płytki, „żeby się lepiej zrastało", jak tłumaczył Himi swoim fanom. Już po zabiegu prowadził live'a, siedząc na szpitalnym korytarzu. 868 osób oglądało Himiego, gdy jadł sushi. Opowiadał, że pan doktor przed operacją pytał, czy jest sławny i ilu ma obserwujących na TikToku.

Życie na streamie

Gabriel Black, lat 40, ponad 70 tys. obserwujących, nie ukrywa, że żyje z TikToka. Streamuje praktycznie od rana do wieczora, jego live'y ogląda od 300 do 800 widzów. Zmieniają się, tylko on cały czas tkwi przed ekranem. Zaczyna rano ok. 10.00. Kończy ok. 23.00.

„Kochani, witamy się i spełniamy celiki". Prowadzący transmisję na żywo na TikToku może ustawić cele (LIVE goals), które chce osiągnąć podczas transmisji. Np. liczbę diamentów, które chce otrzymać, lub liczbę osób, które mają dołączyć do transmisji. W ten sposób zachęca widzów do aktywności.

Po chwili Gabriel wstaje, odchodzi, „poczekajcie, zęby umyję" – krzyczy z oddali. Wraca, siada przed telefonem, odpowiada na to, co widzowie piszą. Rozmawiają o finale Eurowizji. „To już dziś, dziś piątek?". Ale mamy wtorek. „Jak się nie pracuje, to się je...ą dni", usprawiedliwia się. „Niezmiennie wspieramy Gabrycha", przypomina. „Dziękuję kochani za gifty i za to, że dajecie się wykorzystywać".

Ktoś pyta na czacie, dlaczego tak postąpił ze swoim ciałem. Bo Gabriel Black znany też wcześniej jako Adam Curlykale jest najbardziej zmodyfikowaną osobą w Polsce. 95 proc. jego ciała pokrywa tatuaż tzw. *blackwork*. Pokryty jest jakby szarym welonem. Na dłoniach po wewnętrznej stronie ma wzorki. Do tego skaryfikacje, czyli nacięcia i blizny. Najbardziej widoczny jest duży romb na czole. W środku rombu implant. Podobne blizny w kształtach geometrycznych ma na klatce piersiowej, na dłoniach i z boku po obu stronach twarzy. Swego czasu miał również rogi, jednak postanowił się ich pozbyć, ponieważ mu „migrowały" po głowie, gdy zakładał czapkę, wywoływały ból, a w pracy (wtedy jeszcze pracował) były negatywnie odbierane. Siedem lat temu poddał się w Meksyku zabiegowi nullifikacji – usunięcia narządów płciowych, pępka i sutków. Tłumaczy: „Należę do osób zwanych Nullo, które nie chcą organów przypisanych do określonej płci czy rasy. Dotyczy to także pępka i sutków. Jestem osobą bezpłciową, ale nie aseksualną. Nie oznacza to, że nie mam popędu płciowego".

„Ludzie lubią patrzeć na ludzi, którzy inaczej wyglądają" – mówi. Twierdzi, że prowadząc live'y od rana do wieczora, czuje się spełniony i nie zamierza tego zmieniać. Ktoś na czacie pisze, że to wegetacja i nuda. „Ja nie wegetuję, ja dobrze żyję, tak jak sobie wymarzyłem: przed kamerą. Ja się bawię i zarabiam. Wakacje mam cały rok, wszystko, czego potrzebuję, mam tutaj: mieszkanko, ogródek, pieski, mój kontent na TikToku. Nie jestem najmądrzejszy, tylko wygodnicki. Żeby nie mieć partnera czy partnerki, dzieci, to trzeba być wygodnickim. Nie mam dużo roli w życiu, poza byciem opiekunem zwierząt. Jestem streamerem, całe życie dostosowane pod social media. Streamuję – zarabiam, nie streamuję – nie zarabiam".

Kochana wariatko!!!

Gabriel zaprasza kogoś „na okienko". Po bitewce bierze się do przygotowania obiadu, cały czas zerkając na ustawiony na stojaczku telefon: „Małgolinek, dzięki za różę. Dzięki wariatko! Patunia, dzięki za całusy! Piotruś, dziękuję, że mnie utrzymujecie! Keksi, wariatko kochana, dziękuję!". Keksi wysłała 48 róż.

Obiad już ugotowany, udko kurczaka i ziemniaczane purée. Ktoś komentuje: „jak on ślicznie dla was je, za wasze". Gabriel potwierdza: „Dziękuję kochani, bo to za wasze pieniądze! Żeberka zrobione, sernik się piecze, zmywarka chodzi, teraz zrobimy herbatkę. Mógłbym mieć rodzinę wielodzietną, bym gotował, odrabiał lekcje z dziećmi, tylko by live musiał lecieć".

Czasem robi się nieprzyjemny: „Jak nie obserwujesz mnie, masz zerowe konto, to won! Ciebie usunę, jesteś hejterką, skneruską, żebyś chociaż coś śmiesznego napisała, pamiętajcie, hejterzy: ma być śmiesznie! Zapraszam do wysłania człona, bo jesteś nieaktywnym powerrangersem! Kochani, kto nie wysłał człona?".

Chodzi o subskrypcję członkowską na TikTok Live, co sprawia, że widz staje się członkiem społeczności twórcy. Subskrybenci płacą miesięczną opłatę w zamian za bardziej spersonalizowane interakcje. Dla twórców to kolejne źródło dochodu.

Komentarz: „żyć na czyjś koszt to wstyd". Gabriel: „Bardzo dziękuję, że mogę pasożytować, jestem waszą czarną jemiołą. Czujecie się wykorzystywani? A ja myślałem, że wy to lubicie? No, jestem leniem śmierdzącym, na waszym utrzymaniu. Tak jak ty jesteś na utrzymaniu klientów, męża, kochanka, teściowej. Ale ja się nie uważam za lenia, bo leń nie robi tylu rzeczy".

Wychodzi do ogródka zasadzić kwiatki. Oczywiście z telefonem. Potem kolejna bitewka. @Kasztanowa chce na okienko. „Kasztanowa, wyślij gifta za sto monet i wejdziesz". Wieczorem jeszcze raz wychodzi do ogródka pozbierać kupki piesków, co staje się pretekstem do zażartej dyskusji, czy nie powinien piesków wyprowadzać częściej. I na dobranoc trzy bitwy z Azjatą, Gabriel nie ma pojęcia, co tamten krzyczy, i na odwrót. Ważne, że lecą lajki.

„Witamy w TikTok LIVE! Baw się dobrze, wchodząc w interakcje z innymi w czasie rzeczywistym" – zachęca swoich użytkowników TikTok. I chyba właśnie o tę interakcję chodzi, o tworzenie wspólnoty, to prawdziwa przyczyna ogromnej popularności streamingów. Tam się wchodzi nie po to, żeby się czegoś dowiedzieć, tylko pobyć z prowadzącym i z tymi, którzy tam w tym samym momencie są. Taki cyfrowy sposób na utrzymywanie kontaktu. Za cenę kilku giftów.

AGNIESZKA SOWA

eprasa.pl 89558b6b43

Nie ma chramów bez żerców

Ki diabeł kusi pogaństwem i słowiańszczyzną mieszkańców katolickiej Polski? – wyjaśnia Joanna Malita-Król, religio- i kulturoznawczyni.

ILUSTRACJA **MARTA FREJ**

NORBERT FRĄTCZAK: **– Od ponad dekady bada pani środowisko pogan w Polsce. We wrześniu 2020 r. wybrała się pani do lasu pod Krakowem na spotkanie z rodzimowiercami, czyli czcicielami dawnych bogów słowiańskich.**

JOANNA MALITA-KRÓL: – To było święto plonów. W tradycji ludowej znamy dożynki, a we współczesnych ścieżkach pogańskich plony można traktować bardziej metaforycznie jako efekty pracy, jaką udało nam się wykonać w mijającym roku, niekoniecznie na roli. Moment rozliczeń i podziękowań, także w postaci darów, czyli ofiar składanych bogom. Upiekłam ciasteczka na biesiadę po rytuale. Wzięłam nawet udział w konkursie na najlepsze ciasteczka, ale chyba go nie wygrałam.

Co oznacza być poganinem w Polsce XXI w.?

Współczesne pogaństwo jest niezwykle zróżnicowane. Dla jednych będzie to powrót do tego, co działo się na konkretnym terenie w czasach przedchrześcijańskich. W przypadku Polek i Polaków najczęściej chodzi o religię Słowian i tradycje sprzed chrztu Polski. Mogą to też być poszukiwania poza naszym etnosem, bo dla niektórych bardziej atrakcyjna okaże się na przykład religia czarowników, czyli wicca. Jeszcze inni zwrócą się w kierunku druidyzmu albo ásatrú, czyli wierzeń i praktyk przedchrześcijańskich Skandynawów. Albo wierzeń ze starożytnego Egiptu czy Grecji.

W pogaństwie bardzo ważne jest indywidualne podejście: to, co ktoś czuje, że jest właściwe dla niego, albo – mówiąc bardziej metaforycznie – co go woła. Współczesne ścieżki pogańskie są często określane jako ortopraktyczne, czyli skupione na praktyce, w przeciwieństwie do ortodoksji, czyli skupieniu na wierze i doktrynie. Jest pewnego rodzaju dowolność w kształtowaniu sobie tej ścieżki, choć są też konkretne instytucje ▶

eprasa.pl 89558b6b43

▶ i związki wyznaniowe, które mogą te wierzenia i praktykę regulować, chociażby na potrzeby rejestracji.

W książce „W rytualnym kręgu" opisuje pani trzy nurty współczesnego pogaństwa: rodzimowierstwo, wicca i druidyzm. Czym się różnią?

Rodzimowierstwo słowiańskie stara się rekonstruować wierzenia przodków żyjących na naszym terenie w czasach przedchrześcijańskich: praktyki, bogów i boginie, święta. Niestety nasi słowiańscy przodkowie nie zostawili nam żadnych bezpośrednich źródeł pisanych. Nie to, co np. starożytni Grecy. Na ich dziedzictwo składa się bardzo dużo eposów, mitologii itp. Słowianie dysponują za to źródłami archeologicznymi, opisami praktyk ludowych i kronikami historycznymi pisanymi „z drugiej ręki", czyli przez misjonarzy, niekoniecznie przychylnych temu, co obserwowali.

Druidyzm i wicca sytuują się na bardziej eklektycznym i uniwersalistycznym biegunie. Podobnie jak rodzimowierstwo druidyzm także odnosi się do konkretnych postaci historycznych, czyli kapłanów celtyckich. Współczesnych druidów wyróżnia szczególne, nawet jak na pogan, przywiązanie do natury: zwracanie uwagi na zmiany w przyrodzie, wiązanie bóstw ze zjawiskami naturalnymi, podkreślanie podczas świąt, w którym momencie roku i przemian przyrody jesteśmy.

Wicca, czyli religia współczesnych czarownic, powstała w XX w., co nie oznacza, że wzięła się znikąd. Pierwotna wizja zakładała powiązanie ze starożytnym kultem z czasów przedchrześcijańskich, którego reprezentantkami były czarownice palone na stosach we wczesnonowożytnej Europie. Tak przynajmniej sądzili pierwsi wiccanie. Niemniej wicca, jaką znamy dzisiaj, zaczyna się od działalności Geralda Gardnera w Anglii lat 50.

Wszystkie nurty pogańskie mają jednak wspólne założenia. Jakie?

Wspomniany szacunek do natury i kult przodków. I wiarę w wielu bogów oczywiście. Ten politeizm dzieli się na tzw. twardy i miękki, bo jedni uważają, że rzeczywiście jest wielu zupełnie różnych bogów i bogiń (twardy), inni są skłonni przyznać, że bóstwa z różnych panteonów są ze sobą powiązane (miękki). Tak czy tak przekonanie, że boskość nie jest jednolita i można jej oddawać cześć na różne sposoby, jest tu absolutnie kluczowe. Gdy współcześni poganie tłumaczą, na czym

Dr **Joanna Malita-Król**, religio- i kulturoznawczyni z Uniwersytetu Jagiellońskiego, autorka książki „W rytualnym kręgu. Opowieść o współczesnych poganach w Polsce".

polegają ich wierzenia i praktyki, często przedstawiają to w opozycji do jednego z wielkich monoteizmów, w przypadku Polski – do Kościoła rzymskokatolickiego.

Dlatego też nie wszyscy lubią być nazywani poganami, bo to określenie pochodzące z porządku chrześcijańskiego.

Paganus po łacinie oznaczał kogoś z prowincji albo bardziej dosłownie wieśniaka i w pewnym momencie stał się bardzo pogardliwym określeniem kogoś spoza kręgu chrześcijańskiego. Dlatego niektórzy będą stanowczo nazywać siebie np. rodzimowiercami. Ale są i tacy, którzy z dumą odcinają się od kontekstu chrześcijańskiego, odzyskując dla siebie pojęcie poganina.

Niektórzy poganie mają też za złe Polsce Ludowej, że obrzydzała kulturę ludową i słowiańskość.

Jedna z moich rozmówczyń, rodzimowierczyni Kasia, opowiadała, jak PRL tłumił prawdziwą kulturę ludową, zmieniając ją w Cepelię (Centralę Przemysłu Ludowego i Artystycznego – przyp. red.), wypaczając jej prawdziwe oblicze. Zdaniem badaczy fakt, że dominującym pogańskim nurtem w Polsce jest rodzimowierstwo słowiańskie, świadczy nie tylko o naszym dziedzictwie przedchrześcijańskim, ale też XX-wiecznym. Po 1989 r. przyszła fala rejestrowania nowych związków wyznaniowych, w tym rodzimowierczych. A „kolorowe i radosne" lata 90. to już czas wielkiego otwarcia na Zachód, ale też zalążki internetu, który dał poszukującym dostęp do szerokiej wiedzy, także o pogaństwie, i ułatwił łączenie się w grupy. Jakkolwiek dziwnie to zabrzmi, można powiedzieć, że współczesne pogaństwo w Polsce rozwijało się wraz z narzędziami technologicznymi.

Wydaje się, że słowiańskość ma się dziś lepiej niż kiedykolwiek. Jak to się stało?

Jedna z moich rozmówczyń zwróciła uwagę, że to może być konsekwencja tego zachłyśnięcia Zachodem w latach 90. Trochę czasu minęło, nim znów zaczęliśmy dostrzegać to, co mamy na miejscu, i akceptować tę słowiańską część naszej tożsamości, ale gdy w końcu do tego doszło, przyjęliśmy to jako coś świeżego.

Inna z pani rozmówczyń mówi, że nie bardzo rozumie, jak ktoś może bardziej kochać coś obcego, niesłowiańskiego.

To dość powszechne wśród słowiańskich rodzimowierców. Większość pogan w Polsce to pierwsze pokolenie, które zdecydowało się odejść od dotychczasowego zaplecza religijno-kulturowego i kultywować kulturę przodków nieco w kontrze do zwyczajów, które uważają za narzucone.

Bo wszystkich pogan i poganki, z którymi pani rozmawiała, łączy jedno: byli wychowani w jakiejś tradycji religijnej, zazwyczaj rzymskokatolickiej. Przy czym nie uważają, że dokonują konwersji. Oni „wracają do domu".

To nieco skomplikowane i zależne od tego, jaką definicję konwersji przyjmiemy. W socjologii religii funkcjonują dwa paradygmaty konwersji – stary i nowy. Stary paradygmat rozumie konwersję jako gwałtowne przejście z jednego stanu w drugi. Jakby za sprawą boskiej interwencji coś się w człowieku zmieniło. Najlepszym przykładem jest Szaweł z Tarsu, który w drodze do Damaszku doznał objawienia, nawrócił się na chrześcijaństwo i zupełnie zmienił swoje życie. A według nowego paradygmatu konwersja nie jest nagłą przemianą, lecz procesem, w którym jednostka bierze czynny udział. Poganie nie uważają, że odkrywają nową drogę jak św. Paweł, bo pogaństwo zawsze w nich było, tylko nie wiedzieli, że się tak nazywa. Metafora „powrotu do domu" z perspektywy religioznawczej wydaje się dość dyskusyjna, ale nie zliczę nawet, ile razy podczas wywiadów usłyszałam jakąś osobistą wersję tej historii.

Czym praktyki współczesnych pogan różnią się od praktyk katolickich?

W rytuałach pogańskich uczestnicy biorą bardziej czynny udział niż wierni podczas mszy rzymskokatolickiej, gdzie prowadzenie ceremonii spoczywa głównie na księdzu. W zgromadzeniach pogańskich – szczególnie tych niezbyt licznych – jest przestrzeń dla każdego z uczestników. Jeżeli dana osoba chce, może np. okadzić przestrzeń, w której odbędzie się rytuał, złożyć ofiarę do świętego ognia albo wypowiedzieć fragment

© UNIWERSYTET JAGIELLOŃSKI

eprasa.pl 89558b6b43

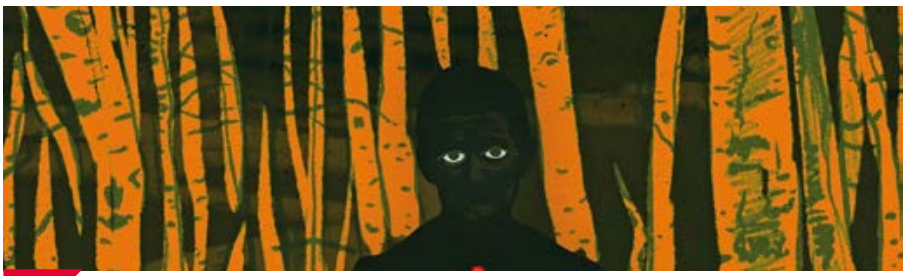

Pogańskie ABC

ásatrú – współczesna pogańska ścieżka odwołująca się do przedchrześcijańskich wierzeń nordyckich.
chram – podstawowa jednostka organizacyjna rodzimowierców słowiańskich. Także miejsce kultu lub budowla z przestrzenią rytualną u Słowian.
druid – trzeci etap we współczesnych organizacjach druidycznych, związany z rytuałami, filozofią i etyką. Wcześniejsze etapy to bard i ovad.
gaj – jednostka organizacyjna we współczesnym druidyzmie, grupa ludzi praktykująca w duchu druidycznym.
gromada – niewielka liczebnie jednostka organizacyjna w rodzimowierstwie słowiańskim.
kowen – u wiccan i we współczesnym czarostwie – zgromadzenie czarownic; grupa, której celem jest zazwyczaj wspólne świętowanie, praktyki magiczne i szkolenie nowych osób.
krąg – podstawowa forma rytualnego działania u współczesnych rodzimowierców, druidów i czarownic.
sabat – jedno z ośmiu świąt w ramach cyklu Koła Roku, związane z cyklem słonecznym.
zdrawica – w rodzimowierstwie słowiańskim określenie zarówno rytualnego toastu ku czci np. bogów i przodków, jak i rogu, z którego ten toast się spełnia.
żerca, żerczyni – kapłan, kapłanka w rodzimowierstwie słowiańskim, od „żertwy", czyli ofiary składanej do świętego ognia.

Źródło: Joanna Malita-Król, „W rytualnym kręgu. Opowieść o współczesnych poganach w Polsce".

liturgii. Warto zaznaczyć, że forma wszystkich rytuałów pogańskich jest podobna. Uczestnicy stoją w kręgu – mniej więcej w równej odległości od centrum, w którym znajduje się ołtarz. No i kapłankami mogą być też kobiety, jak kilka rozmówczyń z mojej książki.

Poganie uważają katolicyzm za opresyjną religię.

Nie tylko oni. Wiele badań wykazało, że wierni odchodzą od katolicyzmu, bo to, co mówi ksiądz na ambonie, często rozmija się z codziennym życiem. Wierni w kościołach są rozmodleni i pobożni, a gdy z nich wychodzą, to już niekoniecznie. Nie mówiąc już o rozmaitych skandalach związanych z Kościołem katolickim. Współczesnym poganom często nie podoba się też doktrynalność katolicyzmu i zbyt sztywna hierarchia w Kościele.

Luiza, jedna z bohaterek książki, gdy zmieniała wiarę, zapytała swoich katolickich przodków, czy im to nie przeszkadza. Ponoć usłyszała w głowie odpowiedź, że nie, „dlatego że wszystko jest miłością".

Szacunek dla przodków jest jednym z fundamentów pogaństwa. Choć tak się składa, że w naszym regionie przodkowie większości z nas – przynajmniej ci niezbyt odlegli – są katolikami. Pamiętam ekscytację, z jaką Luiza opowiadała tę historię, i ulgę, którą poczuła, gdy przodkowie powiedzieli, że szanują jej drogę.

A jak wygląda relacja pogan z bogami?

Można ją podsumować zwrotem, który bardzo często pada w książce: to zależy. Jedni mają bardzo osobistą relację z wieloma bóstwami, które uważają za kompletnie odrębne byty. Inni uważają, że wszyscy bogowie i boginie są w pewien sposób jednym. Zdarzają się też pogańscy ateiści, którzy nie wierzą w bogów osobowych, tylko – jak sami mówią – pracują z energiami. Przypomina mi się rozmowa z pewnym wiccańskim ateistą, który nie wierzył, że wchodząc do rytualnego kręgu, nawiąże kontakt z bytem osobowym, tylko z energią, która jest jakby boskim archetypem. Tak że podejścia mogą być bardzo różne. Dla niektórych, zwłaszcza wiccan, ważne też są praktyki magiczne.

I to działa?

Mówią, że tak. Tylko trzeba być przekonanym, że zaklęcie, które się rzuca, zadziała.

Czyli jeżeli nie zadziała, to znaczy, że rzucający był niewystarczająco przekonany? Bardzo wygodne.

Już Bronisław Malinowski, słynny polski antropolog badający ludy na Wyspach Trobrianda, tłumaczył, że jeżeli rytuał magiczny nie wyszedł, to znaczy, że był źle przeprowadzony. Ewentualnie ktoś zrobił kontrrytuał.

Czytając pani książkę, można odnieść wrażenie, że poganie to całkiem zwyczajni ludzie, jakich spotykamy na co dzień. Tylko raz na jakiś czas lubią wdziać białą szatę, wziąć do ręki kostur i wrzucić coś do ognia. Ewentualnie rzucić jakieś zaklęcie.

Bardzo się cieszę, że tak to pan odebrał, bo to oznacza, że nie jestem sama w tym przekonaniu. Duchowość podlega ciągłym ewolucjom i nie dotyczy to tylko współczesnego pogaństwa. Coraz więcej osób odkrywa ścieżki duchowe alternatywne do rzymskiego katolicyzmu, które bardziej pasują do ich przekonań i potrzeb niż kultura obecnie dominująca w naszym kraju.

ROZMAWIAŁ NORBERT FRĄTCZAK

eprasa.pl 89558b6b43

SPOŁECZEŃSTWO

Jak pani chciała zabić pana

ILUSTRACJA **PATRYK SROCZYŃSKI**

Można mieć poważną pozycję w biznesie, majątek, wieść z pozoru ustabilizowane życie i stać się celem zabójcy na zlecenie.

VIOLETTA KRASNOWSKA

Pierwsze informacje o zdarzeniu były szokujące. W biały dzień, 9 maja 2023 r. o godz. 9.30 na placu Politechniki w centrum Warszawy 60-letni znany i wpływowy menedżer, zasiadający w zarządach największych firm, został zaatakowany nożem. Zamaskowany napastnik podbiegł do niego z tyłu, mimo że menedżer szedł w towarzystwie prywatnego ochroniarza, i zadał mu cios w plecy, celując w serce. I uciekł.

– *Gdyby nie natychmiastowa pomoc ochroniarza, który nie rzucił się w pogoń za sprawcą, ale zajął poszkodowanym, jedną ręką tamował krew, a drugą dzwonił po pogotowie, mogło dojść do zejścia śmiertelnego. Na szczęście mężczyzna przeżył* – mówi prok. Dariusz Ziółkowski z Prokuratury Okręgowej w Warszawie, który prowadził w tej sprawie śledztwo. Właśnie wysłał do sądu akt oskarżenia kilku osób o podżeganie do zabójstwa, pomocnictwo, aż po samo usiłowanie zabójstwa.

Ranny od razu trafił na stół operacyjny. Miał głęboką ranę kłutą w okolicy lędźwiowej z krwawieniem wewnętrznym, uszkodzoną wątrobę i opłucną. Jak określili to później lekarze, zagrożenie życia było realne. Mężczyzna leżał jeszcze w szpitalu, gdy do prokuratury zgłosił się jego pełnomocnik z informacjami, że poszkodowany jest w konflikcie z żoną, trwa postępowanie rozwodowe i toczy się spór o opiekę nad dziećmi.

Poznali się, gdy ona miała 22 lata, on 42, ale ślub wzięli dopiero po niemal dekadzie. Na świat przyszły dzieci. Kobieta przestała pracować, zajęła się domem. Do pomocy miała opiekunkę do dzieci i gosposię. Jak stwierdził w śledztwie sam menedżer, starał się zapewnić żonie poziom życia, jakiego wcześniej nie znała. Zabierał na drogie, luksusowe wakacje, fundował stylistę. Mimo że mieszkali w jego mieszkaniu w Warszawie, kupił i ofiarował jej drugie, a także firmę z branży gastronomicznej, żeby miała coś swojego.

Rozpoczęli budowę domu na południu Polski. Z czasem ona z dziećmi się tam przeniosła, by doglądać inwestycji, podczas gdy on w Warszawie zarabiał pieniądze na budowę. Przyjeżdżała, ale wtedy wolała zatrzymywać się w swoim mieszkaniu. Pojawiły się konflikty, trwały mediacje, jednak ostatecznie kobieta wniosła o rozwód. Dostała alimenty w wysokości 20 tys. zł – po 7,5 tys. na każde z dzieci i 5 tys. na siebie. A ostatnio wystąpiła o podwyższenie świadczeń do 45 tys. zł.

– *Ale konflikt małżeński to był wątek poboczny. Przede wszystkim zostały podjęte działania w celu ustalenia sprawcy* – mówi prok. Ziółkowski.

Na plac Politechniki przyjechali policjanci z wydziału zabójstw i terroru kryminalnego Komendy Stołecznej Policji. Ściągnęli wszystkie możliwe nagrania z kamer rozmieszczonych w okolicy. Znaleźli na nich sprawcę. Więcej – udało się prześledzić całą jego drogę aż do momentu, gdy wsiadł do czerwonego auta zaparkowanego zaledwie kilka przecznic dalej i odjechał. Udało się odczytać numery rejestracyjne. Szybko ustalono, że auto należy do wypożyczalni samochodów

eprasa.pl 89558b6b43

przy lotnisku w Jasionce pod Rzeszowem, wynajmującym okazał się 23-letni brytyjski obywatel.

Przyleciał do Polski dzień wcześniej, 8 maja. Policjanci odnaleźli jego nazwisko na liście pasażerów porannego lotu nazajutrz po ataku. Gdy przybyli na miejsce, mężczyzna zdążył już zwrócić auto. Na parkingu, w koszu na śmieci obok samochodu, znaleziono ubranie z napadu: bluzę, adidasy i rękawiczki – oraz zakrwawiony nóż. – *Był pewny, że zaraz po prostu zniknie* – mówi prok. Ziółkowski. Gdy sprawca pojawił się na odprawie w Jasionce, został zatrzymany.

– *Okazało się, że to zwykły chłopak spod Londynu. Biedna rodzina, on bezrobotny, chciał zarobić i połakomił się na pieniądze* – mówi jeden z policjantów. Mężczyzna miał obiecane 10 tys. funtów. Prokurator postawił mu zarzut usiłowania zabójstwa. Anglik początkowo nie przyznał się do winy i trafił do aresztu.

Ale to był dopiero początek śledztwa. Ustalono, że za wynajęcie auta i bilety lotnicze zapłacił z Anglii swoją kartą kredytową 19-letni Polak Aleksander K., pracujący tam na budowach. – *I tak po nitce dotarliśmy do jego ojca Piotra K., który okazał się konkubentem żony poszkodowanego, u którego wraz z dziećmi mieszkała* – opowiada prokurator. Mężczyzna od razu został zatrzymany i aresztowany.

Spotkali się po latach. Ona po rozstaniu z mężem wyjechała z Warszawy. I na stacji benzynowej wpadła na dawnego kolegę ze szkoły – właśnie Piotra K. Mężczyzna po czterdziestce, rozwodnik, dorywczo pracujący na budowach lub jako kierowca, wcześniej karany za posiadanie narkotyków. Związali się ze sobą.

Piotr wiedział, że rozwód jest burzliwy. Kobieta żaliła się na męża, cała sytuacja doprowadzała ją do płaczu. Paliła świece w intencji śmierci męża i codziennie się o to modliła. Były też kłótnie o dzieci. Choć sąd ustalił kontakty ojca z dziećmi, to gdy chciał wyjechać z nimi na wakacje, musiał je odbierać z pomocą policji. Konflikt narastał.

– *Rozmowy o tym, by fizycznie pozbyć się męża, zaczęły się szybko, co najmniej rok przed zamachem* – relacjonuje prokurator. Policjanci prowadzący śledztwo dodają: – *Dla kobiety rozwód był niewystarczający, nie miała własnych środków do życia, utrzymywała się tylko z alimentów od męża. Sąd mógł różnie rozstrzygnąć, jeśli chodzi o dzieci, np. by zostały przy ojcu, jeśli jest w stanie je utrzymać i wychować.*

Kobieta poprosiła o pomoc swoją przyjaciółkę z Warszawy Agnieszkę. To ona skontaktowała ją z Adamem Sz., członkiem grupy ożarowskiej, ojcem chrzestnym jej dziecka. Na spotkaniu był też obecny Piotr K. Gangster zgodził się przyjąć zlecenie, ale zażądał 1 mln zł, a wcześniej 300 tys. zł jako zaliczkę.

Po powrocie do domu Piotr K. oświadczył, że nie będzie w tym brał udziału, i się wyprowadził. Ale gdy dowiedział się od kobiety, że będą mieli dziecko, wrócił. Źle znosiła ciążę, więc wszystkie obowiązki, w tym zajmowanie się jej dziećmi z małżeństwa z menedżerem, spadły na niego.

Spotkań z gangsterem, który ciągle domagał się pieniędzy, było co najmniej cztery. Próby negocjacji kwoty zaliczki nie dawały rezultatu. Najpierw pomysł był taki, że Piotr K. sprzeda swój dom na wsi. Gdy się okazało, że nie jest to szybko możliwe, kobieta postanowiła sprzedać swoje mieszkanie. Ale i ta transakcja się przeciągała.

Zrobiło się groźnie, gdy Piotra K. odwiedzili ludzie „od Adama" i go pobili, domagając się 300 tys. zł na początek. Zagrozili, że zrobią krzywdę jego matce. – *Mężczyzna działał pod wpływem przymusu psychicznego ze strony partnerki, zakochał się, starał się, żeby była zadowolona, mieli wspólne dziecko. Czuł też ogromną presję ze strony Adama Sz. Był zastraszany, grożono mu* – opowiada policjant prowadzący śledztwo.

Pod koniec marca 2022 r. córka poprzedniej partnerki Piotra K. usłyszała od znajomego, że Piotr rozmawiał z nim na temat menedżera; mówił, że „trzeba się pozbyć jego głowy". Zagadnął też jej chłopaka. – *Piotr K. zapytał, czy znam kogoś, kto mógłby się pozbyć pewnego człowieka. Nie powiedział, o kogo chodzi* – opowiadał śledczym. Dziewczyna od razu przekazała detektywowi menedżera, że Piotr K. szuka zabójcy na zlecenie, oferuje pieniądze za jego głowę, więc niech na siebie uważa. Menedżer z obawy o swoje życie złożył zawiadomienie o podejrzeniu podżegania do zabójstwa przez żonę. Poprosił o policyjną ochronę, ale jej nie dostał. Wtedy wynajął prywatnego ochroniarza.

Tymczasem, gdy poszukiwania przez Piotra K. kilerów wśród znajomych nic nie dały, zwrócił się o pomoc do jednego ze swoich synów, przebywającego w Anglii. To on namówił znajomego Anglika. Powiedział, że chodzi o sprzątnięcie gościa, który przeszkadza ojcu przy narkotykach. I ojciec ma plan, jak to zrobić.

Gdy Anglik wylądował w Polsce, Piotr K. odebrał go z lotniska. Zapytany o plan, odparł jednak, że go nie ma. Powiedział, żeby zrobił to „the english way" – w angielski sposób – cokolwiek to miało znaczyć. Dał mu telefon do kontaktów z wbitą „pinezką", oznaczającą miejsce zamieszkania męża swojej partnerki, i 2 tys. zł, za które Anglik kupił m.in. nóż. Na koniec polecił, żeby sprawę załatwić szybko, najpóźniej następnego dnia. Anglik od rana czatował pod domem, widział, jak menedżer wychodzi z drugim mężczyzną, podbiegł, uderzył nożem. Potem pojechał do Rzeszowa i oddał auto. Znajomy Piotra K. zawiózł go do pensjonatu. Następnego dnia matka Piotra odwiozła go na lotnisko.

Żona menedżera została zatrzymana i aresztowana na samym końcu. Zaprzeczała, że miała w tym zamachu jakikolwiek udział, twierdziła, że śmierć męża nie jest w jej interesie. Prok. Dariusz Ziółkowski ocenia to inaczej: – *Podejrzana miała motyw, by pozbawić życia męża, który jest osobą zamożną, a jej odpowiadało wygodne życie. Jeżeli mąż zginąłby przed rozwodem, to cały jego majątek trafiłby do niej.* Według prokuratora o związku kobiety ze sprawą świadczyło także to, że nie zainteresowała się stanem zdrowia męża po ataku nożownika. A gdy spóźnił się z alimentami, bo leżał w szpitalu, natychmiast oddała sprawę do komornika. – *Śledztwo wykazało majątkowy motyw zabójstwa* – podsumowuje prok. Ziółkowski.

Anglik będzie odpowiadał za usiłowanie zabójstwa, grozi mu dożywocie. Biegli stwierdzili, że jest uzależniony od silnych narkotyków, ale miał świadomość czynu. Żona menedżera, jej nowy partner Piotr K., jego syn, matka, a także przyjaciółka żony i gangster z Ożarowa – wszyscy będą odpowiadać za podżeganie do zabójstwa i pomocnictwo. To przestępstwo zagrożone karą nie krótszą niż 8 lat, do 25 lat albo dożywocia.

Kto jaki miał udział w usiłowaniu zabójstwa mężczyzny, zdecyduje teraz sąd. ■

eprasa.pl 89558b6b43

Oblicza szwedzkiej starości

ILUSTRACJA MLV/AI

O tym, jak naprawdę wygląda życie seniorów w Szwecji, opowiada Jacek Kubitsky, 81-latek, psychoterapeuta i psychoanalityk, mieszkający i pracujący w Sztokholmie od 1966 r.

AGNIESZKA SOWA: **– Jaka jest starość w Szwecji? Łatwiejsza niż w Polsce?**

JACEK KUBITSKY: – Tu całe życie jest łatwiejsze, nie tylko starość. To kraj przyjaźnie nastawiony do ludzi. Autentycznie humanitarny nie tylko dla emerytów – dla wszystkich. Dla starca i dla niemowlęcia. Bo tu jest bardzo silny egalitaryzm, przekonanie, że wszyscy są równi i mają takie same prawa. Możesz być milionerem, ministrem albo być z marginesu – i będziesz obsługiwany z taką samą rewerencją. Pod tym względem Szwecja góruje nad Finlandią i Norwegią, gdzie społeczeństwo jest trochę bardziej klasowe. Więc na przykład w Szwecji nikomu nie przyszłoby do głowy ustąpić miejsca kobiecie. W środkach komunikacji publicznej zawsze są miejsca, a gdyby zdarzyło się w godzinach szczytu, że rzeczywiście wszystko jest zajęte, to sama myśl, że ktoś wstaje, żeby ustąpić miejsca kobiecie, jest śmieszna. Zresztą same kobiety też tak uważają. Dlaczego kobieta ma siedzieć,

eprasa.pl 89558b6b43

a mężczyzna zmęczony po fizycznej ciężkiej pracy ma stać?

A staruszce też nikt nie ustąpi?

Jeżeli starsza osoba ma kłopoty z poruszaniem się, ma do dyspozycji subwencjonowane taksówki. Państwo pomaga – za taki przejazd albo nie płaci się nic, albo bardzo mało. I większość z tego korzysta. W budynku, w którym mieszkam, w centrum miasta, są dwie panie, które zamawiają takie przejazdy.

Jakie jeszcze są udogodnienia dla seniorów czy ludzi z niepełnosprawnościami?

Seniorzy, którzy osiągnęli wiek 85 lat, mają darmowe leczenie i wszystkie leki. Nie płacą za nic. Z kolei młodsi pacjenci płacą za leki, ale dopóki nie przekroczą kwoty 2,9 tys. koron. Po wydaniu tej kwoty przez 12 miesięcy nie płacą już nic. Jeżeli chodzi o leczenie, to jest podobnie – płaci się do wysokości 1450 koron, a po przekroczeniu tej kwoty pacjent nie płaci za kolejne wizyty czy zabiegi przez rok.

Przeciętnego emeryta poniżej 85. r.ż. stać na to, aby na leczenie i leki wydać rocznie ponad 4 tys. koron?

Przeciętna emerytura w Szwecji po odciągnięciu podatku to 15,8 tys. koron. Więc tak, stać. A do tego sprzęt rehabilitacyjny – baloniki, kule, laski czy wózki inwalidzkie – są darmowe. Jeżeli ktoś chce jakiś inny, bardziej wygodny wózek, to może go sobie wynająć – płaci wtedy 600 koron, ok. 55 euro rocznie. Za darmo są aparaty słuchowe, automatyczne otwieracze do drzwi mieszkaniowych, lampy sygnalizacyjne czy rampy schodowe, jeżeli w mieszkaniu jest piętro. Przedstawiciele kasy chorych bez żadnych opłat zmienią kuchenkę na bezpieczną dla osoby niepełnosprawnej, przyniosą czajnik, który gwiżdże i sam się wyłącza, bezpieczne nożyczki i sztućce dostosowane do niesprawnych rąk, zamontują poręcze w łazience – wszystkie tego typu udogodnienia, które osobie niepełnosprawnej czy czasowo niesprawnej, np. po jakimś zabiegu, pomagają funkcjonować. I to, co jest piękne – to wszystko nie wymaga żadnej biurokracji, wypełniania formularzy czy innych ceregieli. Dają ci i potem, jak już nie jest ci to potrzebne, po prostu im oddajesz.

Z polskiej perspektywy brzmi jak jakaś bajka.

Szwecja jest państwem przyjaznym dla obywatela, w każdym wieku. Ale niestety, przy tych wszystkich pozytywach, zamożności, rozbudowanej infrastrukturze społecznej, Szwecja nie jest dobrym krajem dla ludzi trzeciego wieku. Nie jest krajem miłym, przytulnym. Niechętnie mówi się o tym oficjalnie, ale każdy Szwed, który ma środki finansowe, woli spędzić końcówkę swoich lat poza ojczyzną. Tutejsi emeryci wybierają najczęściej Hiszpanię albo południe Francji.

Może ze względu na klimat?

To na pewno też, ale nie tylko. Bo nie chodzi o klimat w sensie pogody, ale o klimat społeczny. Szwed, który przechodzi na emeryturę, wie, że jego autorytet zbliżył się do zera, jako jednostka społeczna niewiele się już liczy, jest tylko pozycją w budżecie socjalnym. W egalitarnej Szwecji nie ma większego znaczenia, czy emeryt był ministrem, profesorem czy sprzątaczem – teraz jest przede wszystkim na emeryturze. W innych krajach – a dużo podróżowałem i wciąż jeszcze podróżuję – starsi ludzie oczywiście również przestają być urzędnikami czy kierownikami, ich rola zawodowa się kończy, ale poza pracą, w życiu towarzyskim i społecznym jeszcze coś znaczą. Tutaj stary znaczy gorszy – i dotyczy to zarówno samochodu, roweru, komputera, telefonu, jak i człowieka. Pamiętam, jak uczyłem szwedzkich studentów hiszpańskiego i przerabialiśmy czytankę, w której było zdanie: „Stare wino – vino viejo – jest lepsze". A oni się dziwili: jak coś starego może być lepsze? Przecież stare zawsze jest gorsze; automatycznie dostaje stempel drugiej czy trzeciej kategorii. I w języku szwedzkim słowo „stary" ma inną konotację niż w polszczyźnie, w języku hiszpańskim, francuskim czy włoskim – nie wiąże się z doświadczeniem, mądrością czy respektem.

W tej egalitarnej Szwecji seniorzy są marginalizowani?

Turystów zagranicznych, którzy spacerują wieczorem po Sztokholmie, uderza brak ludzi starszych. Większość napotykanych osób ma poniżej 30 lat, a najczęściej ok. 20. W Sztokholmie w piątki i soboty po godz. 19 nie spotka się par emerytów, mimo że odsetek emerytów w Szwecji należy do najwyższych w Europie. Liczba mieszkańców Szwecji, którzy osiągnęli wiek emerytalny, wynosi 2 mln – czyli 20 proc. ludności ma powyżej 65 lat.

W żadnym kraju Unii Europejskiej nie widać tylu młodych ludzi na eksponowanych stanowiskach, co tutaj. Praktycznie w każdej dziedzinie – nowo mianowani dyrektorzy korporacji, redakcji telewizyjnych, wydawnictw, koncernów medialnych, nawet przedstawiciele organizacji związkowych czy dyrektorzy artystyczni teatrów – prawie nigdy nie są po pięćdziesiątce, rzadko bywają po czterdziestce.

Rozumiem, że preferowanie młodszych osób na kierowniczych stanowiskach może być przejawem marginalizacji, ale nikt przecież nie zabrania starszym spacerować wieczorem po ulicy czy pójść do restauracji… Może oni sami nie chcą?

Szwedzi, którzy podróżują po Francji, Hiszpanii lub mieszkają tam, nie mogą się nadziwić, że w kawiarniach czy restauracjach siedzą całe rodziny – z dziadkami i wnukami – lub grupy w zróżnicowanym wieku. I oni sami, będąc w tych krajach, też chętnie wieczorami chodzą do knajpek. Kiedy kilka lat temu objeżdżałem greckie wyspy, obserwowałem emerytów, z których emanowała godność i względne zadowolenie z życia. Oni oczywiście nie byli w centrum społeczeństwa, ale nie byli – jak w Szwecji – na skrajnym marginesie. Południowcy, którzy na ogół mają skromniejsze renty niż Skandynawowie, robią wrażenie ludzi bardziej zadowolonych z życia.

Segregacja ze względu na wiek występuje w każdym kraju, ale jest bardziej łagodna niż w Szwecji. I jest jeszcze kwestia samotności, która towarzyszy starszym ludziom na całym świecie. Samotność w każdym kraju smakuje trochę inaczej i to uczucie w Szwecji jest szczególnie dojmujące. Bo tutaj wszyscy zachowują dystans, są neutralni. A łatwiej być samotnym ▶

Jacek Kubitsky ukończył studia na Uniwersytecie Sztokholmskim (romanistyka, iberystyka, językoznawstwo, filmologia) oraz na Uniwersytecie Uppsalskim (psychologia). Potem zrobił specjalizację w dziedzinie psychologii klinicznej i psychoanalizy w Oslo. Przez ponad 30 lat pracował w szpitalach i przychodniach psychiatrycznych Sztokholmu. Jest autorem m.in. „Vademecum psychoterapeuty", „Vademecum terapeuty rodzinnego", „Szwecji od środka", „Polska på väg" („Rozmówki polskie dla Szwedów") oraz współautorem „Gramatyki szwedzkiej dla Polaków". W 1997 r. otrzymał Nagrodę Stowarzyszenia Tłumaczy Polskich za przekład z języka szwedzkiego „Słownika psychoanalizy".

© FLORIANITSKY84/WIKIMEDIA COMMONS

eprasa.pl 89558b6b43

▶ w kraju, gdzie ludzie są otwarci, interesują się sobą, spontanicznie wyrażają swoje uczucia – dobre i złe. Ludzie samotni czują się lepiej, gdy otaczają ich żywe, pełne wyrazu twarze, a nie pokerowe.

Czy Szwedzi sami zajmują się swoimi starszymi schorowanymi bliskimi, tak jak robią to najczęściej Polacy, czy raczej powierzają dziadków lub rodziców odpowiednim instytucjom?

Przeciętny Szwed liczy na pomoc państwa bardziej niż na pomoc rodziny. Jest na to określenie: „państwowy indywidualizm". I nie dlatego, że nie może liczyć na rodzinę, tylko w żadnym razie nie chce być dla niej ciężarem – nie chce, żeby najbliżsi musieli się nim opiekować. I nie ma takiej potrzeby, ponieważ państwo w bardzo wydajny sposób pomaga we wszystkim – więc ludzie bardzo długo są w stanie, nawet w podeszłym wieku, mieszkać sami i funkcjonować, oczywiście z jakąś pomocą.

Może jednak przyjść taki moment, że starszy człowiek już nie będzie w stanie sam funkcjonować. Z badań wiemy, że otępienie i demencja dotykają 80 proc. ludzi po osiemdziesiątce. A Szwedzi żyją przecież dłużej niż Polacy.

Mężczyźni – średnio 82 lata, Szwedki – 85 lat. Teraz, od ok. 20 lat, panuje przekonanie, że człowiek powinien się starzeć i umierać tam, gdzie żył do tej pory. Więc instytucje, domy opieki – to jest ostateczność. Na wcześniejszym etapie jest pomoc w domu. Organizują to gminy – w całym kraju jest 27 przedsiębiorstw komunalnych i 154 prywatne. Do domu przychodzi opiekunka, która zrobi zakupy, pranie, wyniesie śmieci, pomoże wziąć prysznic, umyć włosy, obciąć paznokcie, zabierze starszą osobę na przechadzkę. Taka pomoc jest odpłatna. Jeżeli ktoś ma niską emeryturę, może liczyć na dopłatę. Ale oczywiście osoba z demencją, niesamodzielna, musi trafić do domu opieki. W tych instytucjach warunki są naprawdę bardzo dobre: pierwszorzędne wyżywienie, opieka lekarska. Bardzo często są niezapowiedziane kontrole – i to sprawia, że skandale, jakieś złe traktowanie tych pensjonariuszy przez personel zdarzają się naprawdę rzadko. Do tego w Szwecji nie ma dowcipów na temat ludzi niepełnosprawnych. To jest absolutnie niedopuszczalne. Nikt by się nie śmiał z tego, że ktoś się np. jąka. Więc do wszelkiej niepełnosprawności, także tej związanej ze starością, podchodzi się – szukam odpowiedniego słowa – z szacunkiem. Byłem psychologiem klinicznym, pracowałem w szpitalach i nieraz uczestniczyłem w wywiadach medycznych przeprowadzanych z pacjentami z zaawansowaną demencją. Nikt nie okazywał zniecierpliwienia. Bardzo dba się o to, by traktować takich chorych z ogromnym poszanowaniem ich godności.

A jak seniorzy są traktowani w szpitalach? W Polsce mamy często problem z dyskryminacją medyczną najstarszych pacjentów, pisaliśmy o tym niedawno na naszych łamach (POLITYKA 19).

Tu raczej jest odwrotny problem. Od pewnego czasu w Szwecji toczy się dyskusja na temat nadmiernego leczenia osób terminalnie chorych (z ang. *overtreatment*). Zjawisko to było również tematem rozprawy doktorskiej obronionej w Instytucie Karolińskim, który przyznaje Nagrody Nobla w dziedzinie medycyny. Autor podaje, że 33 proc. pacjentów podczas ostatnich miesięcy życia poddawanych było skomplikowanym i często bolesnym zabiegom, które w żaden sposób nie były w stanie im pomóc. Całkiem niedawno wykładowczyni prawa Uniwersytetu Sztokholmskiego na łamach sztokholmskiej prasy opisała ostatnie tygodnie życia swojego 90-letniego ojca cierpiącego na chorobę nowotworową w fazie agonalnej. Mimo licznych próśb pacjenta, zarejestrowanych m.in. w karcie chorobowej, aby zaniechać dalszych zabiegów, lekarze dokonywali wielokrotnych transfuzji krwi, poddano go kilkunastu operacjom, karmiono i poddawano radioterapii. Pani profesor obliczyła, że w ciągu ostatnich ośmiu tygodni życia jej ojcem zajmowało się 43 lekarzy, 70 pielęgniarek, pięciu fizjoterapeutów, trzech dietetyków, nieznana liczba salowych oraz personel 11 karetek pogotowia. Wielu upatruje przyczynę tej nadgorliwości głównie w obawach lekarzy przed oskarżeniami o niedopełnienie obowiązków zawodowych i w błędnym przekonaniu rodziny pacjenta, że im więcej zabiegów, tym lepsze leczenie. Ale ta śmierć nie była dobra.

Pół wieku pracuje pan jako psychoterapeuta i psychoanalityk. Na pewno miał pan dużo pacjentów w podeszłym wieku. Czy szwedzcy seniorzy często mają depresję?

Kluczem w terapii jest zrozumienie, że starość nie jest tragedią. Nie jest chorobą. Jest naturalnym biegiem życia. Kolejnym, ostatnim już etapem. A życie zawsze składa się ze szczęścia i z nieszczęścia. Im jesteśmy starsi, tym tych nieszczęść jest więcej. Żadne leki, żadna terapia nie usunie takich zdarzeń jak np. śmierć osób najbliższych. Do tego dochodzi świadomość, że życie się kończy. Dlatego ludzie w podeszłym wieku są bardziej narażeni na depresję – zarówno w Polsce, jak i w Skandynawii.

Lęk przed śmiercią?

Szwedzi nie boją się śmierci. Tu jest inne podejście. Pamiętam z dzieciństwa, że w Polsce o śmierci się nie rozmawiało. A już na pewno nie z dziećmi. Temat tabu. A szwedzkie dzieci mają o śmierci pogadanki w przedszkolu i programy w telewizji. Pamiętam taki, w którym dziecko pyta prowadzącego w podeszłym wieku, ile ma lat. I jak ten odpowiada, to dzieciak mówi: „Aha, to ty niedługo będziesz leżał na cmentarzu". I ten potakuje. Więc tutaj ludzie nie boją się śmierci – tylko umierania, bolesnego umierania, a najbardziej tego, że nie będą samodzielni w tej końcówce życia. Że nie będą w stanie kontrolować swoich funkcji fizjologicznych. Albo jeszcze gorzej – że przed śmiercią będą wegetować jak roślina przez rok, albo i dłużej. Ja też się tego boję. Bo Szwedzi – a ja się też trochę stałem Szwedem przez tyle lat – są bardzo niezależni i szalenie sobie tę swoją niezależność cenią. I to jest właśnie woda na młyn osób, które propagują eutanazję.

Eutanazja jest w Szwecji zakazana?

Tak. Zdarza się, że Szwedzi jadą w tym celu do Szwajcarii, ale to kosztowne. Zabieg kosztuje ok. 200 tys. koron. W państwach dobrobytu, np. w Skandynawii, coraz więcej ludzi interesuje się nie tylko tym, jak żyć, ale także – jak umierać. Końcówka życia przecież prawie zawsze wiąże się z cierpieniem.

ROZMAWIAŁA AGNIESZKA SOWA

ODCHODZIĆ PO LUDZKU

Wszystkie teksty i wywiady, które do tej pory ukazały się w cyklu „Odchodzić po ludzku", znajdą Państwo w specjalnej zakładce na naszej stronie: **www.polityka.pl/odchodzicpoludzku** Zachęcamy też do dzielenia się z nami swoimi doświadczeniami: **akcja@polityka.pl**

eprasa.pl 89558b6b43

POLITYKA SKLEP

Zapraszamy na wygodne zakupy!
Dla siebie i bliskich. Kupuj dla szkoły, firmy, instytucji.

Kupuj nasze aktualne wydawnictwa

Prenumeruj uniwersalnie w druku i cyfrze

Już od 10,75 zł / wydanie

Cyfrowe wydania specjalne (EPUB)

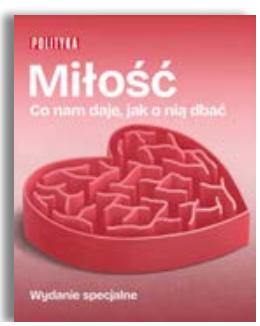

Przy zakupach powyżej 150 zł **dostawa gratis**.

Pełna oferta na **sklep.polityka.pl**

Prenumerata „Polityki", „Wiedzy i Życia" oraz „Świata Nauki" także z bezpłatną dostawą do wybranego InPost Paczkomat 24/7

eprasa.pl 89558b6b43

Czyste Powietrze, brudne interesy

CEZARY KOWANDA

ILUSTRACJA MARCIN BONDAROWICZ

Hojny program, który miał służyć remontom polskich domów, padł ofiarą oszustów. Teraz już nawet uczciwi boją się z niego korzystać.

Pani Magdalena z Myszkowa chciała razem z narzeczonym ocieplić stary dom, w którym mieszkają razem z trójką dzieci. Program Czyste Powietrze wydawał się idealnym rozwiązaniem. Rodzinie przysługiwał najwyższy poziom dofinansowania, pokrywający całość kosztów remontu, z wyjątkiem podatku VAT. Pani Magdalena wybrała firmę, jak jej się wydawało, solidną i doświadczoną. Nie podjęła tej decyzji pochopnie – sprawdzała opinie i konsultowała się z sąsiadami. Umowę podpisała niemal rok temu. Niestety, żadne prace do tej pory się nie rozpoczęły. Mimo że jesienią ubiegłego roku firma otrzymała zaliczkę z Wojewódzkiego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej (WFOŚiGW) – ponad 35 tys. zł, czyli połowę kosztów planowanej termomodernizacji. Do tego pani Magdalena zapłaciła wykonawcy jeszcze 5,5 tys. zł podatku VAT.

Niestety, firma z siedzibą w Goleniowie, która w ten sposób dostała łącznie ponad 40 tys. zł, nie wydała dotąd ani grosza na remont domu w Myszkowie. A teraz nie da się do niej dodzwonić. Tymczasem śląski WFOŚiGW stwierdził, że czas już na rozliczenie tej inwestycji. Skoro jej nie zrealizowano, pieniądze mają wrócić do programu Czyste Powietrze. Jednak urzędnicy zwrotu 35 tys. zł żądają nie od podejrzanej firmy, która przecież je od nich dostała, ale od pani Magdaleny. – *Od tej kwoty naliczane są jeszcze karne odsetki. Mamy zatem oddać już ok. 38 tys. zł, chociaż tych pieniędzy nigdy nie dostaliśmy, a firma nie wykonała u nas żadnych prac. Wojewódzki Fundusz nie chce nam w żaden sposób pomóc – twierdzi, że to nie jego zmartwienie. Z ogromną trudnością znaleźliśmy adwokata i złożyliśmy doniesienie w prokuraturze. Nie wiemy, co będzie dalej. Niedawno ustaliłam, że firma, która nas oszukała, nadal działa i nawet dostaje od Funduszu kolejne zaliczki na następne remonty w ramach Czystego Powietrza* – mówi pani Magdalena.

Rodzina pani Magdaleny to jedna z wielu ofiar nadużyć związanych z programem, który miał pomóc w wielkiej modernizacji polskich domów. – *Z pewnością nie można obciążać kosztami osób, które zostały oszukane przez nieuczciwych wykonawców.*

eprasa.pl 89558b6b43

Państwo powinno wręcz takim właścicielom domów zapewnić wsparcie w dochodzeniu roszczeń. Poza tym bulwersuje postawa publicznych instytucji: nie reagowały w porę, gdy pojawiało się już wiele informacji o nieprawidłowościach – twierdzi Miłosz Jakubowski, radca prawny Fundacji Frank Bold.

A przecież Czyste Powietrze jeszcze niedawno uchodziło za cudowną receptę na jeden z najbardziej wstydliwych polskich problemów – złą jakość powietrza, zwłaszcza w sezonie grzewczym. Gdy startowało w 2018 r., w Polsce używano około trzech milionów tzw. kopciuchów. Chodziło jednak nie tylko o wymianę pieców, ale także o kompleksowy remont domów jednorodzinnych. Tak, żeby zużywały mniej energii, a dzięki temu ich mieszkańcy mogli zaoszczędzić na rachunkach. Od początku w ramach Czystego Powietrza wprowadzono trzy poziomy dofinansowania, zależne od dochodów właścicieli nieruchomości. Najmniej zarabiający (obecny próg to 1,3 tys. zł miesięcznie na głowę w gospodarstwie wieloosobowym i 1,8 tys. zł dla mieszkających w pojedynkę) mogą liczyć na zwrot nawet 100 proc. poniesionych wydatków – z wyjątkiem podatku VAT – do określonej kwoty. Najpierw wynosiła ona 79 tys. zł, w 2023 r. została podniesiona do 135 tys. zł.

Niestety Czyste Powietrze było traktowane przez rząd PiS jako jedna z możliwości poprawy swoich politycznych notowań. W połowie 2022 r., czyli nieco ponad rok przed wyborami parlamentarnymi, wprowadzono zmiany, które miały oficjalnie pomóc najuboższym. Pojawiła się tzw. opcja prefinansowania – właściciele nieruchomości podpisują umowę z firmą, a ta dostaje przed rozpoczęciem prac zaliczkę pokrywającą nawet 50 proc. kosztów inwestycji. Teoretycznie w ten sposób rząd chciał wesprzeć tych, którzy nie mają środków na bieżące finansowanie remontu. Jednak to dofinansowanie było dostępne dla wszystkich firm, bez jakiejkolwiek weryfikacji. Nic dziwnego, że zaczęło pojawiać się coraz więcej oszustów, którzy znajdowali osoby w trudnej sytuacji materialnej, mieszkające w starych domach. Obiecywali im remont praktycznie za darmo – czasem nawet zapewniali, że zrekompensują podatek VAT. Namawiali do podpisania dokumentów i udzielenia pełnomocnictw, inkasowali kilkadziesiąt tysięcy złotych zaliczki od jednego z Wojewódzkich Funduszy Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej, a potem znikali bez śladu.

To niejedyny rodzaj malwersacji „na Czyste Powietrze". Nie brakowało również firm, które co prawda wykonywały obiecane prace, ale za to drastycznie zawyżały koszty. Wychodziły z założenia, że mieszkańcy tego nie zauważą, a państwo im zapłaci tyle, ile zażądają. Ministerstwo Klimatu i Środowiska, nadzorujące Narodowy Fundusz Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej, pokazało niedawno zdjęcia drzwi wartych kilka tysięcy złotych, które wykonawca wycenił na ponad 40 tys. zł. Do tej listy patologii można dopisać także instalowanie drogich pomp ciepła w budynkach nieocieplonych, co prowadzi do tzw. rachunków grozy za prąd.

Liczba nadużyć w Czystym Powietrzu okazała się tak ogromna, że pod koniec ubiegłego roku resort klimatu podjął kontrowersyjną decyzję – wstrzymał nabór nowych wniosków i obiecał reformę programu. W międzyczasie do prokuratury trafiły zawiadomienia o popełnieniu przez kilka firm przestępstw przy sześciu tysiącach inwestycji, na które poszło aż 600 mln zł dotacji.

Zwłaszcza ubiegły rok był dla Czystego Powietrza bardzo burzliwy. Najpierw okazało się, że PiS, zwiększając poziom dofinansowania i wprowadzając zaliczki dla wykonawców, nie zadbał o finansowanie programu. Tym bardziej że z powodu jego polityki Unia Europejska zablokowała Krajowy Plan Odbudowy. Na szczęście nowy rząd zdobył te pieniądze z Brukseli i dzisiaj to one są, razem z funduszami unijnymi, podstawowym źródłem zasilającym Czyste Powietrze. Niestety nie wiadomo, na jak długo wystarczy tych środków. Łącznie do programu od 2018 r. złożono ponad milion wniosków o wsparcie na łączną kwotę aż 38 mld zł. Rekordowy okazał się ubiegły rok, gdy do Wojewódzkich Funduszy Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej trafiło aż 270 tys. podań. Teraz trwa ustalanie, ile z nich dotyczy uczciwych inwestycji, a ile to efekt pomysłowości oszustów.

Zimowa przerwa w działaniu programu miała nie tylko uczynić go odporniejszym na nadużycia, ale też zmniejszyć opóźnienia w przetwarzaniu wniosków. Narzekają na to zwłaszcza wykonawcy, którzy twierdzą, że teraz urzędnicy traktują wszystkich jak potencjalnych oszustów, a z powodu rygorystycznych kontroli trzeba długo czekać na pieniądze. Od wiosny znowu można składać wnioski o dotacje z Czystego Powietrza, ale na razie zainteresowanie jest znacznie mniejsze niż w ubiegłym roku. ▶

eprasa.pl 89558b6b43

▶ – *Wiele osób po prostu się boi. Nieustanne komunikaty o podejrzanych firmach i surowych kontrolach wystraszyły planujących modernizację domu. Nie chcą znaleźć się w sytuacji tych, którzy muszą zwracać pieniądze z powodu niesolidnych czy nieuczciwych wykonawców. Obawiam się, że zamieszanie wokół programu może mu trwale zaszkodzić. A przecież jest on nadal bardzo potrzebny, skoro w Polsce wciąż używa się około dwóch milionów starych pieców węglowych. Przy całym zamieszaniu nie zapominajmy, że program na pewno pomógł w poprawie jakości powietrza – obserwujemy ją na stacjach pomiarowych w całym kraju, chociaż w różnym stopniu* – podkreśla Piotr Siergiej, rzecznik Polskiego Alarmu Smogowego.

Ile i dla kogo na Czyste Powietrze?

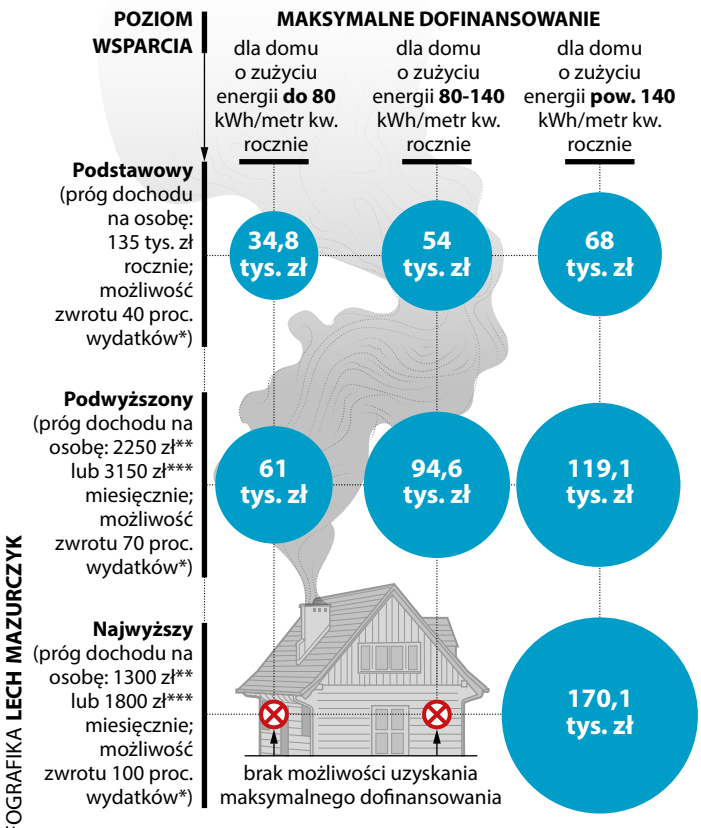

*BEZ VAT | **W GOSPODARSTWIE WIELOOSOBOWYM | ***W GOSPODARSTWIE JEDNOOSOBOWYM
ŹRÓDŁO: CZYSTEPOWIETRZE.GOV.PL

INFOGRAFIKA **LECH MAZURCZYK**

Reforma Czystego Powietrza, zaprezentowana niedawno przez Ministerstwo Klimatu i Środowiska, budzi mieszane odczucia. Pewne zmiany wydają się słuszne, np. o najwyższy poziom dofinansowania mogą ubiegać się tylko osoby, które są właścicielami lub współwłaścicielami domu od przynajmniej trzech lat. Chodzi o to, żeby nie przepisywać nieruchomości na osobę o najniższych dochodach w rodzinie tylko po to, by dostać dużą dotację. Poza tym przed rozpoczęciem inwestycji trzeba teraz przeprowadzić audyt energetyczny i ocenić, jakie będą korzyści z planowanego remontu czy wymiany pieca. Do niedawna nawet takie, wydawałoby się oczywiste kroki, nie były wymagane. W ramach prefinansowania firmy nie dostaną już 50, a najwyżej 35 proc. kosztów inwestycji. To powinno zmniejszyć liczbę wyłudzeń – tak samo jak wprowadzenie maksymalnych, dopuszczalnych do zwrotu kwot za konkretne produkty, na przykład drzwi czy okna. Koniec zatem z gigantycznymi marżami, które drenowały budżet Czystego Powietrza.

Jednak największy kłopot to wciąż zrzucanie odpowiedzialności za wybór wykonawcy na właścicieli. – *Nie ma żadnej listy rekomendowanych firm ani nawet rejestru tych, co do których zgłaszane są zastrzeżenia. Narodowy Fundusz Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej ostrzega przed oszustami i radzi bardzo starannie wybierać wykonawców, ale nadal to właściciele mają ponosić konsekwencje działania oszustów* – mówi Piotr Siergiej z Polskiego Alarmu Smogowego.

Do pomocy rząd wzywa teraz samorządy. Gminy mają przyjąć na siebie rolę operatorów programu, mają weryfikować wykonawców i doradzać właścicielom remontowanych nieruchomości. Tyle teoria, bo w praktyce gminy nie mają do tego ani środków, ani ludzi. – *Potrzebujemy operatorów hybrydowych, którymi mogłyby zostać na przykład banki czy instytucje zaufania publicznego. To one powinny wziąć na siebie rolę podmiotów sprawdzających, czy inwestycje w ramach Czystego Powietrza są realizowane uczciwie i czy przyniosą rzeczywiście zakładane efekty* – podkreśla Dawid Zieliński, prezes Columbus Energy, członka powołanego niedawno Związku Pracodawców Czystego Powietrza.

Jednak na nieuczciwych wykonawcach i zawyżonych fakturach nie kończą się problemy wokół programu. Ostatnie lata to również chaos informacyjny związany z tym, na co można dostać pieniądze, wymieniając kopciucha. Najpierw ogromną popularnością cieszyły się pompy ciepła. Jednak im więcej pojawiało się urządzeń marnej jakości, głównie importowanych z Azji, bez żadnej kontroli i testów ze strony polskich urzędów, tym szybciej Polacy odwracali się od pomp. Zwłaszcza gdy zaczęły krążyć informacje o ogromnych rachunkach za prąd w przypadku urządzeń źle dobranych czy nieprawidłowo zainstalowanych.

Od tego roku wsparcie z Czystego Powietrza nie przysługuje też w przypadku nowych pieców gazowych – to efekt unijnej polityki ograniczania zużycia paliw kopalnych, odpowiedzialnych za globalne ocieplenie. Polacy remontujący domy stawiają więc ostatnio głównie na kotły spalające pellet – na razie dość tani, ale im więcej będzie go potrzeba, tym bardziej trzeba się obawiać wzrostu cen.

W wyborze odpowiedniego urządzenia grzewczego powinna pomóc lista ZUM (Zielonych Urządzeń i Materiałów) opracowywana przez Instytut Ochrony Środowiska. Jedynie sprzęty obecne na niej kwalifikują się do dotacji w ramach Czystego Powietrza. – *Jednak na tej liście wciąż znajduje się sporo urządzeń o niskiej efektywności energetycznej i najniższych klasach energetycznych G. To przede wszystkim kotły i urządzenia elektryczne, które w ogóle nie powinny być dotowane, a są, i to z tą samą intensywnością co pompy ciepła. Ich wybór to prosta droga do rzeczywistych rachunków grozy, bo zużywają one od trzech do pięciu razy więcej energii elektrycznej niż pompy ciepła o klasach energetycznych A+* – ostrzega Paweł Lachman, prezes Polskiej Organizacji Rozwoju Technologii Pomp Ciepła.

Trudno oprzeć się wrażeniu, że Czyste Powietrze po prostu przerosło możliwości naszego państwa, które postanowiło stworzyć wielki program o gigantycznym budżecie. Tyle że teraz nie potrafi nim skutecznie zarządzać, dbać o jego finansowanie ani chronić go przed oszustami. Za to potrafi dochodzić roszczeń od zwykłych obywateli, którzy takim „czystym powietrzem" dali się zatruć.

CEZARY KOWANDA

eprasa.pl 89558b6b43

POSZERZAMY HORYZONTY

Naukowe miesięczniki POLITYKI

Czerwcowe numery już w kioskach i na sklep.polityka.pl

Prenumerata cyfrowa obu tytułów: projektpulsar.pl

Prenumerata także z bezpłatną dostawą do wybranego

InPost Paczkomat 24/7

pulsar

eprasa.pl 89558b6b43

Jakie pytanie, taka odpowiedź

O stosunku Polaków do gospodarki rynkowej mówi dr Andrzej Machowski, analityk badań sondażowych.

ILUSTRACJA **MAREK SOBCZAK**

JOANNA SOLSKA: **– Badania typu „Co Polacy myślą o…" wydają mi się mało wiarygodne, łatwo nimi manipulować.**

ANDRZEJ MACHOWSKI: – W pewnym sensie się z panią zgadzam, dużo zależy od sposobu zadania pytań. Chcąc się dowiedzieć, co myślą Polacy o gospodarce rynkowej, lepiej na przykład nie używać słowa „prywatyzacja".

Od razu kojarzy się z określeniem „złodziejska".

Kłopotliwych słów jest więcej, inne to „kapitalizm", też wielu ustawia na kontrze. Jeśli jednak zadamy pytanie: „Czy jesteś za gospodarką taką, jaka była w PRL przed 1990 r., czy raczej taką, jaka jest na Zachodzie", wybieramy tę na Zachodzie. Nie wprost opowiadamy się przeciw gospodarce, w której przedsiębiorstwa są państwowe, uznając wyższość rynkowej, czyli kapitalistycznej. Zgadzam się więc, że wiarygodny nie będzie wynik typu „54 proc. badanych jest przeciwko prywatyzacji" i nie o takie odpowiedzi zwykle badaczom chodzi.

Więc o co?

Jaki jest stosunek różnych grup do gospodarki rynkowej, a więc i prywatnej własności, i – co jeszcze ważniejsze – jak zmienia się w czasie. Dlatego cenię badania CBOS, które robi je od 20 lat i co dwa lata zadaje bardzo podobny zestaw pytań.

W ostatnim badaniu w 2023 r. za prywatyzacją było tylko 23 proc. ankietowanych. Tyle samo uznało, że „trudno powiedzieć". Aż 54 proc. było zdania, że znaczna liczba przedsiębiorstw państwowych powinna pozostać państwowa.

W 2016 r. zwolenników pełnej prywatyzacji było tylko 13 proc., 24 proc. nie miało zdania, a za pozostawieniem przedsiębiorstw pod kontrolą państwa opowiedziało się aż 66 proc. Więc coś się zmieniło.

Czyli rządy PiS sprawiły, że na prywatną gospodarkę zaczęliśmy patrzeć nieco przychylniej?

Teraz mamy badanie najświeższe, z marca, wykonała je Opinia 24 na zlecenie Forum Obywatelskiego Rozwoju. Jest bardzo ciekawe, gdyż pokazuje, jak to poparcie lub sprzeciw wygląda w różnych grupach społecznych.

W żadnym z czterech pytań nie pada słowo „prywatyzacja".

Chodziło o sens, a nie o wywołanie złych czy dobrych skojarzeń. Jeśli pytamy: „Czy wpływ polityków na gospodarkę powinien ograniczać się do tworzenia ram prawnych", mamy na myśli właśnie stosunek do gospodarki rynkowej.

Opisaną w pytaniu sytuację akceptuje 62 proc. ankietowanych.

Także 60 proc. popiera postulat drugi: „Politycy nie powinni mieć wpływu na to, kto kieruje działającymi na rynku przedsiębiorstwami i jakie podejmują one decyzje". Ale już teza trzecia: „Gospodarka funkcjonuje lepiej, gdy jak najwięcej przedsiębiorstw jest w rękach prywatnych, a jak najmniej należy do państwa" zyskała tylko 52 proc. poparcia.

Czyli inwestorom prywatnym ufamy jeszcze mniej niż politykom.

Tak. I potwierdziło to pytanie nie ogólne, ale wprost, o konkrety. Teza brzmi: „Kontrolę nad takimi firmami jak Orlen czy KGHM Polska Miedź

© ARCHIWUM PRYWATNE

eprasa.pl 89558b6b43

sprawuje państwo. Lepiej, gdyby właścicielami byli tylko prywatni inwestorzy, bo wtedy funkcjonowałyby one efektywniej i taniej". Zgodziło się z tym tylko 34 proc. badanych.

A więc Polacy są za gospodarką rynkową, a nawet przeciw…

Ograniczenie wpływu polityków na gospodarkę najsilniej akceptują osoby, w których rodzinach dochód na głowę przekracza 5 tys. zł netto, z wyższym wykształceniem, z miast powyżej 100 tys. mieszkańców, a także te powyżej 60 lat, co już może nieco dziwić.

Niekoniecznie. Te osoby na początku lat 90. były młode i z dużym entuzjazmem rzuciły się do budowy nowej Polski. Można przypuszczać, że należą do beneficjentów transformacji.

Tak wynika z badania. Nie dziwimy się, że w ostatnich wyborach parlamentarnych grupy te głosowały przede wszystkim na Koalicję Obywatelską, Konfederację, Trzecią Drogę i Lewicę. O wiele bardziej sceptyczni wobec gospodarki rynkowej są wyborcy PiS i partii Razem. Osoby najuboższe, z dochodami na głowę w rodzinie niższymi niż 3 tys. zł, z wykształceniem podstawowym lub zasadniczym zawodowym, w wieku 18–39 lat.

Dziwić się zaczynamy, gdy spytamy obie grupy o prywatyzację dużych przedsiębiorstw, takich jak Orlen czy KGHM…

Tak, bo najgorętszy sprzeciw wobec ich prywatyzacji wyrażają wyborcy...Koalicji Obywatelskiej. Ten stopień akceptacji gwałtownie maleje we wszystkich grupach, ale wśród zwolenników KO okazuje się największy. Najmniej przeciwników jest wśród ludzi młodych, gorzej wykształconych, mieszkańców mniejszych miast i wsi.

Jak pan to wytłumaczy?

Wyborcy KO słuchają liderów partii, na którą głosują, a ci w sprawie prywatyzacji nie mówią nic. Jakby proces budowania gospodarki rynkowej w Polsce został zakończony i duże firmy, jak KGHM czy PZU, miały pozostać pod kontrolą państwa. Mówią tylko, że proces powoływania władz tych wielkich spółek zostanie odpolityczniony, kierować nimi będą bezpartyjni fachowcy powoływani w konkursach, nie zaś, jak za rządów PiS, nominaci partyjni, często bez kompetencji i skrupułów. Tylko że na razie pozostaje to w sferze obietnic. Polityka gospodarcza KO od tej prowadzonej przez PiS różni się na razie tylko stopniem uczciwości polityków, takie przewały jak wtedy obecnie są nie do pomyślenia.

- Najbardziej sceptyczni wobec gospodarki rynkowej są wyborcy PiS i partii Razem.
- Nowa Lewica jest równie prorynkowa jak Konfederacja.
- Wyborcy KO są za kapitalizmem, ale najbardziej ze wszystkich sprzeciwiliby się prywatyzacji Orlenu czy KGHM.

Ale wyborcy koalicji 15 października zdają sobie sprawę, że przez osiem lat rządów PiS władza obdarowała wielkie państwowe firmy pozycją monopolistyczną. Jak prywatyzować monopol? Gorszy od monopolu państwowego jest tylko prywatny?

A słyszała pani, żeby KO mówiła coś o demonopolizacji gospodarki? Moje wytłumaczenie obecnego odejścia KO od gospodarczego liberalizmu jest prostsze. Partia idzie za głosem narodu, a społeczeństwo na tematy gospodarcze wie niedużo. Emocje antyprywatyzacyjne są tak wielkie, że Platforma Obywatelska postanowiła się im nie sprzeciwiać. W kwestiach gospodarczych mówi dziś głosem PiS. Badania socjologiczne jednak pokazały, że w sprawach światopoglądowych, dotyczących aborcji, praw kobiet, mniejszości seksualnych, polskie społeczeństwo ją wyprzedziło i partia musi je dogonić, bo straci wielu wyborców.

Proszę zobaczyć, jak bardzo konserwatywni byli politycy Platformy przed powrotem Donalda Tuska do Polski, a jacy są teraz, gdy Tusk wręcz stwierdził, że dla przeciwników aborcji nie będzie miejsca na listach wyborczych. W tej sprawie partia stała się progresywna.

Andrzej Machowski
– dr psychologii, specjalista w zakresie psychometrii, współzałożyciel Fundacji Forum Długiego Stołu.

W kampanii prezydenckiej gospodarka była praktycznie nieobecna.

Uczciwe mówienie o niej jest dla polityków niebezpieczne. Wszyscy się godzą, że sprawą numer 1 dla społeczeństwa jest kiepska publiczna ochrona zdrowia, a politycy Lewicy dogadali się nawet z prezydentem Dudą, żeby zawetował obniżenie składki dla przedsiębiorców. O tym, że powinni ją płacić także rolnicy, nie wspomniał nikt.

Jeśli chodzi o sprawy gospodarcze, z badań wynika, że nawet liderzy partyjni nie bardzo wiedzą, w którą stronę zmierzać. USA, przed laty największy orędownik globalizacji, głosem prezydenta Trumpa ogłosiły odwrót. Polskie społeczeństwo światopoglądowo jest postępowe, w sprawach gospodarczych pogubione. Co z tego wynika dla naszych wyborów politycznych?

Są mniej przewidywalne. Nasz głos zależy od tego, czy jesteśmy bardziej liberalni światopoglądowo, czy gospodarczo.

Bo to się wyklucza?

Spójrzmy na partie lewicowe. Wielu komentatorów się dziwi, dlaczego się podzieliły, razem lewica byłaby o wiele silniejsza. Z naszych badań wynika, że musiały się podzielić. Mimo tego, że ich poglądy na prawa kobiet, liberalizację aborcji, związki partnerskie są identyczne. Ale w sprawach dotyczących gospodarki różnią się diametralnie. Razem i jej wyborcy są największymi przeciwnikami gospodarki rynkowej, podczas gdy Lewica okazuje się o wiele bardziej liberalna nie tylko od KO, ale też od Konfederacji.

Wyborcy Razem mogą kierować się wiarą, że nawet złych polityków kontrolujących państwowe spółki można w wyborach zmienić na lepszych. Gdyby Orlen został sprzedany, tracimy nad nim kontrolę.

To spójrzmy głębiej: na skali od 0 (całkowity brak akceptacji dla prywatyzacji) do 100 pkt (za prywatyzacją wszystkiego) wyborcy Razem otrzymali 53 pkt, najmniej spośród wszystkich grup, a Prawa i Sprawiedliwości – 57. Głosujący na Lewicę akceptują rynek w o wiele większym stopniu, 67 pkt. Wyborcy Trzeciej Drogi – 68, Konfederacji – 69, KO – 71. Gdybyśmy wyciągnęli z tego średnią, wychodzą 63 pkt. A to już jest nieźle: bo przy wszystkich zastrzeżeniach do kapitalizmu jego prawa akceptujemy w coraz większym stopniu. ■

eprasa.pl 89558b6b43

Przestrogi Zbiga

Nowa biografia polsko-amerykańskiego mistrza geopolityki Zbigniewa Brzezińskiego trafia w idealny moment dziejowy, bo Ameryka znów nie wie, co zrobić z Rosją.

TOMASZ ZALEWSKI Z WASZYNGTONU

Czy ten Brzeziński jest spokrewniony z Miką Brzezinski? – to jedno z pytań najczęściej zadawanych przez internautów w USA, kiedy usłyszą gdzieś lub przeczytają nazwisko zmarłego w 2017 r. polsko-amerykańskiego mistrza geopolityki. Mikę, współgospodynię popularnego programu MSNBC News „Morning Joe", ogląda przy śniadaniu ponad milion rodzin. Jest celebrytką. Jej ojca, doradcę ds. bezpieczeństwa narodowego prezydenta Jimmy'ego Cartera (1977–81), kojarzą członkowie elit politycznych i wyedukowani starsi Amerykanie. Inni Zbigniewa Brzezińskiego nie pamiętają.

Do tej zbiorowej amnezji przyczyniła się niechęć amerykańskiej lewicy do Zbiga. Pośmiertne wspomnienie o nim w „New York Timesie" razi nieżyczliwą tendencyjnością. Wyszedł na fanatycznego rusofoba i antykomunistę, który dla pokonania rosyjskiego niedźwiedzia gotów był poświęcić żywotne interesy Ameryki. Chodziło o inspirowaną radami Brzezińskiego politykę

eprasa.pl 89558b6b4

Cartera wobec islamskiej rewolucji w Iranie i poparcie dla walczących z Sowietami dżihadystów w Afganistanie. Jego wrogowie, których nie brakowało, stawiali mu nawet absurdalny zarzut, że był „ojcem Al-Kaidy", chociaż organizacja Osamy bin Ladena powstała kilkanaście lat później.

Wydana właśnie w USA książka Edwarda Luce'a „Zbig: The life of Zbigniew Brzezinski, America's Great Power Prophet" stanowi cenną korektę tej karykatury. Przypomina jego ogromne zasługi dla Ameryki i świata. I pokazuje, jak skomplikowaną był postacią, niedającą się ideologicznie ani politycznie zaszufladkować. Luce, nazywając go prorokiem, brzmi nieco przesadnie, ale Brzeziński przewidział to, czego nie mogła sobie wyobrazić większość amerykańskiego establishmentu – przede wszystkim rozpad ZSRR i bankructwo komunizmu. A po zakończeniu zimnej wojny ewolucję Rosji w kierunku wielkoruskiego szowinizmu, wbrew nadziejom na jej demokratyzację.

Ponad 500-stronicowe dzieło Luce'a, dziennikarza „Financial Timesa", pełne fascynujących detali z życia Brzezińskiego, to dopiero pierwsza biografia Zbiga w świecie anglosaskim. Jego rehabilitacji jako naczelnego architekta rozbiórki ZSRR dokonał już Andrzej Lubowski w wydanej także w USA książce „Zbig: człowiek, który podminował Kreml". Ta jednak wyszła jeszcze za życia Brzezińskiego. Luce obserwował Zbiga aż do jego śmierci osiem lat temu, a więc już w najnowszych, coraz bardziej niespokojnych czasach dla Ameryki. Dzięki tej biografii widać, że Brzeziński to nie tylko historia; jego idee pomagają zrozumieć także to, co dzieje się na świecie dzisiaj.

Siać ferment

Brzeziński był najwybitniejszym w powojennych Stanach strategiem geopolityki, obok Henry'ego Kissingera, sekretarza stanu i doradcy ds. bezpieczeństwa narodowego prezydenta Richarda Nixona (1969–74). Obaj rywalizowali ze sobą, nieraz zaciekle, ale łączył ich wzajemny szacunek i podobne pochodzenie – jako imigranci z Europy (Kissinger z Niemiec) przełamali monopol białych, anglosaskich elit na formowanie amerykańskiej polityki zagranicznej. Obaj decydująco przyczynili się do zwycięstwa Ameryki w zimnej wojnie, choć w różny sposób.

Kissinger, wyznawca teorii, że podstawą ładu światowego jest równowaga sił między mocarstwami, uważał, że w zimnowojennej konfrontacji trzeba się skupić na Związku Radzieckim. Postrzegał go jako potęgę doganiającą Amerykę, której imperialne ciągoty można jedynie osłabiać (choćby odciągając Pekin od Moskwy) i wewnętrznie rozmiękczać polityką „pokojowego współistnienia". Blok satelickich państw wokół ZSRR nie bardzo go interesował, czym wpisywał się w dominujący wówczas w USA schemat myślenia.

Brzeziński, spadkobierca tradycji liberalnego idealizmu, dla którego naczelnymi wartościami były sprawiedliwość i prawa narodów do samostanowienia, dostrzegał piętę achillesową ZSRR – niewygasłe poczucie narodowych odrębności wchodzących w jego skład republik i ferment w zniewolonych krajach sowieckiego bloku w Europie. Zgadzał się z Kissingerem, że zainicjowana przez niego polityka odprężenia, dialogu i kontaktów z Moskwą ma sens, ale uważał, że idzie za daleko, szczególnie w rokowaniach rozbrojeniowych, w których Waszyngton za bardzo ustępował.

Brzeziński krytykował też to, co w polityce duetu Nixon-Kissinger uważał za akceptację sowieckiej strefy wpływów w Europie Wschodniej. Zamiast tego, podkreślał, należy podtrzymywać nastroje etnicznej odrębności narodów ZSRR i wspierać wyzwoleńcze aspiracje europejskich demoludów. Pobudzać siły odśrodkowe, aż rozsadzą imperium.

Elementem tej strategii było uczynienie z praw człowieka realnego elementu polityki zagranicznej. Szybko dało to krzepiący impuls takim inicjatywom, jak KOR w Polsce czy Karta 77 w Czechosłowacji. Dalszy ciąg znamy: polska Solidarność, przyjaźń i współpraca Brzezińskiego z papieżem Janem Pawłem II, presja Ronalda Reagana, którego rozbudowa arsenału USA zmusiła ZSRR do rujnującego go wyścigu zbrojeń, Michaił Gorbaczow, a w końcu bankructwo i rozpad sowieckiego imperium.

Rola w tym dziele Brzezińskiego, z którego sugestii Reagan korzystał i rozważał nawet zatrzymanie go w Białym Domu jako doradcę ds. bezpieczeństwa narodowego, oddaliła go od Partii Demokratycznej, z którą był związany od młodości. Chociaż doradzał w przeszłości także J.F. Kennedy'emu i Lyndonowi Johnsonowi, Demokraci – w sprawach międzynarodowych dryfujący na lewo – uznali go za nieuleczalnego jastrzębia i wojennego podżegacza.

Zwycięstwo Ameryki w zimnej wojnie potwierdziło, że miał rację, co musieli przyznać jego najsurowsi krytycy z mediów. Nixon przysłał mu telegram z gratulacjami. „Rozpad bloku sowieckiego pokazuje pana kwalifikacje proroka, gdyż przewidywał pan taki rozwój wydarzeń na długo, zanim inni dostrzegli ich nadejście" – napisał były prezydent.

Przyciągać Rosję

Zbig nie uważał jednak – za Francisem Fukuyamą – że koniec zimnej wojny oznacza także koniec historii. Jak napisał Luce, miał wątpliwości, „czy arogancki i hedonistyczny Zachód nie zmarnuje tej szansy". Sceptycznie obserwował stosowanie sprawdzonej w Polsce terapii szokowej w zsowietyzowanej i upokorzonej Rosji. Przeczuwał jej ewolucję ku wielkoruskiemu nacjonalizmowi i odnowienie sojuszu z Chinami. Od początku wątpił, że były KGB-owiec Władimir Putin okaże się przyjacielem zachodniej wspólnoty, jak naiwnie wierzył m.in. George W. Bush.

Szczególnie niepokoił Brzezińskiego triumfalizm na republikańskiej prawicy. „Zachód uważa się za coś wyższego z natury. I zakłada, że bieg historii jest jednoliniowy, a imitacja Zachodu to jedyna pozytywna opcja dla innych" – pisał w wydanej w 1993 r. książce „Bezład". To też okazało się prorocze. Po ataku Al-Kaidy na USA 11 września 2001 r. dominujący w ekipie Busha juniora neokonserwatyści skorzystali z okazji, by obsesję zagrożenia islamskim terroryzmem wykorzystać dla realizacji swych planów. I w 2003 r. pchnęli prezydenta ignoranta do inwazji na Irak, ogłaszając – kiedy okazało się, że oficjalny powód agresji, broń masowego rażenia u Saddama Husajna, jest kłamliwy – że chodzi o szerzenie na Bliskim Wschodzie demokracji.

Przestróg Brzezińskiego nie słuchano, bo republikańscy neokoni nienawidzili go za rzekome antyizraelskie uprzedzenia, a Demokraci nie ufali mu jako zimnowojennemu jastrzębiowi. Znowu płynął pod prąd – potępiał inwazję na Irak, popieraną przez zdecydowaną większość społeczeństwa. Świadomość idiotyzmu tej wojny, która zraziła do Ameryki świat arabski i muzułmański, docierała do Amerykanów w miarę przeradzania się zwycięskiej początkowo inwazji w walkę z powstaniami przeciw okupantom.

W swej antywojennej kampanii Zbig znalazł nieoczekiwanego sojusznika – czarnoskórego demokratycznego senatora Baracka Obamę. I poparł jego kandydaturę na prezydenta przeciwko faworytce partyjnego establishmentu Hillary Clinton. ▶

© ANDRZEJ IWAŃCZUK/REPORTER

eprasa.pl 89558b6b43

▶ Widział w nim najlepszego dla USA przywódcę w epoce globalizacji i politycznego ożywienia narodów światowego Południa. Wybrany do Białego Domu w 2008 r. Obama zawiódł jednak jego oczekiwania.

Obserwując Rosję Putina, Brzeziński zdawał się wierzyć, że ten mafijny, skorumpowany reżim musi się kiedyś załamać. Niezmiennie uważał też, że Rosja nie może być imperium bez Ukrainy, z jej czarnoziemami, klimatem sprzyjającym rolnictwu, bogactwami naturalnymi i ciężkim przemysłem. Wspierał Kijów w próbach demokratycznych reform, w jego europejskich aspiracjach, kibicował pomarańczowej rewolucji. Wielokrotnie podróżował do Ukrainy, odgrywając rolę mentora jej kolejnych prezydentów, by nie dali się zwasalizować Moskwie. W lutym 2014 r. z entuzjazmem powitał obalenie prorosyjskiego Wiktora Janukowycza.

Brzeziński nie popierał jednak przyjęcia Ukrainy do NATO. Nie wzywał do tego nawet wtedy, kiedy Putin – w odpowiedzi na rewolucję na Majdanie – zagarnął Krym i część Donbasu. Uważał, że Ukraina winna pozostać buforem między Rosją i Europą. W swej ostatniej książce „Strategic Vision" opowiadał się za jej „finlandyzacją". Wierząc w przemijalność dyktatury Putina, był zdania, że trzeba wciągać Rosję w orbitę Zachodu. Obawiał się, że zaproszenie Ukrainy do NATO może to uniemożliwić i pchnąć Moskwę w objęcia Pekinu.

Ale Zbig nie wierzył, jak niemal wszyscy w Ameryce, że Putin zdecyduje się rozwiązać problem Ukrainy siłą. Zmarł pięć lat przed rosyjską inwazją w lutym 2022 r. Jak zareagowałby na nią, gdyby żył? – *Mocno popierałby pomoc wojskową dla Kijowa i ekonomiczną presję na Rosję* – mówi były ambasador w Warszawie Daniel Fried. Innymi słowy: podpisywałby się pod polityką prezydenta Joe Bidena. Czy zmieniłby zdanie co do członkostwa Ukrainy w NATO, tak jak Kissinger, który po rosyjskiej napaści zaczął je popierać? Nie sposób odgadnąć.

Trzymać porządek

Pytany w ostatnich latach życia, czego na arenie międzynarodowej obawia się najbardziej, Brzeziński (m.in. w rozmowie z autorem tego tekstu) odpowiadał najczęściej: chaosu. Dwubiegunowy podział świata w okresie zimnej wojny był klarowny i stabilny w porównaniu z hegemonią USA, kwestionowaną w naszym stuleciu przez nowe mocarstwa z grupy BRICS, z Chinami na czele. Regiony nasilających się zbrojnych konfliktów na Bliskim Wschodzie, wokół Zatoki Perskiej i w południowej Azji (Indie kontra Pakistan) nazywał Nowymi Globalnymi Bałkanami, dzisiejszym wybuchowym kotłem, gdzie Ameryka powinna się angażować, gdyż ma tam strategiczne interesy – tylko nie tak jak w Iraku.

W książce „Strategic Vision" Brzeziński przekonywał, że świat – coraz bardziej multipolarny i skonfliktowany – wymaga wciąż jednolitego przywództwa i tylko Ameryka może odgrywać taką rolę. Nie chcemy przecież – twierdził – by liderem zostały totalitarne Chiny, a Europa też się do tego nie nadaje, bo zamienia się zdaniem Brzezińskiego w „luksusowy dom starców".

Tymczasem Ameryka, obawiał się, może nie sprostać takim oczekiwaniom z powodu swych wewnętrznych niedostatków. „Amerykanie nie uczą się o świecie, nie studiują historii powszechnej ani geografii" – powiedział w rozmowie z Luce'em. Mówił o ogromnych nierównościach, pogarszającym się stanie infrastruktury, obniżających się standardach edukacji, impasie legislacyjnym w Kongresie wskutek politycznej polaryzacji. Kiedyś pełen optymizmu co do kondycji Ameryki i jej możliwości na świecie, pod koniec życia zbliżał się do pesymizmu Kissingera, który już w latach 70. uważał ją za supermocarstwo schyłkowe.

Jeżeli Ameryka miałaby nadal odgrywać przywódczą rolę w świecie, musiałaby mieć lidera, który temu zadaniu podoła. Tymczasem wybrała prezydenta, który zarządza rozmyślnie wywołanym przez siebie chaosem, na scenie międzynarodowej improwizuje, a przede wszystkim wyrzeka się jakiejkolwiek odpowiedzialności za bieg globalnych wydarzeń.

Podczas kampanii wyborczej w 2016 r. Zbig zwrócił uwagę, że Donald Trump „nie ma żadnego spójnego strategicznego planu" polityki zagranicznej. Zaraz po wyborach w przemówieniu w Pentagonie przyznał, że uważa ich zwycięzcę za polityka nienadającego się na prezydenta. Przewidywał „nadchodzące zaburzenia w kraju i na świecie". Na niespełna dwa miesiące przed śmiercią, 2 kwietnia 2017 r., ostrzegł, że aby im zapobiec, „potrzeba cierpliwości, inteligencji i prezydenta, który nie używa publicznych wystąpień dla rozrywki, lecz jest przygotowany do dyskutowania o globalnych problemach, z którymi mamy dziś do czynienia".

Był to początek pierwszej kadencji Trumpa. Jak komentowałby ciąg dalszy, można tylko spekulować. Trudno jednak o coś bardziej obcego przesłaniu życia i dorobku Brzezińskiego niż nacjonalistyczny populizm i izolacjonizm America First. Z pewnością potępiałby zwłaszcza unilateralizm Trumpa i jego kłótnie z sojusznikami Ameryki. – *Podobnie jak Kissinger, Brzeziński nie ufał polityce zagranicznej dyktowanej ideologią, prowadzonej pod dyktando sojuszu ze skrajną prawicą w Europie* – mówi Ian Lesser, dyrektor europejskiego biura German Marshall Fund.

Słuchać ekspertów

W maju 2017 r. Brzeziński zasłabł i trafił do szpitala. Kiedy budził się ze stanu półśpiączki, mówił w malignie po polsku. Chociaż urodził się w Warszawie, tylko trzy lata w dzieciństwie mieszkał w Polsce, bo jego ojciec – dyplomata – pracował na placówkach we Francji, Niemczech i w Kanadzie. Po wojnie wiele razy przyjeżdżał do kraju swego urodzenia. W Waszyngtonie zawsze znajdował czas dla polskich korespondentów, kiedy mieli do niego pytania o politykę USA w Europie Wschodniej. Sam czasem pytał o ich ocenę sytuacji w kraju.

Martwiło go dojście do władzy PiS w 2005 i 10 lat później. Krytykował tę partię za ataki na Unię Europejską i fobię antyniemiecką. Szczególną odrazę okazywał promotorom spiskowej teorii zamachu na samolot prezydencki 10 kwietnia 2010 r. „To ludzie, którzy świadomie lub nieświadomie, może dlatego, że są chorzy, dzielą społeczeństwo i podważają wiarygodność państwa, rządu i sprawiedliwości" – powiedział w wywiadzie dla „Time". Krytykował pochowanie Lecha Kaczyńskiego na Wawelu. PiS się zrewanżował, odwołując plan budowy pomnika Brzezińskiego w Warszawie.

Warto zatem przypomnieć, że waszyngtoński establishment dość zgodnie uznaje Zbiga za najważniejszego w USA, obok Kissingera, teoretyka i praktyka geopolityki w drugiej połowie XX w. W okresie zimnej wojny nie było stratega polityki zagranicznej o tak głębokiej wiedzy historycznej i rozległych horyzontach. – *Takich ekspertów jest teraz dużo mniej. A ci, którzy są, mają znacznie mniejszy wpływ na polityków* – mówi Ian Lesser. Obecny prezydent twierdzi, że w ogóle ich nie potrzebuje. Ale potrzebuje ich Ameryka.

TOMASZ ZALEWSKI

eprasa.pl 89558b6b43

Grube Indie

Kiedy o jedzenie łatwiej niż o pieniądze, nawet asceci z sekty Naga Babas mogą mieć problem...

Półtora miliarda ludzi, miliony wciąż niedożywionych, a kraj już jest w globalnej czołówce otyłości. Kojarzeni kiedyś z ascezą Indusi dziś się bogacą, czyli jedzą gorzej i mniej się ruszają.

PAULINA WILK

Grube są nawet uliczne psy. Dekadę temu to było nie do pomyślenia. Biegały po ulicach z wystającymi żebrami, walcząc o wyszarpane ze śmietników resztki. Uciekały przepędzane sprzed restauracji, po czym wracały i znów wysiadywały, czekając na ochłap. Teraz w śmietnikach łatwiej znajdują więcej jedzenia wysokoprzetworzonego, tańszego. Leżą, ospałe, z widoczną otyłością, na chodnikach Delhi, ale i w himalajskich wioskach.

Na stołach, restauracyjnych zapleczach i w kubłach z odpadkami walają się spożywcze resztki, jeszcze do niedawna rzecz niespotykana. W początkach XXI w. nie było żadnej przesady w stwierdzeniu „wyjeść do ostatniego ziarnka". Jedzący dłońmi Indusi potrafili z klasą oczyścić talerz z odrobinek ryżu i ostatniej kropli sosu. A jeśli posiłek okazał się za duży, kelnerzy bez pytania skwapliwie pakowali wszystko, co zostało, na wynos. Teraz klientów stać na to, by nie dojeść.

Że jedzenia jest więcej i że staje się bardziej dostępne, widać także po zmianie zachowania żebrzących. Coraz rzadziej wykonują ten niemy, przeszywający gest: palce dłoni złożone razem, przykładane do ust, a potem dłoń otwarta, wyciągnięta błagalnie: „Daj jeść". Teraz częściej proszą o pieniądze. Zdarza się, że danego w jałmużnie banana rzucają na ziemię. Nie tego od żebrzących wymagają wykorzystujące ich gangi. Ale też im o samą żywność jest łatwiej niż o gotówkę – szczególnie gdy na zakorkowanej ulicy krążą między autami i pukają z nadzieją w szyby klimatyzowanych SUV-ów. W bogacących się i urbanizujących Indiach wyżywienie i zamożność chodzą dziś nowymi ścieżkami.

A chodzi się coraz mniej, bo każdy, kogo stać, jedzie. SUV-y to globalny symbol statusu w wyższej klasie średniej, a im większe upały i nieznośny smog, tym szczelniej bogaci starają się od niego odciąć, zwiększając zużycie paliwa. Ale i tych ledwie aspirujących częściej stać na motory, samochody, taksówki czy popularnego w Indiach Ubera. Kraj się spieszy – pieszo, w upale i spalinach chodzą i żyją już tylko ubodzy.

Gdyby Indie odwiedzić w pierwszych dekadach po uzyskanej w 1947 r. niepodległości, widok wielu ludzi chronicznie niedożywionych lub wprost głodujących byłby normą. Miliony przesiedleńców po wyznaczeniu nowych granic, kolejne fale migrantów – spauperyzowany kolonizacją kraj słaniał się na nogach. Wyżywienie i napojenie ludności było najważniejszym zadaniem nowego państwa. Stąd polityczny impet projektów infrastrukturalnych w rolnictwie, stąd niesławna ▶

© ALBERTO BUZZOLA/LIGHTROCKET/GETTY IMAGES

eprasa.pl 89558b6b43

▶ dziś Zielona Rewolucja, która co prawda zwiększyła wydajność upraw, ale za cenę używania olbrzymich ilości pestycydów i zniszczenia tradycyjnych upraw. Do końca stulecia jedzenie do syta pozostawało synonimem luksusu.

W latach 80. XX w. na ulicy można było się poczuć jak na boisku. Samochodów jak na lekarstwo, tylko autobusy, czasem riksze. Dzieci biegały po wielkich miejskich rondach, urządzając sobie po szkole mecze krykieta albo puszczając latawce. Były w ruchu, szczupłe, wiele niedożywionych albo głodnych. Dziś są wożone do szkół samochodami, wynajmowanymi prywatnie rikszami, coraz częściej pulchne lub otyłe. Na powietrzu bawią się dzieciaki z niższych grup społecznych: z ciasnych domków, slumsów, gdzie duże rodziny gnieżdżą się w małych mieszkaniach i rzadko jedzą urozmaicone posiłki. Dobrze, gdy są placki, ryż, cebula, pomidor, olej. Te dzieci z kolei są za niskie, za lekkie.

Bez względu jednak na pochodzenie ruszają się coraz mniej. Tani internet i tanie smartfony sprawiają, że także rodziny żyjące na chodnikach mogą dzieciom dać do ręki wirtualną zabawkę. Gry w piłkę nikt nie musiał zakazywać, wyszła z mody. Zresztą na ulicach jest dziś tyle aut, że bawić się nie ma gdzie. Bo place zabaw w Indiach to nowinka występująca tylko na zamkniętych osiedlach. Jedynymi powszechnie dostępnymi i bezpiecznymi przestrzeniami aktywności fizycznej dzieci są szkoły i ich boiska.

Gdyby jeszcze w latach 90. poprosić o sporządzenie portretu typowego Indusa, byłby to człowiek szczupły, idący przez miasto czy wieś pieszo albo jadący rowerem. Byłby to – dużo częściej niż dziś – wegetarianin jadający nieduże porcje, za to kilka razy dziennie. Mniej używał cukru i soli, nie znał produktów przetworzonych, słodzonych napojów, a cokolwiek chciał załatwić, musiał dojść lub o własnych siłach dojechać. Ubóstwo technologii i brak telekomunikacji wprawiały obywateli w ruch.

Rower jeszcze na początku XXI w. służył jako tani, dostępny także dla kobiet środek podróży. A choć nie był jeszcze wówczas symbolem aktywnego stylu życia, to de facto oznaczał zdrowszą, a przede wszystkim powolniejszą codzienność. Taką, w której był czas na gotowane w domowych kuchniach wieloskładnikowe posiłki (indyjska kuchnia jest bardzo złożona, a przygotowanie nawet podstawowych potraw wymaga dużo czasu), na ich wspólne jedzenie (przerwa na obiad pozostawała absolutną świętością w biurach, urzędach, firmach czy szkołach), ale także na dowożenie ich z domów do pracy rowerem.

W Mumbaju, rozległym mieście liczącym dziś ok. 13 mln mieszkańców, wciąż pracuje kilka tysięcy dabawallów, czyli rowerowych rozwozicieli obiadów. Dostarczają do 100 tys. posiłków dziennie i niemal nigdy się nie mylą, choć nie używają komputerów, tylko systemu oznaczeń na pojemnikach. Jeżdżą w białych uniformach i czapkach, odbierają obiady z domów i taki *tiffin* (z ang. lekki lunch) wożą do biur oddalonych nawet o kilkadziesiąt kilometrów.

O ich zawodzie coraz częściej mówi się jednak, że to marnotrawienie ludzkich zasobów, a przede wszystkim czasu. Bo odkąd nad Gangesem czas to pieniądz, wyrafinowana kultura posiłków – zdrowych, sporządzanych zgodnie z rodzinnymi tradycjami, zaleceniami ajurwedy, dostępnością lokalnych upraw i zgodnie z wymaganiami sezonów klimatycznych – nieubłaganie kapituluje wobec presji pośpiechu i nowych modeli biznesowych. A te siły wspólnie sprawiają, że półtoramiliardowe społeczeństwo je szybciej, taniej i gorzej, by jak najszybciej wrócić do zarabiania pieniędzy.

Indie zajmują drugie po Chinach miejsce pod względem liczby osób otyłych. To już ok. 200 mln. Według badań opublikowanych niedawno przez naukowy magazyn „The Lancet" w połowie wieku ta liczba sięgnie 450 mln, czyli otyła będzie niemal co trzecia osoba w kraju. W 2001 r. w całym kraju wykonano pięć operacji bariatrycznych. Obecnie wykonuje się ok. 30 tys. takich zabiegów rocznie.

Już teraz ponad 1 proc. indyjskiego PKB trafia na pokrycie kosztów leczenia otyłości (ok. 30 mld dol. rocznie), a za 15 lat będzie to kosztowało nawet 20 razy tyle. W ostatnim ogólnokrajowym badaniu zdrowia w rodzinach po raz pierwszy zastosowano pomiary obwodów brzucha i bioder. Wynika z nich, że na otyłość brzuszną cierpi już 40 proc. kobiet i 12 proc. mężczyzn. Według indyjskich standardów oznacza to obwód w pasie powyżej 80 cm u kobiet i powyżej 90 cm u mężczyzn. Otyłość częściej stwierdza się u mieszkańców miast, ale też diagnozuje się ją u coraz młodszych osób, np. kobiet po 30. roku życia.

I choć urbanizacja, przeprowadzki do miast i współczesny model życia (tuczące i mało odżywcze jedzenie, brak ruchu) są tu głównymi winowajcami, to na wsiach wcale nie jest dużo lepiej. Bo właśnie modele życia – oraz nadwyżki finansowe – nie mają wiele wspólnego z geografią. Otyłość jest już problemem miast tzw. drugiego czy trzeciego rzędu, czyli rozsianych po całym subkontynencie miejsc o nazwach mało znanych, a liczących ponad milion mieszkańców. A chipsy, batony, produkty puszkowane i gotowce w proszku do szybkiego zalania i podgrzania można kupić nawet we wsiach Ladakhu, skąd ścieżki wędrują już tylko pod himalajskie szczyty.

Oczywiście najbardziej drastyczne zmiany zachodzą w dużych miastach. Późnym wieczorem w centrum Kalkuty widać wyraźnie, na jak wielkie kompromisy ze swymi przyzwyczajeniami idzie cały kraj. Mieszkający tam Bengalczycy, entuzjaści ryżu, słodkowodnych ryb w curry i warzyw, mawiali o sobie w tradycyjnym żarcie: „Nie jemy, aby żyć. Żyjemy, aby jeść". Ich kuchnia słynie ze świeżości i lekkostrawności. Instytucja obfitego południowego lunchu, po którym należała się krótka drzemka w tropikalnym cieple, przez stulecia ani drgnęła z posad. Teraz obraca się w proch.

Godziny pracy się wydłużyły do późnego wieczora. Pełną parą pracują uliczne jadłodajnie serwujące szybkie obiady na talerzykach z liści bananowca. O powrocie do domu na obiad nikt nie marzy, w mieście pracuje około miliona dojeżdżających. Zanim wskoczą do późnego pociągu, połykają w pośpiechu posiłki z plastikowych pudełek, przycupnięci na taborecie tuż przy zasmrodzonej spalinami ulicy. Do domów dotrą, gdy rodzina będzie zasypiać. A bladym świtem zerwą się znów.

Indie zwariowały na punkcie tempa. W kraju, gdzie przez dekady nawet w biznesie tolerowano duże spóźnienia, bo transport był lichy, a klimat nieprzyjazny, teraz wymagana jest natychmiastowość. I w jedzeniu tę zmianę widać doskonale. Owszem, i w latach 50. oferowano jedzenie z dostawą. Samotny wdowiec, osoba starsza albo kawaler mogli liczyć na to, że gdy w południe spuszczą z balkonu sznurek z pętelką, służący przypnie do niego torbę z lunchem. A potem odbierze naczynia do mycia. Był to sposób dla nielicznych i raczej nie dowodził

eprasa.pl 89558b6b43

W metropoliach takich jak Kalkuta tradycyjny model żywienia odjeżdża w przeszłość

szczęśliwego rodzinnego życia. Dziś mało kto się ogląda na takie sentymenty.

Największe serwisy dowożące ciepłe posiłki – Zomato i Swiggie – rywalizują na czas dostawy. Obiecują dowóz w 10 minut. Do tak szybkiej obsługi potrzebne są nowe technologie, aplikacje agregujące dane i łączące sieć dostawców. Jest i nowy sposób myślenia o gotowaniu – boom na kuchnie w chmurze, gotujące tylko na potrzeby aplikacji dowozowych. Wielu klientów nie chce już jednak dań restauracyjnych, dlatego przybywa aplikacji takich jak Tiifit czy Blinkit, zapewniających dowóz dań domowych. A z nimi rośnie nowy biznes – panie domu gotujące na wynos, zyskujące przy tym niezależność finansową, trochę jak młodzi kierowcy dzięki Uberowi.

Biznes jedzenia z dowozem rośnie szybko, w 2024 r. był wart 38 mld dol., prognozy mówią o 140 mld za pięć lat. Zomato i Swiggie są już notowane na giełdzie. I inwestują w rozwój nowych technologii, badają możliwość użycia robotów i dronów przy wsparciu sztucznej inteligencji. Indyjska marka Rebel Foods to już kuchnia w chmurze o międzynarodowym zasięgu. Stała się nowoczesnym wzorem dla innych typów usług. Właściciele tradycyjnych rodzinnych sklepików na rogach ulic już liczą straty. Bo podobne aplikacje pozwalają zamawiać do domów najdrobniejsze zakupy spożywcze. A rowerowi dabawalle z Mumbaju przegrywają z nowym i szybszym wcieleniem swojego biznesu.

W ciałach wszystkie te tendencje odkładają się najwyraźniej. U nas się mówi „brzuch jak bęben", a nad Gangesem otyłość to *pot belly*, czyli garnkowaty brzuch. Od pękatego kształtu tradycyjnych garów, w których gotuje się ryż. Długo to określenie kojarzyło się z zamożnością, podobnie jak szczypanie dzieci w pulchne policzki było dla mam potwierdzeniem, że dobrze wywiązują się z opiekuńczej roli. Otyli bramini, policjanci czy urzędnicy byli bohaterami komedii, dyżurnymi w satyrach na syte i śnięte elity. Ale te postaci do niedawna stanowiły rzadki wyjątek.

Dziś indyjskie dzieci z niepokojem są ważone i mierzone na dowód kroczącej epidemii otyłości, za którą idą: cukrzyca, nowotwory i choroby układu krążenia. I to w formie specyficznej dla południowych Azjatów. U nich tkanka tłuszczowa rozkłada się inaczej, najpierw płytko pod skórą i dopiero z czasem otłuszcza wątrobę i trzustkę. Stąd tak szybko widoczna zmiana kształtów – Induskom brzuchy wylewają się ponad opięte w pasie sari, sterczą w tunikach, a panowie z trudem dopinają na nich guziki kraciastych koszul. Potem tyją biodra, pośladki, uda.

Według dietetyków europejskie normy nie oddają szczególnych uwarunkowań genetycznych Indusów, więc u nich górna granica indeksu BMI, biorącego pod uwagę wagę i wzrost osoby, powinna wynosić 23, a nie 24,9 jak na Zachodzie. Bo przy tym samym wskaźniku u Azjaty występuje więcej tkanki tłuszczowej. Podobnie zalecana ilość ruchu dla spalenia tkanki tłuszczonej dla mieszkańców Azji Południowej jest inna – u nas co najmniej 30 minut dziennie, u nich aż 50 minut.

Na ciele się nie kończy. Nowe badania wykazują, że indyjscy dorośli, a przede wszystkim dzieci, psychicznie źle radzą sobie z otyłością. Mają obniżony nastrój, nie lubią siebie, wpadają w depresję. W przypadku dzieci na zmieniające się nawyki żywieniowe negatywnie nałożyła się pandemia. Osłabione brakiem ruchu mięśnie odmawiają podejmowania wysiłku, aktywności jest w życiu małych Indusów coraz mniej, pętla się zaciska.

Sytuacja dzieci najlepiej obrazuje też ogólnospołeczny paradoks – po stuleciach braku odpowiedniej żywności nastał hiperintensywny świat szybkiego i złego karmienia. UNICEF podkreśla, że 38 proc. dzieci w Indiach doświadcza niedożywienia. Jeśli nawet nie są głodne, to nie przyswajają składników odżywczych. Im niższe warstwy społeczne, tym gorzej. Niedożywienie to wciąż kluczowa przyczyna zgonów przed piątym rokiem życia. I w całej populacji wskaźniki nadal niepokoją – według ONZ niedożywionych jest 14,5 proc. wszystkich mieszkańców kraju. Według globalnego indeksu głodu – im gorzej, tym dalsze miejsce – Indie zajmują 105. pozycję na 117 państw.

Tymczasem największym wygranym w jednocześnie niedożywionych i otyłych Indiach okazuje się kwitnąca branża usług fitness. Po ćwierćwieczu zajadania się kapitalizmem Indusi zaczynają wydawać fortunę na powrót do szczupłości.

PAULINA WILK

© SUDIPTA DAS/NURPHOTO/GETTY IMAGES

eprasa.pl 89558b6b43

Powściągliwy miś

Im gorzej dla niemieckiej socjaldemokracji, tym lepiej dla jej szefa Larsa Klingbeila. Od niedawna jest wicekanclerzem i drugim najpopularniejszym politykiem w Niemczech.

FILIP GAŃCZAK

Berlin, 23 lutego. W Willy-Brandt-Haus, siedzibie Socjaldemokratycznej Partii Niemiec (SPD), nastroje są jak na stypie. Punktualnie o godz. 18 telewizja ARD ogłasza, że w przyspieszonych wyborach do Bundestagu ugrupowanie zdobyło ledwie 16 proc. głosów. Stacja ZDF daje niewiele więcej: 16,5 proc. Tak czy inaczej to najgorszy wynik w półtorawiekowej historii SPD.

Szef partii Lars Klingbeil mówi o „dramatycznej porażce" i zapowiada „zmianę pokoleniową". To sprytny ruch. W cień ma odejść dotychczasowy kanclerz Olaf Scholz (66 lat), pod presją jest też niewiele młodsza współprzewodnicząca SPD Saskia Esken (63 lata). Siebie 47-letni Klingbeil widzi na czele odnowicieli partii. Jeszcze tego samego wieczoru udaje mu się przekonać prezydium, by powierzyło mu kierowanie frakcją parlamentarną. Czasy są trudne – przekonuje – i socjaldemokraci pilnie potrzebują silnego przywództwa.

Berlin, 6 maja. W pałacu Bellevue prezydent Frank-Walter Steinmeier wręcza nominacje nowym ministrom. Klingbeil zostaje wicekanclerzem i szefem ważnego resortu finansów, a tym samym osobą numer dwa w rządzie federalnym. Można wręcz odnieść wrażenie, że jest zwycięzcą negocjacji koalicyjnych. Umowa tworząca nowy rząd ma wyraźny lewicowy stempel. Co więcej, socjaldemokraci otrzymali aż siedem ministerstw. Chadecy, przy prawie dwukrotnie lepszym wyniku wyborczym, dostali tylko dziesięć plus fotel kanclerza. W Willy-Brandt-Haus już prawie nikt nie rozpamiętuje nie tak dawnej klęski.

O siedzibie SPD mówi się teraz House of Lars. To nawiązanie do popularnego serialu, którego główny bohater – fikcyjny polityk Frank Underwood – bezwzględnie pnie się na sam szczyt amerykańskiej polityki. Klingbeil jest wciąż daleko od kanclerstwa, ale w partii zbudował sobie niepodważalną pozycję. – *W tym momencie nie musi się obawiać żadnego istotnego oporu* – przyznaje dr Gero Neugebauer, emerytowany politolog z Wolnego Uniwersytetu w Berlinie. Dziennik „Frankurter Allgemeine Zeitung" idzie jeszcze dalej: „Nigdy żaden przewodniczący SPD nie był tak potężny jak teraz Klingbeil".

I gdy nowy chadecki kanclerz Friedrich Merz raz po raz zalicza potknięcia, szef SPD notuje skoki w rankingach najpopularniejszych niemieckich polityków. W jednym z majowych sondaży ośrodka Insa dla dziennika „Bild" jest już na drugim miejscu, zaraz za lubianym ministrem obrony Borisem Pistoriusem, też socjaldemokratą. – *Mimo katastrofy wyborczej Klingbeil emanuje spokojem, powagą, wolą władzy i siłą przebicia. Na tle słabych notowań kanclerza robi to dobre wrażenie* – tłumaczy prof. Ulrich Sarcinelli, politolog z Uniwersytetu Technicznego Nadrenii-Palatynatu (RPTU) w Kaiserslautern-Landau.

Za słaby na bramkarza

Najwyraźniej to nie jest czas dla choleryków z nadmiarem testosteronu. Klingbeil to nie typ trybuna ludowego, który na wiecu porwie tłumy. To raczej pluszowy miś – jak mówią o nim niektórzy – albo dobry kumpel z sąsiedztwa. Nie afiszuje się z żoną i niespełna rocznym synkiem. Chętnie za to pokaże się właśnie w piwiarni, da się sfotografować na rowerze, na mównicę w Bundestagu wyjdzie bez krawata. Aktywny na TikToku, potrafi dotrzeć także do młodych Niemców, z czym SPD miała duży problem.

W partii należy do konserwatywnego skrzydła, znanego jako Seeheimer Kreis, Krąg z Seeheim, od miejsca jego spotkań. Ma też jednak licznych sojuszników w pozostałych frakcjach. – *Pragmatyczny, powściągliwy w komunikacji, działający raczej dyskretnie* – wylicza Sarcinelli. Tygodnik „Der Spiegel" zaś wskazuje: „Nie jest rewolucjonistą ani prowokatorem, nie jest sztywniakiem, ale też nie jest charyzmatykiem. (...) Przeciętny facet, który zaszedł nieprzeciętnie daleko".

Długa to była droga. Jako 12-latek Klingbeil miał dwa marzenia: zostać zawodowym piłkarzem albo artystą rocka. Pierwsze od początku nie miało szans powodzenia. „Jako bramkarz byłem za słaby" – przyznał po latach. Pozostał jednak kibicem Bayernu Monachium. Dziś zasiada w radzie administracyjnej tego utytułowanego klubu. Kariera muzyczna wydawała się bardziej realna. Przez kilkanaście lat Klingbeil grał i śpiewał w lokalnym zespole Sleeping Silence. „Mieliśmy wiele występów w rejonie Hanoweru, a raz nawet hit, który leciał w radiu" – wspomina nie bez dumy. Na starym zdjęciu stoi na scenie, ma kręcone włosy, kilkudniowy zarost i piercing w lewej brwi.

Ten wizerunek już dawno porzucił, ale z gitarą nigdy się nie rozstał. Czasem daje się namówić, by coś zagrać przed kamerą, choćby „Knockin' on Heaven's Door" Boba Dylana. Muzyka – jak mówi – pozwala mu się zresetować. Wewnętrzny spokój, jakim emanuje, tłumaczy też jako efekt przewartościowań po skutecznej walce z chorobą. Dekadę temu zmagał się z rakiem języka. Wcześniej – jak zdradził niedawno – palił nawet dwie paczki papierosów dziennie.

Klingbeil dorastał w Munster – ledwie kilkunastotysięcznym miasteczku w Dolnej Saksonii, będącym do dziś największą bazą niemieckich wojsk lądowych. W kontrze do ojca, zawodowego podoficera Bundeswehry, zamiast armii wybrał roczną służbę cywilną. Krytyczny stosunek do munduru zmienił – jak twierdzi – po zamachach terrorystycznych z 11 września 2001 r.

Przebywał wtedy akurat w Nowym Jorku na praktykach w Fundacji im. Friedricha Eberta. „Byłem dwa kilometry od World Trade Center – wspominał później. – Szok był głęboki. I bardzo byłem za tym, by ze sprawcami walczyć środkami militarnymi, także z udziałem Bundeswehry". W Bundestagu długo zasiadał w komisji obrony, uchodził nawet za możliwego szefa MON. Opowiada się za zwiększeniem wydatków na armię, co nie jest oczywiste, jeśli wziąć pod uwagę pacyfistyczne nastroje społeczne i antywojenne tradycje SPD.

© PANAMA PICTURES/DDP IMAGES/FORUM

eprasa.pl 89558b6b43

Przyjaciel Schrödera

Z lewicą jest związany od wczesnych lat. Jeszcze w szkole demonstrował przeciwko neonazistom i za zwiększeniem nakładów na oświatę. Maturę zdał jako pierwszy w rodzinie. Gdy studiował politologię, socjologię i historię na uniwersytecie w Hanowerze, równolegle zasiadał już w radzie miejskiej Munster i pracował w biurze poselskim ówczesnego kanclerza Gerharda Schrödera.

Podziwu dla niego nie krył nawet po tym, jak ten z polityka stał się lobbystą rosyjskich interesów w Europie. Już po putinowskiej aneksji Krymu Klingbeil korzystał ze wsparcia Schrödera w kampaniach wyborczych, publicznie składał mu życzenia urodzinowe i rozpływał się o łączącej ich „długiej przyjaźni". Gdy w październiku 2018 r. były kanclerz wyprawiał w berlińskim hotelu Adlon swoje piąte wesele, Klingbeila nie zabrakło na liście gości.

„Chcemy dialogu z Rosją" – deklarował w tym czasie. Zasiadał zresztą w kuratorium stowarzyszenia Deutschland-Russland – Die neue Generation (Niemcy-Rosja – nowe pokolenie), mającego łączyć młodych liderów z obu krajów. W marcu 2022 r., po napaści Kremla na Ukrainę, Klingbeil przyznał w końcu, że SPD powinna była „inaczej ocenić" rosyjską wojnę z Gruzją, aneksję Krymu i morderstwa na zlecenie kremlowskich służb. Prezydenta Władimira Putina nazwał wręcz „największym zbrodniarzem wojennym tego stulecia".

– *Czas pokaże, czy jego spojrzenie na sprawy rosyjskie trwale się zmieniło* – mówi dr Bartosz Rydliński, politolog z UKSW. Trzy lata temu, świeżo po inwazji Rosji na Ukrainę, Rydliński oprowadzał delegację SPD z Klingbeilem po terenie byłego getta warszawskiego. Zatrzymali się też przed tablicą upamiętniającą gest kanclerza RFN Willy'ego Brandta, który w 1970 r. ukląkł w tym miejscu „pod ciężarem milionów zamordowanych". Brandtowska Ostpolitik stawiała na dialog z blokiem komunistycznym, by tą drogą łagodzić zimnowojenne napięcia w Europie. W marcu 2023 r. Klingbeil raz jeszcze przybył do Warszawy, by uspokoić partnerów Niemiec z Europy Środkowo-Wschodniej, że nowa Ostpolitik jego partii będzie uwzględniała ich interesy bezpieczeństwa.

W pierwsze podróże w roli ministra finansów wybrał się jednak dość tradycyjnie – do Paryża i Brukseli. „Unia Europejska jest najbardziej udanym projektem pokojowym w długiej i krwawej historii Europy" – powtarza nie od dziś. Z czasów praktyk studenckich w Nowym Jorku został mu też – prócz płynnej angielszczyzny – sentyment do Ameryki, ale tej liberalnej, ucieleśnianej przez Partię Demokratyczną. „Chcemy Kamali Harris w Białym Domu" – deklarował otwarcie w ubiegłym roku. Zwycięstwo Donalda Trumpa w wyścigu prezydenckim i pierwsze ruchy nowej administracji w Waszyngtonie przyjął – jak mówi – z krwawiącym sercem. Zarazem deklaruje pragmatycznie: „USA pozostają najważniejszym partnerem Niemiec w sprawach bezpieczeństwa i gospodarczych".

Przyszły kanclerz?

Berlin przez lata zaniedbywał Bundeswehrę i przespał rewolucję cyfrową w przemyśle. Teraz chce nadrobić zaległości. W marcu, ze wsparciem Zielonych, chadecy i socjaldemokraci zmienili konstytucję, by znacząco zwiększyć wydatki na obronność, infrastrukturę i ochronę środowiska. Zgodę Merza – dotychczas niechętnego zaciąganiu nowych długów – Klingbeil może poczytywać za swój sukces. Wielu już dziś widzi w nim przyszłego kandydata SPD na kanclerza.

Jego osobista popularność na razie nie przekłada się jednak na notowania socjaldemokratów. Najnowsze sondaże wciąż dają SPD trzecie miejsce, z dużą stratą nie tylko do chadeckich CDU/CSU, lecz także do Alternatywy dla Niemiec (AfD), partii antysystemowej, antyimigranckiej i mocno proputinowskiej. „Ujarzmić AfD" – to według Klingbeila jedno z głównych wyzwań obecnej koalicji. Od powodzenia tej misji będzie zależała rzecz jasna także jego dalsza kariera. ■

eprasa.pl 89558b6b43

Chcę być przywódcą Palestyny

Rozmowa z najpopularniejszym dziś palestyńskim politykiem Mustafą Barghoutim o wojnie, okupacji i o tym, jak wyglądałaby Palestyna pod jego rządami.

AGNIESZKA ZAGNER: **– Na Zachodnim Brzegu przez pewien czas w roku jest o godzinę wcześniej niż po stronie izraelskiej. Życie tutaj nie jest dość skomplikowane?**

MUSTAFA BARGHOUTI: – Tu ustawienie zegarka jest kwestią polityczną, daje nam to poczucie złudnej niezależności.

A poza zegarkiem?

Poza tym niewiele możemy. Podczas pierwszej intifady za samo podniesienie palestyńskiej flagi można było zostać zastrzelonym.

Teraz na demonstracji w Ramallah widziałam sporo palestyńskich flag.

W Ramallah można, przynajmniej teoretycznie. W strefie kontrolowanej całkowicie przez Izrael nie ma mowy. W praktyce Autonomia Palestyńska została pozbawiona większości swoich uprawnień. Na razie tylko trwamy. Ludzie czują, że rząd ich zawiódł, jest bierny, za mało upomina się o sprawy Palestyńczyków tu, na Zachodnim Brzegu i w Gazie. Głównie ze strachu, że sam straci przywileje, jakie daje władza.

Czy to, co wydarzyło się 7 października 2023 r., było dobre dla narodu palestyńskiego?

O tym zdecyduje historia. Ale to nie był początek czegokolwiek – raczej skutek, a nie przyczyna. Wielu ludzi na Zachodzie nie rozumie albo nie chce wiedzieć, że 7 października był wynikiem procesu, który rozpoczął Izrael, procesu mającego na celu całkowite zniszczenie „sprawy palestyńskiej". Ludzie zapominają, że przez ostatnie 76 lat 70 proc. Palestyńczyków zostało wypędzonych ze swojej ojczyzny. Okupacja Zachodniego Brzegu i Gazy to najdłuższa okupacja w historii.

Czego 7 października był skutkiem?

Trwająca od 2006 r. blokada Strefy Gazy zamieniała życie ludzi w koszmar. Nie było nawet prądu, najwyżej kilka godzin dziennie. Brakowało wody – 94 proc. jej zasobów było zasolone albo zanieczyszczone. Systemy kanalizacyjne zostały zniszczone. Według ONZ od 2020 r. Gaza miała już nie nadawać się do życia. Do tego izraelskie ataki – w 2006, 2012, 2014 r. Potem, za pierwszej kadencji Donalda Trumpa, rząd Beniamina Netanjahu zaczął wysyłać jasny komunikat: nie ma już miejsca na państwo palestyńskie. Przez dekadę prowadzącą do 7 października Netanjahu nie spotkał się z żadnym palestyńskim przywódcą. A Kneset uznał, że prawo do samostanowienia w historycznej Palestynie przysługuje wyłącznie narodowi żydowskiemu.

Czy w takim razie akceptuje pan metody Hamasu?

Jestem zwolennikiem oporu bez przemocy, nie tylko w słowach. Organizowaliśmy wiele pokojowych protestów, teraz demonstrujemy przeciwko wojnie w Gazie. Wielokrotnie do nas strzelano, ja sam zostałem postrzelony dwukrotnie. Osobiście znałem zabitego przez Izrael szefa Hamasu Jahję Sinwara, dyskutowałem z hamasowcami o idei niestawiania oporu przemocą. Na początku tego w ogóle nie rozumieli. Ale to się zmieniło w kierownictwie Hamasu.

W latach 2014–19 Hamas nie dokonywał żadnych aktów agresji – przyjął naszą koncepcję, zaczął organizować marsze, bezprzemocowy opór. Ale zobaczył, że to nic nie zmienia. Nie tylko Izrael, ale też świat nie zwracał na to uwagi.

7 października pana zaskoczył?

Nie wiedziałem, że to zrobią. Ale nie byłem zaskoczony. Dla Sinwara głównym celem było przerwanie milczenia, przełamanie status quo. Ale także pojmanie izraelskich żołnierzy, aby wymienić ich na palestyńskich więźniów. Nie spodziewał się jednak, że izraelska obrona załamie się w ciągu kilku godzin. Granica stanęła otworem, zapanował chaos. Nie sądzę, że Hamas planował wziąć cywilów jako zakładników, dlatego zaraz po rozpoczęciu wojny był gotów ich wypuścić.

Wielu Palestyńczyków nie wierzy, że hamasowcy wtedy gwałcili i zabijali dzieci.

Wiele z tych informacji – jak te o gwałtach i obcinaniu głów dzieciom – jest fałszywych, a mimo to były powtarzane,

© SSAM RIMAWI/ANADOLU/GETTY IMAGES, DAVID ZORRAKINO/EUROPA PRESS/GETTY IMAGES

eprasa.pl 89558b6b43

m.in. przez prezydenta Joe Bidena. Chociaż dzieci rzeczywiście zginęły, czego bardzo żałuję. Stało się to albo w wyniku ostrzału, albo z powodu izraelskich bombardowań, bo w pewnym momencie atakowano wszystkich, bez rozróżnienia, kto jest Palestyńczykiem, a kto Izraelczykiem.

To były jednak pojedyncze incydenty. Na festiwalu Supernowa oddziały Hamasu strzelały do ludzi jak do kaczek.

Nie znoszę przemocy, to nie powinno się zdarzyć. Ale prawdopodobnie Hamas nawet nie wiedział o tym festiwalu. Nie wierzę też, że za te spalone samochody też on odpowiada.

W kierunku karetki, w której schronili się ludzie, Hamas odpalił pocisk z RPG, zginęło 18 osób, wrzucano też granaty do schronów.

Może tak. Ale porównajmy: Izrael mówi, że 7 października zginęło 1,2 tys. jego obywateli, część to byli żołnierze. Od tamtej pory Izrael zabił ponad 53 tys. Palestyńczyków w Gazie, w tym prawie 18 tys. dzieci. A zachodnie media skupiają się tylko na Izraelczykach.

Skąd to przekonanie?

Ponieważ izraelska narracja dominuje, a jej propaganda jest niezwykle silna. Wiele zachodnich rządów zachowuje się wobec nas rasistowsko. Nie traktują nas jak równych ludzi. Oczywiście nigdy się do tego nie przyznają. Sam czuję się tym zraniony, bo wierzyłem, gdy mówili o prawie międzynarodowym, prawach człowieka i demokracji. A teraz uważają, że prawo międzynarodowe nas nie dotyczy, i pozwalają Izraelowi działać bezkarnie.

Jak więc zakończyć wojnę?

Należy nałożyć sankcje na Izrael, tak jak to zrobiono z Rosją. To jedyny sposób. I kraje arabskie muszą powiedzieć Trumpowi, że jego interesy ucierpią, jeśli nie powstrzyma Netanjahu.

Skoro mowa o Trumpie: jego plan „dobrowolnego transferu" ludzi z Gazy jest realny?

Będziemy walczyć przeciwko temu do utraty tchu. Jeśli zostaniemy przesiedleni, przegramy jako naród. Egipt i Jordania zresztą odmówiły przyjęcia ludzi z Gazy.

Jaka więc przyszłość czeka Gazę po wojnie?

Powinniśmy mieć rząd narodowego porozumienia. Hamas już zapowiedział, że się w nim nie znajdzie. Podczas negocjacji w Pekinie różne frakcje zgodziły się na powstanie rządu złożonego z niezależnych ludzi, akceptowanych przez wszystkich. Następnie należy przygotować grunt pod nowe wybory, których przecież nie mieliśmy od 20 lat.

Mustafa Barghouti (rocznik 1954) – lekarz i niezależny polityk. Był członkiem zespołu negocjatorów podczas konferencji w Madrycie w 1991 r. W młodości działał w partii komunistycznej, a w 2002 r. współtworzył Palestyńską Inicjatywę Narodową, która miała być alternatywą dla Fatahu i Hamasu. Proponował tzw. pokojową intifadę. Jest wielkim krytykiem władz Autonomii Palestyńskiej. W 2005 r. kandydował na prezydenta, zajął drugie miejsce.

A jeśli te wybory znowu wygrałby Hamas?

To nie jest możliwe z powodu nowego systemu proporcjonalnego w głosowaniu – ani Hamas, ani Fatah nie zdobędą już większości. Spodziewamy się wzrostu poparcia dla demokratycznego, centrowego obozu, takiego jak ten, do którego należę.

Co pan zrobi, gdy już pan wygra?

Natychmiast stworzę szeroki rząd złożony z niezależnych, skutecznych profesjonalistów. Ale sam nie chcę być w rządzie. Ludzie chcą, bym wystartował w wyborach prezydenckich. Sondaże dają mi poparcie na poziomie 33 proc., a wydaje mi się, że mogę liczyć na ponad 40.

I jaka byłaby ta pana Palestyna?

Demokratyczna, partycypacyjna. Muszą się odbyć nie tylko wybory prezydenckie, ale i parlamentarne. Nie ma innej możliwości niż rząd koalicyjny, w tym sensie nasi politycy muszą się nauczyć od europejskich, że jedna partia nie może rządzić sama. A potem potrzebujemy ogromnej reformy demokratycznej – walki z korupcją, nepotyzmem, klientelizmem. Kluczowe jest zjednoczone przywództwo. Wszystkie decyzje polityczne i co do formy walki będą musiały być podejmowane wspólnie. To znaczy, że żadna partia sama nie sięgnie po przemoc ani nie zastosuje innych metod bez wspólnej decyzji. Gdybyśmy mieli takie przywództwo, być może 7 października nigdy by się nie wydarzył.

Własna armia?

Nie potrzebujemy armii. Potrzebujemy ochrony. Potrzebujemy możliwości przetrwania bez ataków izraelskich – nie tylko ze strony armii, ale także osadników. Najlepszym rozwiązaniem na początek byłby jakiś okres przejściowy z obecnością sił międzynarodowych, by zagwarantować ochronę dla wszystkich.

Trwa jednak wojna, wrócił Trump, w Izraelu rządzą Ben Gwir, Smotrich i Netanjahu, którzy mówią, że można anektować przynajmniej część Zachodniego Brzegu.

Nie, oni chcą anektować całość, całą palestyńską ziemię, którą nazywają Judeą i Samarią. Oznacza to ostateczną likwidację rozwiązania dwupaństwowego i pozostawia tylko jedną opcję – jedno demokratyczne państwo z równymi prawami dla wszystkich. To najbardziej realistyczne rozwiązanie.

Izrael nie zgodzi się na przyznanie Palestyńczykom praw wyborczych.

W takim razie muszą wybrać – albo się od nas oddzielą i pozwolą nam stworzyć własne państwo, albo zaakceptują wspólne życie w jednym demokratycznym. Ale oni nie chcą żadnego z tych rozwiązań, dla nich jedyną opcją jest czystka etniczna. Obecnie mamy w sumie 7,3 mln Palestyńczyków wobec 7,1 mln Żydów-Izraelczyków. Na tej samej ziemi. Zdajemy sobie z tego sprawę i będziemy walczyć o przetrwanie do końca. ■

Polecamy także lekturę Pomocnika Historycznego POLITYKI **„IZRAEL–PALESTYNA. WOJNA BEZ KOŃCA"**. Dostępny na **sklep.polityka.pl**

KUP TERAZ

eprasa.pl 89558b6b43

Dojrzewanie, ale do czego?

ILUSTRACJA **MIROSŁAW GRYŃ**

MARCIN RYSZKIEWICZ

Człowiek to zwierzę dojrzewające bardzo nietypowo – i ryzykownie dla niego samego. Biologia nie nadąża za kulturą, co prowadzi do poważnych napięć.

Serial „Dojrzewanie" wzbudził na całym świecie uzasadnione zainteresowanie i niemilknące kontrowersje. Wśród tej kakofonii głosów szczególnie donośnie wybrzmiewa... cisza ze strony zwolenników ewolucyjnego tłumaczenia złożonych procesów kształtujących naszą egzystencję. A dojrzewanie to proces kluczowy dla każdego gatunku – dochodzenia osobników do momentu, gdy będą mogły wypełnić najważniejszą z ewolucyjnego punktu widzenia powinność, czyli wydanie na świat potomstwa i przekazanie swoich genów następnym pokoleniom. Kto tego nie zrobi (czasem pośrednio, przez krewnych) lub zrobi to mniej

eprasa.pl 89558b6b43

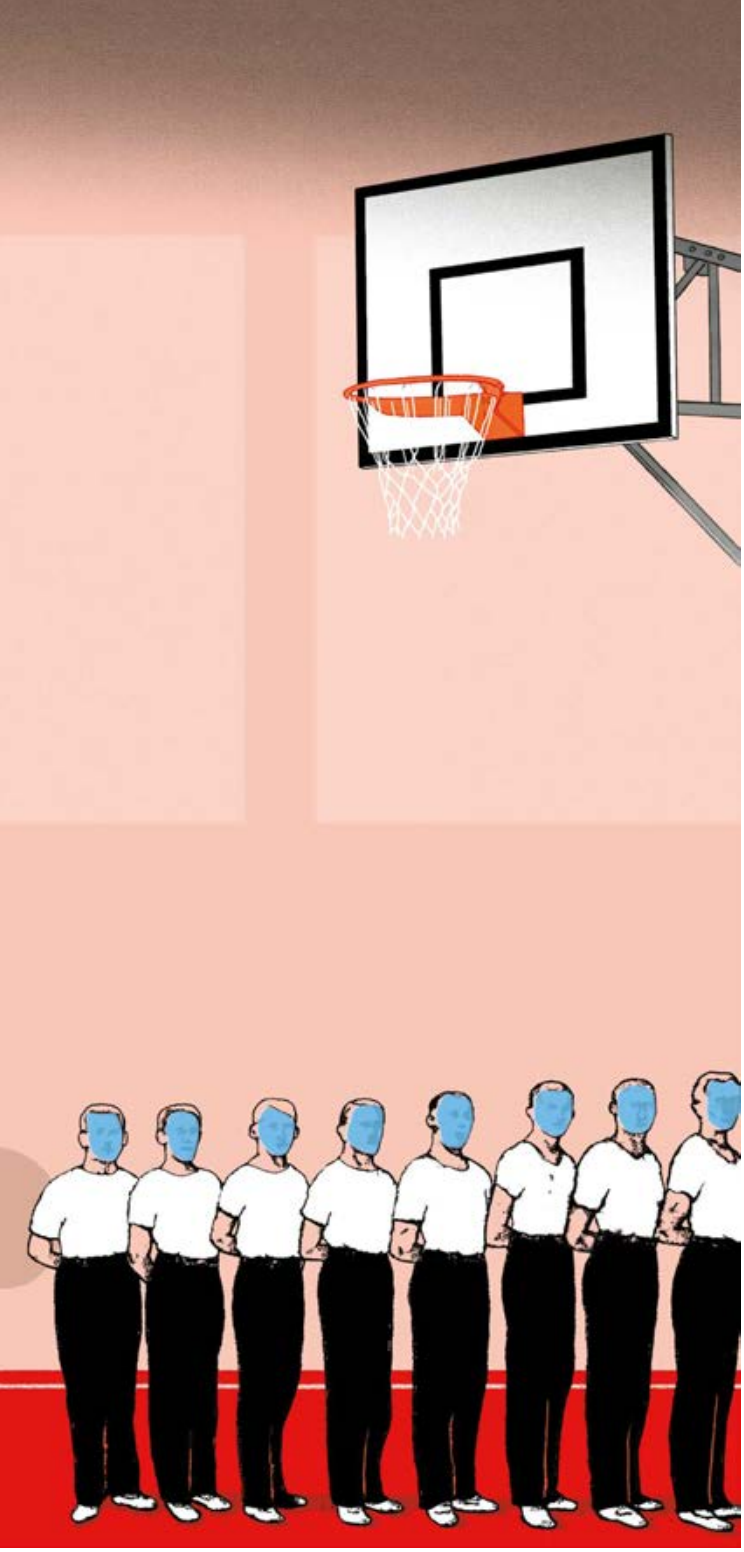

skutecznie od innych, ten traci punkty w wielkiej grze o życie, jaka toczy się na Ziemi od 4 mld lat.

Ten okres dochodzenia (dojrzewania właśnie) do rozrodu można nazwać dzieciństwem, a moment osiągnięcia gotowości do prokreacji – dorosłością lub dojrzałością. Dorosły jest ten, kto „dojrzał" do przekazania swych genów. I tu od razu widać osobliwość naszego gatunku – o dojrzewaniu mówimy nie przed, ale po osiągnięciu zdolności do rozrodu. Dojrzewanie (*adolescence*) następuje po pokwitaniu (*puberty*), więc najwyraźniej dojrzewamy do czegoś innego niż tylko do możliwości wydania na świat potomstwa. To jedna z bardzo licznych nietypowych cech naszego gatunku. I to właśnie ewolucja jest w stanie najlepiej jej zagadkę wyjaśnić.

Tylko dla dorosłych

Mówi się, że nasze dojrzewanie nie ma związku z prokreacją, lecz jest okresem zdobywania kompetencji społecznych, koniecznych do radzenia sobie w coraz bardziej komplikującym się świecie. Zwierzęta tych problemów nie mają, więc u nich dojrzewanie i pokwitanie to w istocie ten sam proces – kto już „dojrzał", ten nie powinien tracić więcej czasu...

Trudno odmówić logiki temu rozumowaniu, ale rodzi się pytanie, dlaczego dobór naturalny i u nas nie wydłużył dzieciństwa, które służy do zdobywania potrzebnych w dorosłym życiu kompetencji. Dlaczego zdolność i chęć do aktywności płciowej przychodzą tak wcześnie? Odpowiedź zwykle jest taka, że zmiany społeczne przyszły na tyle późno, że ewolucja nie miała czasu nas do nich przygotować. Jesteśmy niedopasowani – i to na wielu różnych poziomach naszej egzystencji. Późne dojrzewanie jest tylko jednym z nich.

Jak ważna jest reprodukcja zaraz po zakończeniu dojrzewania, przekonuje nas wiele przykładów ze świata fauny. Niektóre zwierzęta poświęcają własne życie, by jak najszybciej i najskuteczniej wypełnić tę powinność. O modliszkach wszyscy słyszeli, ale jest wiele drastyczniejszych przykładów. Dobrą ilustracją są australijskie pająki czerwonogrzbiete, których samce są regularnie spożywane przez samice po kopulacji, gdy u modliszek taka uczta godowa zdarza się sporadycznie. Co więcej, samce tych pająków aktywnie pomagają samicom w seksualnym kanibalizmie, ustawiając podczas kopulacji swe ciała w pobliżu aparatu gębowego samicy. W wielu przypadkach akt płciowy trwa jeszcze po tym, gdy niemal całe ciało samca zostało już skonsumowane. Warto zauważyć, że ten akt podwójnej konsumpcji jest opłacalny dla obu stron – samica, poza plemnikami, otrzymuje pożywienie, a samiec gwarancję, że bezużyteczne już dla niego białko wspomoże nosicieli jego genów.

U gatunków bardziej długowiecznych i o przedłużonym dzieciństwie wygląda to oczywiście inaczej (np. bardziej opłaca się wielokrotnie wydawać na świat potomstwo, niż ginąć po pierwszym podejściu), ale zasada, że osiągnięcie dojrzałości płciowej jest początkiem dorosłości, pozostaje bez zmian. Poza jednym wyjątkiem – nami.

Wrócą chłopcy, jak należy

Ma to dla nas poważne konsekwencje. Osiągamy dojrzałość płciową (u obojga płci) sporo wcześniej, niż dojrzewamy społecznie i zakładamy rodziny. Te kilka lat „pomiędzy" to okres szczególnie groźny i niebezpieczny – biologia pcha młodych chłopców/mężczyzn do często ryzykownych, awanturniczych zachowań, które określić można jako „godowe". Bo wśród gatunków rozmnażających się płciowo to samice niemal zawsze są cenniejszym „zasobem", o który samce muszą zabiegać. U ssaków jest to szczególnie wyraźne, bo samice ponoszą ogromne koszty prokreacji (ciąża, laktacja), a samce praktycznie żadnych. Aby przekazać swe geny, muszą więc się czymś wykazać i potwierdzić swą wyższość nad innymi samcami.

Co gorsza, ów okres rywalizacji przypada u nas na czas, gdy chłopcy nie są jeszcze dorośli, więc nie ponoszą pełni odpowiedzialności za swe czyny, a konkurencja jest bardzo ostra. ▶

eprasa.pl 89558b6b43

▶ W serialu „Dojrzewanie" bohater mówi, że „80 proc. dziewczyn wybiera w końcu 20 proc. chłopców", więc akces do tego wąskiego klubu jest bardzo utrudniony. Rodzi to wielorakie problemy. W przeszłości radzono sobie z nimi różnie, ale pod jednym względem panowała zgoda: z chłopcami, którzy są już dojrzali, ale jeszcze nie dorośli, postępowano inaczej niż z dziewczętami. Jak to mogło wyglądać w praktyce, pokazują przykłady tych społeczności, które wciąż żyją tak, jakby świat się nie zmienił.

I tak u Masajów dziewczęta wkrótce po pierwszej miesiączce (*menarche*) wydawane są za znacznie starszych i mających już odpowiednią pozycję społeczną mężczyzn, co dla obu stron oznacza zakończenie „godów". A chłopcy, po krótkim okresie ceremonialnych rytuałów i tańców, wiele następnych lat spędzają we własnym towarzystwie, bez kontaktu z dziewczętami, ćwicząc zdolności bojowe jako strażnicy plemiennych terenów. Dopiero po odbyciu takiej trwającej ok. 10 lat „służby wojskowej" i po podobnej do wcześniejszej o dekadę ceremonii wracają do macierzystej grupy i – już jako starszyzna (w wieku dwudziestu paru lat!) – otrzymują pełnię praw i są gotowi do żeniaczki i upragnionego statusu ojców rodziny. Ich żonami zostają dziewczęta po pierwszej menstruacji.

Masajowie nie są wyjątkiem, to samo działo się i gdzieniegdzie wciąż dzieje, a nawet przybiera jeszcze skrajniejsze formy. Na niewielkich wyspach w zatoce Karpentaria na północ od Australii tubylczy chłopcy w okresie dojrzewania są izolowani od swych społeczności i poddawani obrzezaniu. By izolacja była kompletna, uczą się języka migowego, którym będą się posługiwać podczas następnych lat. Poddawani są wówczas kolejnemu, bardziej brutalnemu obrzezaniu i uczą się nowego, tym razem wokalnego języka dostępnego tylko dla nich. Po tym okresie inicjacji, gdy przeszli już odpowiednią szkołę życia, wracają do swoich i – jako dorośli – żenią się i zakładają rodziny.

Przed przybyciem Europejczyków podobne zwyczaje panowały wśród wielu innych społeczności zbieracko-łowieckich: dziewczęta wychodziły za mąż po pierwszej miesiączce i wkrótce potem rodziły dzieci, chłopcy długo czekali na swój czas, poddawani brutalnym zabiegom inicjacyjnym. Jak te zwyczaje kształtowały się w Europie i jak doszło do dzisiejszych problemów z nastolatkami, którą autorzy głośnej książki „Mismatch" Peter Glukman i Mark Hanson określają tym właśnie tytułowym słowem – „niedopasowanie"?

Wilki wojny

W indoeuropeistyce stosuje się niemieckie pojęcie *Männerbund* (bractwo, braterstwo) odwołujące się do pradawnych mitów wszystkich ludów Europy, ale też Indii i Iranu, opisujących bandy kawalerów spędzających wiele lat w bezżeństwie i wyżywających swe instynkty w rozbojach, kradzieżach i gwałtach, lecz także na obronie interesu własnych społeczności, z których na kilka lat zostali wykluczeni. Ten okres odseparowania od kontaktów z kobietami i względnej bezkarności jest integralną częścią społecznego ładu. To pojęcie, z początku odnoszące się do germańskich społeczności, przejęli badacze innych ludów indoeuropejskich.

Powszechność przekazów o bandach młodzieńców, żyjących często na wilczą modłę i z wilkami się utożsamiających, każe myśleć o wspólnym praźródle, które musiało być żywe u przodków ludów indoeuropejskich – koczowniczych plemion ze stepów czarnomorskich, które z początkiem III tysiąclecia p.n.e. przywędrowały do Europy (a znacznie później również na teren Półwyspu Indyjskiego) i dały początek dzisiejszym Europejczykom oraz wielu ludom południowej Azji.

Lecz Europa w tym czasie nie była przecież pusta. Jakim więc cudem ten niewielki lud (zwany po angielsku *Yamnaya* lub bardziej swojsko „jamowcami") zdołał w stosunkowo krótkim czasie podbić całą Europę, kładąc zarazem kres rozwijającym się tam od tysiącleci bogatym i zasobnym populacjom, budowniczym monumentalnych megalitów na zachodzie i twórcom wyrafinowanej sztuki (Cucuteni-Trypole) na wschodzie, na terenie dzisiejszej Rumunii i Ukrainy? Odpowiedź tkwi w jednym słowie – *kóryos*. Określa ono bandy młodych dojrzewających chłopców, których w okresie pokwitania izolowano od społeczeństwa, zwalniano z obowiązujących „w domu" reguł i zachowań i pozwalano im na zaspokajanie wszelkich, nawet najdzikszych, popędów.

> Seks ma służyć płodzeniu potomstwa, a jeśli zyskuje walor sam w sobie, to ewolucja przestaje działać. I tego udało się dokonać ludziom.

Dla społeczności w ruchu, przed którymi step otworzył wrota do nieskończonych podbojów, obecność tej stałej kohorty młodych buntowników stworzyła okazję, by ruszyć na podbój nowych lądów – a Europa była najbliżej i kusiła zielonymi dolinami, bujnymi łąkami i zasobnymi osadami, które powstały tuż „za miedzą", po drugiej stronie Dniepru i dalej na zachód, aż po Karpaty. W pewnym sensie tym chłopcom dzisiejsza Europa zawdzięcza swój obraz (choć może słowo „wdzięczność" jest tu nieco na wyrost). *Kóryos* do złudzenia przypominają bandy masajskich młodzieńców czy dawnych Aborygenów, choć pod względem brutalności nie mieli pewnie sobie równych.

Ich skuteczność dobrze ilustruje niesłychana kariera męskich chromosomów Y w Europie – dziś te indoeuropejskie (R1a i R1b) absolutnie zdominowały te lokalne, zwłaszcza we wschodniej i w północnej Europie, dokąd lud *Yamnaya* przybył najwcześniej. Dane ze wczesnych szkieletów indoeuropejskich, zarówno w Europie, jak i w Indiach, pokazują, że o ile zdobywcy zawsze wykazują genetyczne związki ze stepem, o tyle ich żeńskie towarzyszki są zwykle miejscowe. Ta niezwykła asymetria – dominacja bardzo nielicznych haplotypów chromosomu Y i ogromna mnogość ich żeńskich odpowiedników jest uderzająca i wskazuje na asymetrię stojących za nimi płci. Przybyli z zewnątrz stosunkowo nieliczni najeźdźcy płodzili dzieci z nieporównanie liczniejszymi miejscowymi kobietami i ślad owych podbojów do dziś jest czytelny w chromosomach Y i mtDNA mieszkańców obu subkontynentów. Jak się zdaje, już pierwszy kontakt miejscowych mężczyzn i najeźdźców skończył się dla tych pierwszych prawdziwym ludobójstwem – chromosomy Y i ich geny znikają nagle z zapisu.

Gdy w końcu najeźdźcy poczuli się „u siebie", gdy osiedli na roli i zbudowali miasta, również i instytucja *kóryos* zanikła, choć przetrwała w podaniach, a gdzieniegdzie i powróciła po setkach lat w mało zmienionej postaci. Sposób traktowania młodzieńców

eprasa.pl 89558b6b43

w greckiej Sparcie jest dobrze znany. Pośród czynów, jakich od nich oczekiwano, było także uśmiercenie niewolnika, a ci, którzy okazywali się do tego niezdolni, podlegali karze.

Łowcy żyli dłużej

„Dlaczego świat, w którym żyjemy, tak bardzo nie pasuje już do potrzeb naszych ciał". Tak brzmi podtytuł książki „Mismatch", która ukazała się w 2006 r. Autorzy – dwaj profesorowie medycyny – spisali w niej problemy, z którymi borykają się współczesne społeczeństwa, a które sprowadzają się do jednego stwierdzenia: ciała mamy paleolityczne, ale rzeczywistość to XXI w. Lub inaczej: biologia przystosowała nas do świata, którego od tysięcy lat już nie ma, a zmiany, które zaszły i w większości są naszym dziełem, były i są tak szybkie, że dobór naturalny nie miał szans za nimi nadążyć. Rozziew między biologią a szeroko pojętą kulturą stale się powiększa i jeśli w ogóle dajemy sobie z tym jakoś radę, to dzięki technologii, która powoli czyni z nas na poły cyborgów, oraz medycynie, która z coraz większym trudem i przy coraz większych kosztach leczy nas z chorób i wyciąga z problemów, które często sami na siebie sprowadziliśmy (pomyślmy o epidemii otyłości).

Jednak najciekawszy jest chyba rozdział o dojrzewaniu. Autorzy sytuują początek tego rozwierania się nożyc na czasy niemal współczesne, a największe jego nasilenie – na ostatnie 100 lat. Wobec wszystkiego, o czym była mowa wyżej, musi to brzmieć szokująco.

Zaczynają od przypomnienia, że w całym świecie ożywionym i wśród gatunków rozmnażających się płciowo czas powstania kompetencji seksualnych i czas narodzin pierwszych dzieci z grubsza się pokrywają, bo nad tym pracuje dobór naturalny. Inaczej rodziłyby się dzieci pozbawione opiekuńczych rodziców, co w przypadku gatunku ludzkiego jest biologicznym absurdem, bo nasze dzieci są wśród wszystkich ssaków najbardziej niedołężne i najdłużej od takiej opieki uzależnione. A normą wśród ssaków jest, że osiągnięcie kompetencji płciowych prowadzi do seksualnej aktywności – nie dlatego, by mieć więcej dzieci, ale by mieć więcej przyjemności lub by dać upust instynktom. Biologia już zadbała, by nikt się w tych powinnościach nie ociągał.

Jak ten paradoks tłumaczą autorzy? Otóż twierdzą, że tego rozziewu przez ostatnie setki lat po prostu nie było lub był znacznie mniejszy i mniej uciążliwy niż dziś. Glukman i Hanson są lekarzami, nie paleoantropologami, i horyzont ich zainteresowań to czasy historyczne, a więc – z grubsza – od powstania nowoczesnych państw. Ich struktura demograficzna przez większość ich istnienia opierała się na ludności wiejskiej i rolniczej, a rolnictwo – choć przyniosło rozliczne korzyści na poziomie całych populacji – na poziomie osobniczym (więc tym, na który działa dobór) dokonało regresu.

Dobrze pokazuje to porównanie szkieletów ludów zbieracko-łowieckich i rolniczych – ci pierwsi są wyraźnie wyżsi, zdrowsi i silniej zbudowani. Ba, nawet wielkość mózgu najstarszych Europejczyków naszego gatunku (a i wcześniejszych neandertalczyków!) była średnio większa niż ich późniejszych rolniczych następców. Skąd te różnice? Odpowiedzialne są głównie dwa czynniki – znacząco mniej zróżnicowana dieta rolników, oparta w znacznej mierze na węglowodanach, i monotonna praca na roli, niedająca szans na równomierny rozwój biologicznie przystosowanych do biegu ciał. A także niezwykle częste i śmiercionośne choroby zakaźne, związane z życiem w zagęszczonych populacjach i bliskimi kontaktami ze zwierzętami hodowlanymi.

Wszystko to sprawiało, że średnia długość życia się obniżała, a jego jakość drastycznie spadła. Poszło za tym opóźnienie pierwszych objawów pokwitania, co z ewolucyjnego punktu widzenia jest zrozumiałe – osobnik w kiepskim stanie zdrowia nie powinien się śpieszyć z prokreacją, lecz poczekać na bardziej sprzyjające płodzeniu dzieci warunki. A że te lepsze warunki nie nadchodziły, z czasem oznaczało to znaczące przesunięcie okresu dojrzałości płciowej, być może – jak piszą autorzy – aż do zrównania się w czasie obu kluczowych ludzkich kompetencji. Dochodziły do tego dodatkowe czynniki minimalizujące lub wręcz wykluczające ten groźny – szczególnie dla chłopców – okres emocjonalnego rozchwiania. Po pierwsze, praca na roli wymagała ciągłego zaangażowania, co nie pozostawiało wielu okazji do innej aktywności, a po drugie, mała mobilność rolniczych społeczności silnie ograniczała rynek matrymonialny. Coraz ostrzejsze zakazy dotyczące faktycznego lub urojonego kazirodztwa tylko ten problem potęgowały.

> Osiągamy dojrzałość płciową sporo wcześniej, niż dojrzewamy społecznie i zakładamy rodziny. Ten okres „pomiędzy" jest szczególnie groźny.

Cyberporno i social media

Ostatnie kilka pokoleń, a zwłaszcza okres od połowy XX w., to jednak prawdziwa rewolucja. Upowszechnienie antykoncepcji oznacza rozerwanie związku między seksem a prokreacją. To nie zdarzyło się nigdy, odkąd istnieje życie na Ziemi, a organizmy rozmnażają się płciowo. Seks ma służyć płodzeniu potomstwa, a jeśli zyskuje walor sam w sobie, to znaczy, że ewolucja przestaje działać. I tego właśnie udało nam się dokonać. Lecz jeśli tak, to i owo „zakończenie godów", jakim jest przyjście na świat pierwszego dziecka, można unieważnić, a wówczas nastaje czas niekończących się godów...

Do tego dochodzi drugi czynnik. Za sprawą powszechnej dostępności pożywienia, szczepień i innych usług medycznych oraz higieny (w tzw. Pierwszym Świecie) czas pokwitania zaczął przychodzić coraz wcześniej – autorzy wskazują, że w ostatnich dziesięcioleciach cofa się średnio o 3 miesiące na dekadę. Coraz wcześniejsze pokwitanie zderza się z coraz późniejszym dojrzewaniem (do macierzyństwa lub ojcostwa) – ryzykowny okres „pomiędzy" stale się wydłuża.

Jakby tego było mało, rozwój internetu, a zwłaszcza portali społecznościowych, filmów erotycznych i serwisów randkowych, upowszechnił dostęp do zatajanych przedtem treści, rozbudził ukryte nierzadko żądze i niebywale zwiększył możliwości ich zaspokojenia. Pod względem biologicznym wróciliśmy więc do przeszłości, pod względem społecznym wkroczyliśmy w wiek niemal nieograniczonej wolności. Bandy młodych wyrostków (dziś już obojga płci) to niemal współczesne wcielenie *kóryos* i *Männerbund*, tyle że zamiast spajać porządek społeczny, skutecznie go naruszają. Próbujemy temu przeciwdziałać, ale z pewnością odbieranie nastolatkom smartfonów w szkołach nie rozwiąże tego problemu.

MARCIN RYSZKIEWICZ

eprasa.pl 89558b6b43

Cena strachu

Przykre doświadczenia zostawiają w DNA ślad w postaci molekularnych „notatek". Ale czy oznacza to, że dzieci mogą dziedziczyć nie tylko geny, lecz także lęki i traumy rodziców?

© STUDIO POLITYKI/AI

MARTA ALICJA TRZECIAK

W 2013 r. przeprowadzono głośny eksperyment. Badacze nauczyli samce myszy bać się zapachu kwiatu wiśni (dokładniej: acetofenonu – jednego z ketonów aromatycznych). Za każdym razem, gdy gryzonie czuły kwiatową woń, rażono je impulsem elektrycznym. Tak wytrenowane myszy dopuszczono do rozrodu. Testy behawioralne ujawniły, że u następnego pokolenia występowała reakcja stresowa na zapach kwiatu wiśni, mimo że nigdy wcześniej się z nim nie zetknęło. Młode myszy wykazywały wzmocnioną aktywność receptora zapachowego, który wiąże cząsteczki acetofenonu, a następnie przekazuje informacje na ich temat do układu nerwowego.

Wyglądało na to, że rodzice zapisali w swoim DNA „wiadomość": „Geny związane z odczytywaniem woni są bardzo ważne, dlatego należy z nich często korzystać i poddawać je intensywnej ekspresji, czyli procesowi przekształcenia informacji w funkcjonalne białko lub cząsteczkę RNA". Takie „notatki" to część tzw. epigenomu. Składają się na niego

eprasa.pl 89558b6b43

wszystkie znaczniki nanoszone na sekwencję genetyczną. Nie zmieniają zasadniczej treści, ale dodają jej interpretacje i „tłumaczenia" na język białek. Zjawiska te bada epigenetyka, a proces przekazywania znaczników DNA z pokolenia na pokolenie to żywo dyskutowane dziedziczenie epigenetyczne.

Jak działają genetyczne notatki?

Odziedziczone po rodzicach DNA zawiera podstawowe instrukcje dotyczące anatomii, biochemii i fizjologii. Zasadniczy genom pozostaje niezmienny i jest ściśle chroniony: komórki stosują wiele mechanizmów zapobiegających modyfikacjom pierwotnej matrycy DNA. Jednak w ostatnich latach pojawia się coraz więcej dowodów na to, że genetyczne instrukcje da się zmieniać na poziomie osobniczym.

Łatwo to wyjaśnić na przykładzie jednojajowych bliźniąt. Mają taki sam genom, a zatem też identyczną wrodzoną skłonność do zachorowania na nowotwory, choroby metaboliczne czy krążeniowe. Ale jeśli jedno z rodzeństwa będzie przez całe życie paliło, piło, odżywiało się niezdrowo i prowadziło siedzący tryb życia, jego geny będą ulegały innej ekspresji niż geny brata, który żył aktywnie i zdrowo.

Te różnice wynikają po części z bezpośredniego oddziaływania czynników środowiskowych – dym niszczy płuca, a niewłaściwa dieta rozregulowuje metabolizm. Jednak poza tym organizm reaguje na środowisko, zwiększając lub zmniejszając ekspresję poszczególnych genów, odpowiedzialnych np. za gospodarkę insulinową czy za procesy zapalne. Można to porównać do interpretowania przepisu na ciasto. Zapis w książce kucharskiej pozostaje niezmieniony, ale na marginesie kartki można np. dopisać: „mniej proszku do pieczenia" itp. Czy te karteczki są przypisane do jednego organizmu i potem usuwane, czy też mogą być przekazywane na drodze biologicznej następnym pokoleniom? Gdyby ta druga opcja była prawdziwa, dzieci mogłyby dziedziczyć po swoich rodzicach niektóre doświadczenia, np. przeżyte traumy.

W 1998 r. na łamach „American Journal of Psychiatry" ukazały się wyniki badania 100 osób, które ocalały z Holokaustu. Cierpiały na zespół stresu pourazowego (PTSD), skupiono się jednak na zdrowiu psychicznym ich dzieci. Diagnozowano u nich PTSD znacznie częściej niż w grupie kontrolnej osób o podobnych cechach demograficznych, ale wychowywanych przez rodziców, którzy nie mieli za sobą tak traumatyzujących przeżyć.

Autorzy publikacji podkreślili jednak, że zbadali tylko korelację i nie analizowali przyczyn wykazanych zależności. Zastrzegli, że tzw. międzypokoleniowe PTSD może mieć różną etiologię – niekoniecznie biologiczną. Pewną rolę mogą tu odgrywać np. wyuczone reakcje. Nie można wykluczyć, że środowisko wychowawcze stworzone przez ocalałych z Holokaustu było odmienne od tego z grupy kontrolnej. Przeżyte traumy mogły się przełożyć na styl nawiązywania relacji rodzic–dziecko, a przekazywane z pokolenia na pokolenie opowieści o życiu w zagrożeniu czy o doświadczaniu przemocy mogły mieć wpływ na psychikę córek i synów. Wątek „natura czy kultura" pozostawał więc nierozstrzygnięty.

Do 2000 r. nie przeprowadzono żadnych wiarygodnych badań dotyczących związku między traumą a epigenetyką. Potem jednak ukazało się kilka wartościowych publikacji na ten temat. W 2009 r. zaproponowano (jeszcze bez konkretnych dowodów) mechanizm, na którego zasadzie PTSD mogłoby być epigenetycznie przekazywane następnym pokoleniom. Wskazano tu na rolę metylacji genów powiązanych z zarządzaniem hormonami stresu. Metylacja to jeden z najlepiej poznanych mechanizmów epigenetycznego „znakowania" genomu. Polega na przyłączaniu grup metylowych do nici DNA. Upraszczając: gdy jakiś gen został oznaczony dużą liczbą takich grup, trudniej go „wyplątać" z sekwencji, wyciągnąć na wierzch i poddać ekspresji.

W 2013 r. pojawiły się już pierwsze konkrety dotyczące związków między metylacją a traumą. Okazało się, że u osób, które miały w dzieciństwie traumatyczne doświadczenia (np. były wykorzystywane seksualnie), nawet w dorosłości mogą występować epigenetyczne znaczniki na genie FKBP5, związanym z gospodarką hormonów stresu. Dwa lata później naukowcy dowiedli, że u 61 badanych weteranów z PTSD występowała zmniejszona metylacja w tzw. promotorze NR3C1-1F, czyli w genie kodującym receptor glikokortykoidowy. Innymi słowy, u osób tych występowała wzmożona wrażliwość na hormony stresu.

W 2014 r. wykazano, że dzieci matek, które przeżyły akty ludobójstwa w Rwandzie, miały zmienioną metylację genów regulujących gospodarkę hormonów stresu. W 2015 i 2016 r. pojawiły się doniesienia o znacznikach epigenetycznych na DNA potomków osób ocalałych z Holokaustu. Rok później ukazała się praca, z której wynikało, że dzieci mężczyzn z PTSD mają zmieniony epigenom w rejonach odpowiedzialnych za reakcję na stresory. A na początku tego roku na łamach „Scientific Reports" została opublikowana analiza wskazująca, że u potomków syryjskich uchodźców, którzy doświadczyli przemocy wojennej, występują charakterystyczne ślady epigenetyczne.

Jak się „dziedziczy" traumy?

A jednak rozstrzygających odpowiedzi na pytanie, czy traumę rzeczywiście można odziedziczyć w genach, wcale nie przybywa. Większość wymienionych badań bazuje na bardzo nielicznych grupach (zwykle kilkudziesięcioosobowych) i za to jest krytykowana przez sceptyków. Poza tym nawet prace z wiarygodną i dobrze ocenianą metodologią są trudne do jednoznacznej interpretacji.

Niektóre analizy np. pokazują, że PTSD jednego z rodziców rzekomo dziedziczy się epigenetycznie, ale już drugiego – nie. Są i takie prace, z których wynika, że zespół stresu pourazowego matki pogarsza rokowania dzieci i odciska piętno na ich epigenomie, a ta sama diagnoza u ojca działa na potomków ochronnie. Do takich wyników można dorabiać nieskończenie wiele naciąganych interpretacji. Można też uznać, że poruszamy się w tych danych po omacku. Dotychczas ani jedno badanie nie dowiodło w rozstrzygający sposób, czy znalezione w genomach dzieci markery epigenetyczne powiązane z traumą rzeczywiście zostały przekazane przez rodziców, czy raczej pojawiły się dopiero w organizmie potomnym (np. w następstwie oddziaływania wspomnianego już środowiska wychowawczego).

Dlatego, choć część badaczy reaguje entuzjastycznie na wymienione doniesienia, inni studzą ten zapał. Biolodzy molekularni z Queensland Institute of Medical Research, specjalizujący się w ludzkich (a nie mysich – to istotne) badaniach genetycznych, już w 2008 r. zwrócili uwagę na to, że część „sensacyjnych" doniesień wynika z niezrozumienia lub pomylenia pojęć. Zauważyli, że pewne efekty epigenetyczne mogą być przekazywane z rodziców na dzieci, ale najczęściej nie dzieje się to na drodze międzypokoleniowego ▶

eprasa.pl 89558b6b43

▶ dziedziczenia gametowego, lecz na drodze tzw. międzypokoleniowego efektu epigenetycznego.

Pierwszy mechanizm działa tak: organizm rodzicielski nanosi na swój genom „notatki", a potem przekazuje je do swoich komórek jajowych lub plemników. Te komórki łączą się z gametami partnera lub partnerki, dochodzi do zapłodnienia. Powstały zarodek nosi w sobie znaczniki genów nadane przez rodziców. To tzw. dziedziczenie twarde (*hard inheritance*), czyli bazujące na chemii DNA.

Drugi mechanizm wygląda inaczej: geny płodu, pierwotnie wolne od epigenetycznych markerów, są nimi stopniowo zapełniane w toku życia. Środowisko, w jakim rozwija się nowy organizm, wpływa na jego epigenom. Jest to miękkie dziedziczenie (*soft inheritance*). Jego przejawy można znaleźć nawet w parach opiekun–dziecko, które nie są ze sobą spokrewnione. Już prace w 2010 i 2011 r. dowiodły, że dzieci wychowywane przez dorosłych z depresją są na nią bardziej narażone, nawet jeśli z opiekunami nie łączy ich pokrewieństwo. W 2024 r. na łamach „JAMA Psychiatry" wykazano, że ta sama korelacja może dotyczyć zespołu stresu pourazowego. Występuje on częściej u dzieci dorastających z dorosłymi z PTSD, nawet jeśli nie są oni ich biologicznymi rodzicami.

Jak zanikają znaczniki?

Prawidłowe rozpoznanie kierunku zależności pomiędzy epigenetyką a objawami jest problematyczne z jeszcze jednego powodu. Zwrócono na niego uwagę w 2015 r. na łamach „Frontiers in Psychiatry". W pracy tej analizowano epigenomy weteranów wojennych, u których występował zespół stresu pourazowego. Na początku projektu u wszystkich badanych odnajdywano podobne znaczniki na genach. Potem część weteranów udało się poddać skutecznej terapii i wyleczyć z PTSD. U tej grupy zmiany epigenetyczne cofnęły się wraz z objawami klinicznymi. Co może oznaczać, że metylacja genów i inne podobne markery są raczej skutkiem zaburzeń zdrowia psychicznego, a nie przyczyną.

Między innymi z tych powodów część naukowców uważa, że epigenetyczne dziedziczenie traum jest u ludzi albo niemożliwe, albo bardzo skomplikowane i potrzeba jeszcze wielu badań, by dojść do wiarygodnych wniosków. Badacze ci podkreślają, że przekazanie potomstwu znaczników epigenetycznych na drodze dziedziczenia biologicznego jest mało prawdopodobne, ponieważ po zapłodnieniu, czyli fuzji plemnika i komórki jajowej, u ludzi dochodzi do czyszczenia epigenomu, czyli wymazania „notatek" na genach.

Znanym przykładem takiego resetu znaczników DNA jest tzw. zerowanie zegara epigenetycznego. Wyjaśnijmy: osoba dorosła ma na swoim genomie więcej markerów niż kilkulatek. Ponieważ „notatek" tych przybywa na DNA stopniowo, to mierząc je specjalnymi metodami, można określić epigenetyczny wiek danego człowieka (zegar metylacyjny lub zegar Horvatha). A jednak jeśli 40-letnia osoba spłodzi dziecko, to zegar epigenetyczny potomka będzie wyzerowany i pomiar epigenomu noworodka wskaże zero, a nie 40.

Jak żyje mysz, a jak człowiek?

Wróćmy do wspomnianych na początku myszy, które bały się zapachu kwiatu wiśni. Najwięcej „twardych" danych dotyczących epigenetycznego dziedziczenia traum pochodzi właśnie z badań na gryzoniach. Te doniesienia są często bardzo szczegółowe, a ich metodologii można zarzucić znacznie mniej niż analizom robionym z udziałem ludzi. A jednak i te wyniki nie są rozstrzygające.

Choć ludzie i myszy są ze sobą relatywnie blisko spokrewnieni (kręgowce, łożyskowce, ssaki), to jednak wiele mechanizmów fizjologicznych działa u tych gatunków inaczej. Co znacznie ważniejsze, laboratoryjne gryzonie są organizmami hodowanymi w kontrolowanych warunkach, modyfikowanymi genetycznie do ściśle określonych potrzeb i utrzymywanymi w środowisku, które podlega tylko tym zmianom, jakie wprowadzą badacze. W ludzkim życiu jest znacznie więcej zmiennych, a wiele zachowań, postaw i reakcji przenoszonych jest na drodze transferu kulturowego, a nie tylko genetycznego.

Zresztą nawet badania „traum" dziedziczonych przez gryzonie dostarczają niejednoznacznych lub trudnych do interpretowania wyników. W 2016 r. wykazano, że myszy, które wcześniej przekazywały potomstwu swoje epigenetyczne lęki, przestały to robić, gdy powiększono ich klatki, dodano kołowrotek do biegania i 30-centymetrowy labirynt, czyli wzbogacono ich środowisko życia.

Czy zatem myszy straumatyzowane zapachem kwiatu wiśni rzeczywiście przekazały swojemu potomstwu lęk za pomocą epigenomu? Możliwe. Jednak nawet jeśli tak było, trzeba pamiętać, że wychwycenie zwiększonej ekspresji jednego receptora zapachowego (bo taka właśnie zmiana zaszła w organizmach myszy z pokolenia potomnego) to za mało, by uznać, że ludzie „pamiętają" traumy swoich rodziców, bo mają je zapisane w genach. Zachowanie sceptycyzmu jest tu bardzo istotne, ponieważ na rubieżach nauki nie brakuje pseudofachowców, którzy interpretują dane po swojemu, pakują je w błyszczący celofan i prezentują popkulturze.

Jednocześnie trzeba zaznaczyć, że wątpliwości, które pojawiają się w odniesieniu do badań dotyczących potencjalnego epigenetycznego dziedziczenia traum, nie unieważniają i nie dyskredytują ich wyników. Pokazują jedynie, że wciąż jeszcze bardzo niewiele wiemy na temat procesów tego rodzaju, a wiedza o nich budowana jest bardzo mozolnie. Nauki empiryczne powinny przestrzegać tzw. standardu Sagana: „Nadzwyczajne twierdzenia wymagają nadzwyczajnych dowodów". Na polu dziedzicznej epigenetyki takich dowodów nadal brakuje.

MARTA ALICJA TRZECIAK

Międzypokoleniowe PTSD może mieć różne przyczyny, niekoniecznie biologiczne. Istotne bywają wyuczone reakcje.

© NATALI MIS/SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 89558b6b43

Jazda na punkty

Ewaluacja jednostek naukowych zostanie przeprowadzona według dotychczasowych zasad. Zamiast ratować naukę, środowisko będzie ratować wskaźniki.

MACIEJ J. NOWAK

Mamy ostatni rok czteroletniego okresu ewaluacji jednostek naukowych (2022–25). Polega ona, w wielkim uproszczeniu, na zebraniu i ocenie przez każdą z nich szeroko rozumianego dorobku naukowego swoich pracowników. Następnie dane te mają podlegać biurokratycznej ocenie skutkującej przyznaniem owym jednostkom określonych kategorii, które znacząco rzutują na ich pozycję w przyszłości. Kilka miesięcy temu pojawiło się wiele głosów (na szczeblu komitetów PAN, rektorskich itd.) wzywających do zupełnego odstąpienia od ewaluacji. Niestety nie zostały uwzględnione. Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego zdecydowało się na dokończenie procedury na dotychczasowych zasadach oraz spokojne wypracowanie kryteriów na przyszłość. Wynika z tego smutny wniosek: najbliższe półrocze jest w przeważającym zakresie stracone dla polskiej nauki.

Można zrozumieć, że bardziej radykalny ruch (natychmiastowe odstąpienie od ewaluacji) powodowałby pewien chwilowy biurokratyczny chaos. I zapewne taka perspektywa to dla administracji publicznej najgorsze, co się może zdarzyć, ostatni krąg piekła. Przymknięto więc oko na dalsze sankcjonowanie wymuszanych przez ewaluację patologicznych praktyk. Teraz staną się one szczególnie intensywne.

Czego możemy się spodziewać?

Po pierwsze, dalszego desperackiego wyszukiwania na uczelniach, wydziałach i w dyscyplinach naukowych tych pracowników, którzy do tej pory niewiele publikowali. Będą oni – prośbą i groźbą – zmuszani do wytwarzania „wysoko punktowanych" publikacji. Tego rodzaju perswazja będzie zajmować większość społeczności uczelnianych w najbliższym czasie. Punkty przyznawane w ramach ewaluacji stanowią bowiem konsekwencję skomplikowanego zestawienia kluczowych publikacji pracowników danego wydziału czy dyscypliny.

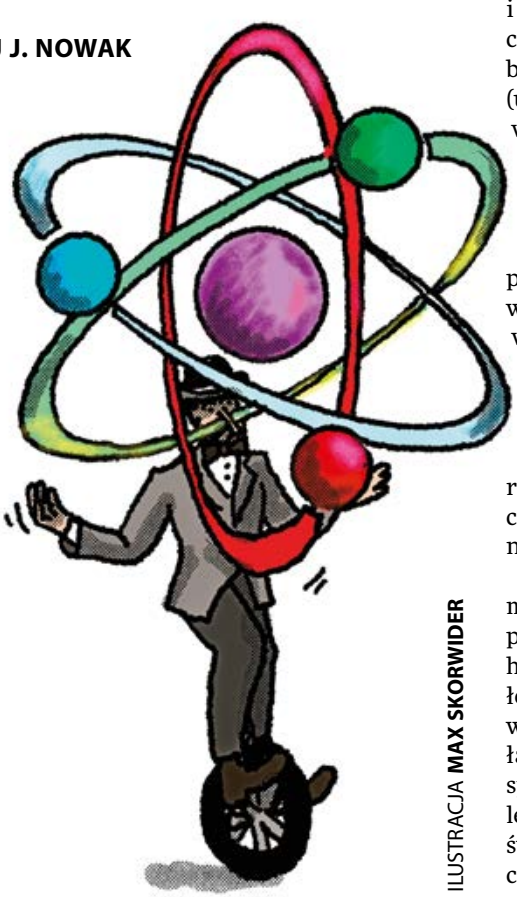

ILUSTRACJA **MAX SKORWIDER**

Podkreślmy, że chodzi wyłącznie o punkty, a nie o jakość publikacji. W puli „wysoko punktowanych" są oczywiście czasopisma dobre, ale są również periodyki dyskusyjne, a także ewidentnie złe. Teraz, w ostatnich miesiącach, mało kto będzie zwracał uwagę na takie niuanse. Chodzić będzie o to, żeby mniej aktywni pracownicy opublikowali cokolwiek gdziekolwiek. Jednostki, które stwierdzą honorowo, że to działanie niewłaściwe, niezgodne z ideą prawdziwej nauki, że liczy się jakość i etos, ostatecznie uzyskają mniej punktów w ewaluacji.

Po drugie, jednocześnie zintensyfikuje się myślenie o tym, „co zrobić, żeby dostać więcej punktów". Punkty ewaluacyjne przesłonią takie „drobiazgi", jak realna wartość badań naukowych („przecież z tego nic nie ma!") albo naukowych dyskusji. Zupełnie o tym w najbliższym półroczu zapomnimy. I można mieć wątpliwości, czy uda nam się szybko o tym potem przypomnieć.

Dziś również aktywniejsi pracownicy czują się w obowiązku udzielenia pomocy i wyszukiwania „wysoko punktowanych" czasopism. Z jakim skutkiem? W wielu dobrych międzynarodowych czasopismach (uwzględnionych akurat jakimś cudem w polskiej punktacji) zauważa się wzrost liczby zgłoszeń publikacji z polskich uczelni. Gdyby ten skok był oderwany od koniunkturalnego, ewaluacyjnego kontekstu, to byłoby świetnie. Problem polega na tym, że następuje on akurat w tym roku. Powoduje to – ujmijmy sprawę delikatnie – zdecydowanie większą „wrażliwość" redakcji uznanych zagranicznych czasopism na zgłoszenia z naszego kraju. Inaczej jest w rodzimych czasopismach. Ich redakcje znakomicie rozumieją sytuację, same w niej uczestniczą. Trwa wyścig, komu uda się w tej ostatniej chwili wskoczyć na łamy.

Po trzecie, w najbliższym czasie będziemy rozpaczliwie szukać potwierdzenia popieranego przez system ewaluacyjny hasła, że nauka musi być ważna społecznie. Jednym z wymaganych bowiem w ewaluacji kryteriów jest „wpływ działalności naukowej na funkcjonowanie społeczeństwa i gospodarki". Na czym polega w praktyce? Na usilnym zbieraniu zaświadczeń o tym, że działalność naukowców i uczelni przełożyła się na rzeczone „efekty". Zebranie umów, mniej lub bardziej potrzebnych raportów, pieczątek czy nawet, o zgrozo, wpisów internetowych i innych tego typu potwierdzeń staje się znacznie ważniejszym celem niż uzyskanie realnych pozytywnych wyników. Również więc w tym przypadku forma przerasta treść.

Przykłady można mnożyć i rozwijać. Jeszcze raz warto podkreślić – ich kumulacja wystąpi właśnie teraz, w najbliższych miesiącach. Ktoś może uznać, że trudno, jakoś da się to przeżyć. Tak, zapewne przeżyjemy. Niemniej każdy stracony dla nauki dzień bardzo boli. Czy stać nas na zaprzepaszczenie aż kilku miesięcy?

Dr hab. Maciej J. Nowak jest profesorem Zachodniopomorskiego Uniwersytetu Technologicznego w Szczecinie, kierownikiem Katedry Nieruchomości na Wydziale Ekonomicznym ZUT.

eprasa.pl 89558b6b43

Z europejskich zawirowań wojennych 210 lat temu Polska wyszła bez części ziem, za to z nowym królem – carem Rosji. Dla jednych był to czwarty rozbiór, dla innych cud, że cokolwiek udało się uratować.

W czyśćcu z Aleksandrem

Wjazd Aleksandra I do Warszawy, 1815 r., grafika Ludwika Horwarta. Poniżej: **portret tego cara Wszechrusi i króla Polski.**

JAROSŁAW CZUBATY

Mieszkańców Warszawy obudził 20 czerwca 1815 r. huk 50 armatnich wystrzałów. Minęły niespełna dwa dni od klęski Napoleona w bitwie pod Waterloo. Tym razem wystrzały nie stanowiły zapowiedzi rozpoczynającego się zbrojnego starcia, lecz, jak donosił uniesiony urzędowym entuzjazmem dziennikarz „Gazety Warszawskiej": „zwiastowały stolicy dzień uroczysty, dzień, który powszechna radość i wdzięczność mieszkańców w narodowe święto zmieniła". Car Aleksander I, władca Królestwa Polskiego powołanego do życia 9 czerwca w akcie końcowym kongresu wiedeńskiego, obwieszczał nowym poddanym przejęcie władzy nad państwem obejmującym jedynie część terytorium istniejącego dotąd Księstwa Warszawskiego.

Drogę do uroczystości w stolicy otworzyły wydarzenia, które rozegrały się wiosną 1814 r. W początkach kwietnia tego roku stało się jasne, że Napoleon nie będzie w stanie wygrać kampanii toczonej na terytorium Francji z wojskami już szóstej antyfrancuskiej koalicji. 6 kwietnia Napoleon abdykował. W tej sytuacji dalszy los polskich oddziałów, walczących po stronie cesarza Francuzów jako jego ostatni wierni sojusznicy, stał

eprasa.pl 89558b6b43

się niepewny. Grono polskich generałów zwróciło się do niego z prośbą o honorowe zwolnienie ze służby.

Uzyskawszy zaszczytne świadectwo Napoleona, że „zawsze oddawał sprawiedliwość wierności armii Księstwa Warszawskiego oraz waleczności, której tyle pobojowisk było świadkiem", zwrócili się oni do przebywającego w Paryżu faktycznego przywódcy koalicji, cara Aleksandra I, z prośbą o zezwolenie polskim oddziałom na powrót do kraju okupowanego wówczas przez wojska rosyjskie.

24 kwietnia na polach podparyskiego Saint-Denis władca Rosji odbył uroczysty przegląd polskich oddziałów. Niedawni wrogowie dołożyli starań, by przebiegał on w przyjacielskiej, pełnej kurtuazji atmosferze, choć – jak zauważyli świadkowie – usłużnie wzniesiony przez jednego z generałów okrzyk na cześć Aleksandra I wywołał słaby odzew. Najważniejsze, a dla wielu zaskakujące były jednak słowa wypowiedziane przez cara, który publicznie zakomunikował Polakom przyjęcie „świętego i solennego zobowiązania pracować dla waszego szczęścia". Dla większości tych, którzy słyszeli te słowa, ich sens był jasny – car zamierzał zastąpić Napoleona w roli reprezentanta polskich aspiracji do posiadania własnego państwa.

Wydarzenia, które miały miejsce pod Saint-Denis, stanowiły początek reorientacji politycznej znacznej części polskiej elity świadomej, że po klęsce cesarza Francuzów, twórcy i protektora Księstwa Warszawskiego, zwycięskie mocarstwa mogą unicestwić ową, ważną dla Polaków, namiastkę polskiej państwowości. Wielkoduszna, bo tak ją odebrano, zgoda zwycięzcy na powrót pokonanych do kraju z bronią i własnymi sztandarami, zdecydowanie utrwaliła wśród nich pozytywny wizerunek cara. Już wcześniej do kręgów zainteresowanych sprawami publicznymi docierały informacje o przyjaźni władcy z księciem Adamem Jerzym Czartoryskim, który przez pewien czas pełnił nawet obowiązki ministra spraw zagranicznych imperium.

Wielu Polaków intrygowały wieści o liberalnych poglądach Aleksandra I, jego marzeniu o wprowadzeniu w Rosji konstytucji czy głoszonym w kręgach zaufanych przekonaniu, że rozbiory Polski były aktem niesprawiedliwości, a jej odbudowa jest „ulubioną ideą" cara. Wielu zwracało również uwagę na rozkwit polskiego szkolnictwa w zaborze rosyjskim i utrzymanie w nim szlacheckiego samorządu o ograniczonych wprawdzie w porównaniu z epoką przedrozbiorową kompetencjach. Choć wśród Polaków w Księstwie Warszawskim dominowało przekonanie, że to z protekcją Napoleona wiążą się największe szanse na odbudowę państwa, także tam były kręgi, w których na Aleksandra I jako kandydata na ewentualnego – jak wówczas mówiono – „zbawcę Polski" patrzono z sympatią. Mimo klęsk poniesionych przez cesarza Francuzów w latach 1812–13 inicjatywy zmierzające do podjęcia z władcą Rosji tajnych negocjacji w celu przejęcia przez niego protekcji nad sprawą polską nie wykroczyły jeszcze poza grono kilku wpływowych osobistości z kręgów rządzących Księstwem Warszawskim. Wiosną 1814 r. abdykacja Napoleona i kilka symbolicznych gestów cara wobec Polaków całkowicie zmieniły nastroje wielu z nich. Niepewność co do dalszych losów Księstwa Warszawskiego skłaniała do wniosku, że jedynie wyraźne opowiedzenie się po stronie Aleksandra I pozwoli utrzymać pewną formę własnej państwowości. Doskonały przykład tego rodzaju myślenia stanowiła zgoda najbardziej zasłużonych polskich generałów na rozpoczęcie w maju 1814 r. prac

nad odbudową armii, prowadzonych pod kierunkiem carskiego brata, wielkiego księcia Konstantego, mimo braku rozstrzygnięć politycznych w sprawie przyszłości Księstwa Warszawskiego.

Decyzje miały zapaść na kongresie z udziałem reprezentantów 16 państw europejskich, który we wrześniu rozpoczął obrady w Wiedniu. Miał on – kierując się zasadami restauracji i legitymizmu – rozwiązać skomplikowany splot problemów politycznych i terytorialnych, powstałych w Europie w wyniku napoleońskiej hegemonii. Na trony mieli powrócić „prawowici" władcy odsunięci od władzy przez Napoleona. Terytoria utracone przez niektóre państwa – zostać zwrócone lub zrekompensowane przyznaniem innych. Proces odbudowy – czy raczej, jak się okazało, przebudowy – politycznej Europy miał być moderowany dzięki forsowanej przez dyplomację brytyjską zasadzie równowagi sił. Zgodnie z nią negocjowane rozwiązania miały sprawić, że żadne z mocarstw europejskich nie zyska dominacji nad innymi.

Już na początku obrad kongresu stało się jasne, że kluczowe znaczenie dla nowej mapy politycznej Europy będą miały rozstrzygnięcia dotyczące Półwyspu Apenińskiego i państw niemieckich. Te zaś okazały się niemożliwe do wynegocjowania bez wcześniejszego określenia losu Księstwa Warszawskiego, a szerzej – sprawy polskiej. Stało się tak za sprawą Aleksandra I, który od początku negocjacji nie ukrywał, że myśli o polskiej koronie. Spośród liczących się aktorów na scenie wielkiej polityki jego ambicje przejęcia władzy w Księstwie Warszawskim przemianowanym na Królestwo Polskie popierały jedynie Prusy. Liczyły one jednak na uzyskanie rekompensaty terytorialnej za utracony zabór pruski obejmującej większość lub nawet całość Królestwa Saksonii, której władca Fryderyk August, panujący również w Księstwie Warszawskim, jako jedyny z monarchów niemieckich okazał się do końca wierny Napoleonowi.

Podobne rozwiązanie stanowczo odrzucały, powołując się na zasadę legitymizmu, Wielka Brytania, Francja i Austria. Za kulisami dyplomaci trzech mocarstw dowodzili, że przyniosłoby ono zarazem nadmierny wzrost potęgi Prus i zdecydowane przesunięcie rosyjskiej strefy wpływów na zachód Europy. Negocjacje przybierały coraz bardziej ostrą formę. W listopadzie ▶

© POLONA, BE&W, LECH MAZURCZYK

eprasa.pl 89558b6b43

▶ 1814 r. dyplomaci brytyjscy zaproponowali rozwiązanie pozornie kompromisowe – jeśli sprawiedliwość wymaga odbudowy polskiego państwa, należy przywrócić je w granicach sprzed pierwszego rozbioru Rzeczpospolitej (z 1772 r.) pod panowaniem władcy niezwiązanego z żadnym z dworów zaborczych. Jeśli okaże się to niemożliwe, należy zlikwidować Księstwo Warszawskie i powrócić do granic po trzecim rozbiorze (z 1795 r.).

Ponieważ żadne z mocarstw zaborczych nie było skłonne wyrzec się zagarniętych terytoriów, Aleksander I zaś nie zrezygnował z aspiracji do polskiej korony, w początkach 1815 r. niedawni sojusznicy znaleźli się na krawędzi wojny. Ich skłonność do kompromisu zwiększyło wydarzenie zupełnie nieoczekiwane – Napoleon potajemnie opuścił wyspę Elbę, przyznaną mu jako rekompensatę za abdykację, i 1 marca zsiadł ze statku na południowym wybrzeżu Francji, ogłaszając, że przybywa, by odzyskać władzę nad państwem upokorzonym przez rojalistów i mocarstwa zwycięskiej koalicji. Po niespełna trzytygodniowym triumfalnym marszu wkroczył do Paryża.

Niespodziewany powrót „potwora", jak określała cesarza antynapoleońska propaganda, i przekonanie o bliskości nowej wojny z nim przyspieszyły finał wiedeńskich negocjacji. W sprawie polskiej przyjęto rozwiązanie kompromisowe. Decyzją kongresu, zapisaną w jego akcie końcowym, Aleksander I objął tron Królestwa Polskiego obejmującego terytorium dawnego Księstwa Warszawskiego pomniejszonego o jego zachodnią część, którą przekazano Prusom jako Wielkie Księstwo Poznańskie, oraz Kraków, który miał się stać wolnym miastem.

Mocarstwa zgadzały się, by nowy król Polski mógł „nadać temu krajowi, używającemu administracji oddzielnej, rozciągłość wewnętrzną, jaką uzna za stosowną", czyli przyłączył do niego ziemie zaboru rosyjskiego. Zadbano również, przynajmniej w teorii, o prawa narodowe Polaków pod władzą mocarstw zaborczych. Mieli oni otrzymać „reprezentację i instytucje urządzone wedle modły bytu politycznego, jakie każdy z rządów, do których przynależą, osądzą za pożyteczne i stosowne im udzielić". Rozstrzygnięcia te okazały się względnie korzystne dla króla saskiego. Prusy, których roszczenia zaspokajało już po części uzyskanie Wielkiego Księstwa Poznańskiego, zadowoliły się bowiem zajęciem „jedynie" 40 proc. terytorium Saksonii.

Po rozstrzygnięciach, które zapadły w końcu na wielkiej scenie europejskiej dyplomacji 9 czerwca 1815 r., nic nie stało na przeszkodzie, by jedenaście dni później zgromadzonym na uroczystej mszy w warszawskiej katedrze biskupom, dygnitarzom i generałom odczytać manifest Aleksandra I. Podkreślał w nim szacunek, jaki budziło stałe dążenie Polaków do odzyskania własnego państwa. Wybór orientacji napoleońskiej jako środka do odzyskania niepodległości dyskretnie skrytykował: „zapał waszych życzeń oddalał was często od tego zbawiennego zamiaru i unosił na drogę, która do niego prowadzić nie mogła".

Choć w manifeście dominowały zapewnienia o wspólnej pracy nad pomyślnością Królestwa Polskiego, Aleksander I musiał mieć świadomość, że wiadomości o kształcie terytorialnym państwa, uszczuplonym w porównaniu z Księstwem Warszawskim, nie wzbudzą euforii jego nowych poddanych, stwierdzał bowiem otwarcie: „niepodobne było opatrzyć w sposób inny waszej narodowej pomyślności. Należało zachować wam ojczyznę, która by nie mogła zostać ani powodem do zazdrości, ani przedmiotem niepokoju dla sąsiadów, ani pochopem do wojny dla Europy".

Należało jeszcze dopełnić procedur niezbędnych podczas przechodzenia pod władzę nowego monarchy. Zgromadzonym w katedrze odczytano list Fryderyka Augusta zwalniający Polaków ze złożonej mu przysięgi wierności. Następnie złożyli oni uroczyste homagium, czyli hołd symbolizujący poddanie się nowemu władcy. W tym samym czasie wielki książę Konstanty, nowy wódz naczelny polskiej armii, odebrał od wojska przysięgę na wierność nowemu królowi.

Uroczysty dzień zamknęły wydarzenia o mniej już podniosłym charakterze. Wydano obiad dla 200 najznakomitszych osób wypełniony polsko-rosyjskimi toastami o wyraźnie pojednawczej treści („Wiecznej unii narodu polskiego z cesarstwem rosyjskim!"; „Wojska polskiego!"; „Wojska rosyjskiego!"). Po jego zakończeniu mogli oni miło spędzić czas na balu na zamku. Na mniej dostojnych uczestników ceremonii czekało bezpłatne przedstawienie nowej wersji znanej opery „Krakowiacy i górale" z librettem dostosowanym do aktualnych wydarzeń („Którego cnota Niebu i ludzkości miła,/Alexander przemówił, i Polska ożyła"). Lud zaś bawił się na placach i ulicach iluminowanego miasta „przy bezpłatnym rozdawaniu napojów".

Zdaniem części historyków decyzje kongresu wiedeńskiego można uznać za czwarty rozbiór Polski. Liczni świadkowie warszawskich wydarzeń z 20 czerwca 1815 r. nie oceniali ich jednak tak jednoznacznie. Wielu uczestników i obserwatorów życia publicznego w Księstwie Warszawskim, dygnitarzy, oficerów czy urzędników obawiało się, że Polacy – ostatni wierni sojusznicy Napoleona – zostaną przez zwycięskie mocarstwa potraktowani znacznie surowiej. Niewielkie, ale mające liberalną konstytucję Królestwo Polskie mogli przyjąć z uczuciem, z jakim załoga okrętu, który właśnie uszedł katastrofalnej burzy, wpływa do portu – może nie całkiem upragnionego, ale spokojnego. Generał Antoni Paweł Sułkowski, entuzjasta Napoleona do 1813 r., pisał do żony: „Ta nowa Polska (...) będzie mała i uboga wprawdzie, ale to będzie Polska, będzie miała to święte imię, które z prawa należy się 18-milionowemu narodowi, będzie ośrodkiem idei i działań". Andrzej Horodyski, wysokiej rangi urzędnik Księstwa Warszawskiego, stwierdzał, że Królestwo Polskie stanowi „czyściec polityczny", w którym Polacy mogą doskonalić swe umiejętności rządzenia i cnoty państwowe, by kiedyś doczekać powiększenia jego terytorium.

Warszawskie homagium w niczym nie zapowiadało jeszcze nocy listopadowej z 1830 r. Królestwo Polskie miało konstytucję, sejm, wojsko. Dopiero po latach okazało się, że despotyzmu nie da się pogodzić z liberalizmem, a imperializmu z zasadą suwerenności narodów. 20 czerwca 1815 r. nikt jednak o tym jeszcze nie myślał.

JAROSŁAW CZUBATY

KUP TERAZ

Więcej o historycznych konsekwencjach klęski Bonapartego w Rosji także w Pomocniku Historycznym POLITYKI **„O ROKU ÓW. Wyprawa Napoleona na Moskwę"**. Dostępny na **sklep.polityka.pl**

eprasa.pl 89558b6b43

Wypromowany prorok

Co dziś zostało z myśli Karola Marksa, opowiada Krzysztof Iszkowski, autor jego biografii „Idol”.

Pomnik Marksa w Berlinie

© VOLLER ERNST/SIEGFRIED STEINACH/IMAGEBROKER/FORUM

JAKUB HALCEWICZ: **– Idol?**

KRZYSZTOF ISZKOWSKI: – Bałwan. Gdy krytykował innych, Marks nie uciekał od ostrych sformułowań, więc myślę, że zasłużył na podobnie twarde potraktowanie. Nie chodzi mi o głupca ani o kupę zlepionego śniegu, tylko o wykreowany obiekt kultu. Bo opowiadam nie tylko o życiu Marksa i jego ideach, ale też o tym, kim lub czym stał się po śmierci. Chcę pokazać, że jego dzisiejsza sława wynika w dużej mierze z działań piarowych jego współpracownika i sponsora. Jeżeli prace Marksa są dziś uznawane za przełomowe w historii myśli, to jest to zasługą Fryderyka Engelsa, który mozolnie budował legendę przyjaciela i w końcu uczynił go idolem.

Co świat zawdzięcza Marksowi?

To on wymyślił kapitalizm. Jego inspirowana dorobkiem Hegla analiza faz rozwoju społecznego – od niewolnictwa, przez feudalizm, do kapitalizmu – ukształtowała sposób myślenia o historii i gospodarce nawet tych osób, które uważają komunizm za zło wcielone. Powszechne poczucie, że żyjemy w społeczeństwie kapitalistycznym, jest najbardziej trwałym elementem myśli Marksa.

Następny system miał być lepszy?

Marks unikał szczegółowego opisywania przyszłego społeczeństwa komunistycznego. Nie chciał tworzyć konkretnej wizji, jak wcześniejsi myśliciele socjalistyczni, tacy jak na przykład Charles Fourier, który opowiadał, że ludzie będą żyć dostatnio po 144 lata i urosną do ponad dwóch metrów, a oceany wypełnią się lemoniadą. Marks skupił się na analizie kapitalizmu i jego nieuchronnych sprzecznościach, twierdząc, że system ten upadnie, ale nie określał, jak dokładnie miałoby wyglądać społeczeństwo po rewolucji.

Czy może być inspirujący choćby w rozmowach o dzisiejszych nierównościach?

Przewidywał, że proletariat będzie się powiększał o osoby z ubożejącej klasy średniej, co przypomina dzisiejsze obawy. Pokusa, by odwoływać się do Marksa w opisie rozwarstwienia w XXI w., jest silna, ale ma sens tylko w granicach gospodarek narodowych ciągle bogatego Zachodu. W skali globalnej – a tą skalą należy operować, bo gospodarka ma charakter globalny – nierówności w ostatnich kilkudziesięciu latach się zmniejszyły.

Z drugiej strony istnieje wiele badań pokazujących, że tam, gdzie przy wolności gospodarczej i politycznej jest większy poziom redystrybucji, wszystkim żyje się lepiej. Jednak nigdzie nie zostało to osiągnięte dzięki rewolucji według marksowskiego schematu: obalenie dotychczasowego systemu, dyktatura proletariatu, a potem się zobaczy. Najlepiej żyje się w tych krajach, w których rewolucji nie było.

Dlaczego więc swojego idola nie ma idea państwa dobrobytu?

Bo państwo dobrobytu jest wynikiem kompromisów i drobnych kroków, podczas gdy charyzmatycy w rodzaju Marksa głoszą potrzebę nagłej i zasadniczej zmiany. Wiąże się to także z większą podatnością *Homo sapiens* na informacje negatywne niż pozytywne. Choć twarde dane pokazują, że ludzkość nigdy nie ▶

eprasa.pl 89558b6b43

▶ żyła równie komfortowo jak obecnie, a autorzy tacy jak Steven Pinker („Zmierzch przemocy. Lepsza strona naszej natury") pokazują, że w ślad za poprawą materialną idzie poprawa moralna, to mocniej przekonują nas katastroficzne opowieści o tym, że zaraz czeka nas inwazja barbarzyńców, apokalipsa klimatyczna albo trzecia wojna światowa. Marks jako wieszcz wielkiej rewolucji cieszył się posłuchem.

Pisze pan, że jedynie raz zrobił coś dla potrzebujących – zorganizował zbiórkę pieniędzy. Mało jak na proroka rewolucji proletariatu.

Altruizm i współczucie nigdy nie były główną motywacją Marksa. Chodziło mu głównie o to, by pokazać, że ma rację, a inni się mylą. Bardziej interesowała go analiza systemowa niż jednostkowe historie ludzi. Ale rzeczywiście, kiedy w 1849 r. po upadku Wiosny Ludów musiał uciec do Wielkiej Brytanii, bo pruska monarchia odzyskała kontrolę nad Niemcami, a we Francji zwyciężyli konserwatyści, swój pobyt w Londynie zaczął od kwesty na rzecz niemieckich uchodźców politycznych.

Z sukcesem?

Umiarkowanym – 36 funtów (ok. 20 tys. zł na dzisiejsze pieniądze) zebrane w ciągu dwóch miesięcy. Zresztą sam biedował, mieszkał w najuboższej wówczas dzielnicy Soho, gdzie na kilometr kwadratowy przypadało 80 tys. ludzi. Ale nawet tam, w dzielnicy biedoty, zajmował się działalnością intelektualną. I starał się od swoich sąsiadów odróżniać. W liście do Engelsa rozważał możliwość odprawienia służących i życia jak proletariusz, ale uznał to za zły pomysł, bo musiałby płacić za wszystko na bieżąco. Praktyczniej było żyć i być postrzeganym jako burżuj – mógł wtedy zaciągać kredyty w sklepach. Choć nie zawsze ta gra pozorów mu się udawała. Dwoje – a możliwe, że troje – jego dzieci zmarło z niedostatku.

Jak zatem kształtowały się jego poglądy?

Urodzony w 1818 r. Marks dorastał w czasie po wielkich wojnach napoleońskich, które były nie tylko ilościowo, ale i jakościowo większe od wszystkich poprzednich wojen. Wcześniejsze decydowały o tym, kto będzie rządził. Napoleońskie zakwestionowały dotychczasową organizację społeczną i polityczną Europy, niosły przekonanie o równości wobec prawa. W latach 40. XIX w. Europa przeżyła kryzys gospodarczy, a wynikający ze złej pogody i zarazy ziemniaczanej nieurodzaj spowodował śmierć milionów ludzi. Na ziemiach polskich, zwłaszcza w Galicji, to czas rabacji, głodu i przypadków kanibalizmu. W wydarzeniach wokół siebie Marks widział nadchodzącą rewolucję.

Krzysztof Iszkowski – doktor nauk humanistycznych w zakresie socjologii, historyk idei, jeden z założycieli „Krytyki Politycznej" i „Liberté!". Autor książek „Po co nam Europa? O rozbieżnych wizjach integracji" (2009), „Ofiary losu. Inna historia Polski" (2017) oraz najnowszej „Idol. Życie doczesne i pośmiertne Karola Marksa" (luty 2025).

Z jakim przygotowaniem został jej teoretykiem?

Jego ojciec chciał, by został prawnikiem i przejął po nim praktykę adwokacką. Karol wolał filozofię, a na studiach nie wyróżniał się spośród rówieśników – pił piwo, pojedynkował się i dyskutował o polityce. Planował karierę akademicką, ale nie obronił się w terminie, a jedyny patron, na którego mógł liczyć, popadł w niełaskę, bo nauczając teologii, zaczął dowodzić nieistnienia Boga. Generalnie opowieść o młodości Marksa brzmi dość znajomo, bo podobnych mu można by i dziś znaleźć na uniwersytecie: studiował w przekonaniu o własnej wybitności, a potem zderzył się z rzeczywistością, bo jego błyskotliwość nie została oceniona wysoko przez rynek pracy.

Jednak przeszedł do historii.

Ale jeśli bliżej przyjrzeć się, jak do tego doszło, to widać, że nie było to wcale nieuchronne i niekoniecznie zasłużone.

Najpierw młody filozof został dziennikarzem.

Pierwszą pracę znalazł w „Rheinische Zeitung", wolnorynkowym, liberalnym i racjonalistycznym piśmie założonym przez kolońskich przedsiębiorców. Sprawdził się i realizował swój polemiczny talent. Ludzie lubili go czytać, nakład rósł, a gazeta była popularna daleko poza Kolonią. Mając zaledwie 24 lata, Marks został głównym redaktorem pisma. „Rheinische Zeitung" została zamknięta przez władze po zaledwie kilku miesiącach działalności, podobno po interwencji samego cara, który poczuł się obrażony jednym z napisanych przez Marksa tekstów. Te kilka miesięcy wystarczyło jednak, by Marks wyrobił sobie markę, dzięki czemu dawni właściciele gazety wspomagali go finansowo przez parę następnych lat.

W czasie Wiosny Ludów reaktywował pismo jako „Neue Rheinische Zeitung" – w podtytule „Organ demokracji" – bardziej radykalne, momentami podsycające rewolucję. Jednak i wtedy gros jego czytelników stanowiła inteligencja, a nie proletariat. Zajęło mu dużo czasu, aby swoje tezy sprowadzić do poziomu przyswajalnego przez robotników.

Ale gdy już to zrobił, to ze spektakularnymi konsekwencjami, dostarczając idei ruchowi politycznemu, który opanował jedną trzecią świata, często bardzo krwawo. Do jakiego stopnia Marks ponosi odpowiedzialność za XX-wieczne totalitaryzmy?

W dość znacznym i trudno dowodzić, że nie mógł się tego spodziewać. Kiedy Marks sformułował koncepcję dyktatury proletariatu, Bakunin – jego największy konkurent w europejskim ruchu rewolucyjnym – zaczął ostrzegać, że z dyktaturą proletariatu stanie się to samo, co z każdą dyktaturą: jedynym celem swojego istnienia uczyni własne trwanie. Miał rację. Byłbym jednak ostrożny w obarczaniu Marksa winą chociażby za zbrodnie bolszewików – ich zakorzenienie w rosyjskich obyczajach, od stuleci szokująco brutalnych dla Europejczyków, było dla rewolucyjnej praktyki co najmniej równie istotne jak marksistowska doktryna. Fakt, że ta bolszewicka brutalność posłużyła za usprawiedliwienie brutalności antykomunistycznej, faszystowskiej i nazistowskiej, pośrednio wiąże Marksa z XX-wiecznymi koszmarami, ale dałoby się wskazać wielu innych, co najmniej równie winnych, myślicieli.

Przytacza pan anegdotę o tym, że Marks polecił Engelsowi, by przed lekturą „Kapitału" przeczytał nowelę „Nieznane arcydzieło" Balzaka o malarzu docenionym dopiero po śmierci. Dlaczego tak się

© PIOTR KAMIONKA/REPORTER

eprasa.pl 89558b6b43

asekurował, bał się oceny przyjaciela i sponsora?

Relacja między Marksem a Engelsem od 1850 r. była niezwykle silna, ale i mało symetryczna. Engels wielokrotnie wyrażał uwielbienie dla Marksa i przekonanie, że jest geniuszem. Nie wiadomo jednak, czy rzeczywiście tak uważał. Marks był finansowo od niego zależny, co mogło powodować pewne napięcie. Engels oczekiwał, że Marks stworzy wielkie dzieło, które zmieni bieg historii, a Marks mógł czuć presję, by spełnić te oczekiwania. Był oczytany w literaturze dla niego współczesnej. Przez nawiązanie do nowelki Balzaka erudycyjnie i aluzyjnie przyznawał: „Boję się twojej oceny tego, co wyszło".

Nad „Kapitałem" męczył się przez dekady. Za jego życia ukazał się tylko pierwszy tom, a reszta powstała dzięki Engelsowi oraz późniejszym redaktorom, którzy opracowali stos pozostawionych przez Marksa notatek; nie jest pewne, czy autor chciałby się nimi podzielić. Z drugiej strony wiele tekstów Marks pisał szybko i spontanicznie, jak „18 brumaire'a Ludwika Bonaparte", który wciąż znakomicie się czyta. Marks miał ogromną łatwość w pisaniu polemik i artykułów publicystycznych, ale stworzenie spójnego traktatu ekonomicznego zajęło mu wiele lat. Można w tym widzieć perfekcjonizm, ale równie dobrze brak kompetencji.

Dlaczego „Kapitał" był mało popularny za życia Marksa?

Bo został napisany po niemiecku, a odnosił się do angielskiej gospodarki. Doszły do tego utrudniające odbiór zapożyczenia z Hegla. Styl „Kapitału" był skomplikowany, dygresyjny, wymagał od czytelnika znajomości ekonomii i filozofii. Dopiero po tym, jak Marks zasłynął jako obrońca Komuny Paryskiej w 1871 r., zaczęto odczytywać „Kapitał" politycznie. Paradoksalnie największą popularność dzieło zyskało w Rosji, gdzie poszukiwano tekstów uzasadniających rewolucję. Prawdziwą sławę Marks zyskał dopiero po śmierci, gdy jego pisma zostały wypromowane przez ruchy socjalistyczne i komunistyczne na całym świecie.

Pisze pan, że gdyby Marks nie zerwał z chrześcijaństwem, komunizm rozprzestrzeniałby się szybciej.

W środowisku, w którym Marks się ukształtował i z którym się utożsamiał – na niemieckich uniwersytetach połowy XIX w. – tradycyjne chrześcijaństwo kojarzono z zacofaniem, zabobonem i prostactwem. Filozofowie miewali co prawda trudność, żeby zupełnie się z religijnych kategorii wyzwolić – zastępowali Boga np. Duchem Dziejów – ale zerwanie z chrześcijańską frazeologią było normą. Inaczej wśród ludu, dla którego Biblia i katechizm były jedynymi intelektualnymi punktami odniesienia. Dlatego gdy Związek Komunistów zamawiał u Marksa i Engelsa tekst, który miał być prostą ekspozycją jego programu, rzecz planowano nazwać „Katechizmem Komunisty". Marks za wszelką cenę chciał pozbyć się tych religijnych odniesień, po części dlatego, że był ateistą, ale przede wszystkim po to, żeby uszlachetnić komunizm w oczach swoich kolegów intelektualistów. Ale ceną za zbliżenie do intelektualistów było oddalenie od proletariuszy. Zamiast z cytatem z ewangelii prowadzić ich na barykady, komuniści musieli zaczynać od wykładu na temat determinizmu dziejowego, fałszywej świadomości lub alienacji pracy. Nie wszyscy robotnicy mieli cierpliwość tego słuchać.

Dlaczego komunizm się z chrześcijaństwem rozszedł, a nacjonalizm zszedł?

Ówczesne Kościoły – zarówno katolicki, jak i protestanckie – zajmowały pozycje konserwatywne i wspierały istniejący porządek społeczny. Pod koniec XIX w. obrońcami konserwatywnych wartości stały się także ruchy nacjonalistyczne, które w dużej mierze rozwinęły się w opozycji do programowo ponadnarodowego komunizmu.

Paradoksalnie bardziej spójny logicznie jest podział, w którym komunizm i chrześcijaństwo stoją po jednej stronie jako ruchy dążące do wspólnoty i równości, a po drugiej stronie jest świecka, nawiązująca do darwinizmu, koncepcja społeczeństwa jako pola rywalizacji, w którym jednostki walczą o przetrwanie.

Jakie znaczenie miała dla Marksa żydowska historia rodziny?

Relacja z judaizmem to niedoceniany aspekt biografii Marksa. Jego pradziadek, dziadek i stryj byli rabinami. Ale ojciec Marksa, chcąc wtopić się w główny nurt niemieckiego społeczeństwa początku XIX w., zdecydował się przyjąć luterański chrzest. Była to decyzja koniunkturalna – ratowała karierę adwokacką w państwie, w którym Żydzi byli dyskryminowani.

Marks dorastał w czasach, gdy w Niemczech rodził się nowoczesny antysemityzm wymierzony nie tylko w ortodoksyjnych Żydów, ale także w tych, którzy porzucili judaizm. To zjawisko musiało go dotykać w młodości, być może było przyczyną tajemniczego pojedynku na pierwszym roku studiów i przenosin z uniwersytetu w Bonn do Berlina, ale wiemy o tym bardzo mało.

Nie mówił o tym ani nie pisał?

Nigdy. Zostały po nim tysiące stron notatek, ale próżno w nich szukać osobistych rozważań na temat własnego pochodzenia czy tożsamości. Jego milczenie na ten temat jest tym bardziej uderzające, że w Niemczech w latach jego młodości dochodziło do pogromów. Jeśli wydarzenia roku 1968 w Polsce wciąż budzą emocje wśród świadków, trudno uwierzyć, że Marks nie został w żaden sposób dotknięty nastrojami antysemickimi XIX w.

Jako kto Marks się jeszcze broni – ekonomista, filozof, polityk, psycholog społeczny?

Jako obserwator i krytyk systemu gospodarczego, który nazwał „kapitalizmem". Lewicowcy odwołują się do ekonomicznych i socjologicznych analiz Marksa, ale jego wezwania do rewolucji wstydliwie pomijają. Natomiast najzagorzalsi przeciwnicy – tacy jak libertarianie – nadal definiują siebie w opozycji do jego myśli. Jedni i drudzy traktują Marksa jak co najmniej proroka, jeśli nie półboga. Był przekonany, że swoimi analizami trafnie przepowie nadchodzące załamanie i przeobrażenie społeczeństwa. Pod koniec życia zauważył, że krytykowany przez niego system nauczył się adaptować i rozwijać. To sugerowało, że rewolucja nie jest tak nieunikniona, jak wcześniej sądził.

ROZMAWIAŁ JAKUB HALCEWICZ

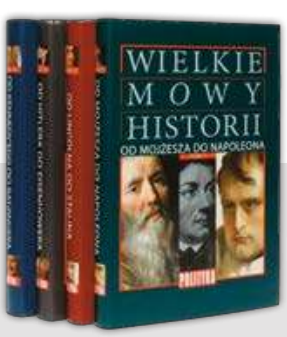

Polecamy czterotomową antologię wystąpień, które zmieniły bieg historii, zawierającą także mowę Marksa: **„WIELKIE MOWY HISTORII"**. Tylko na **sklep.polityka.pl**

KUP TERAZ

eprasa.pl 89558b6b43

Od lewej: **John F. Kennedy z narzeczoną Jacqueline Bouvier na wakacjach, 1953 r. Edward M. Kennedy z żoną Joan i córką, 1961 r.**

Chora rodzina

Młode, pełne energii i ambicji kobiety związane z Kennedymi wychodziły z tych relacji pogruchotane psychicznie, dotknięte nałogami. A czasem martwe.

JOANNA PODGÓRSKA

Ze słynnych słów Johna F. Kennedy'ego: „Nie pytaj, co twój kraj może zrobić dla ciebie, zapytaj, co ty możesz zrobić dla swojego kraju" na tytuł swojej książki Maureen Callahan wybrała tylko dwa pierwsze: „Nie pytaj". To historia 13 kobiet związanych z mężczyznami z klanu Kennedych; mężczyznami, którzy nigdy nie słyszeli „nie"; kobiet, które nie wiedziały, że mogą być złe na mężczyznę. Wymagano od nich bezwzględnej lojalności i ignorowania upokorzeń. Te, które starały się o siebie zawalczyć, zderzały się z klanową machiną; robiono z nich wariatki, narkomanki, uwodzicielki.

Czasy politycznej potęgi Kennedych minęły, ale Robert F. Kennedy jr. (syn Bobby'ego i bratanek JFK) rozważał start w ostatnich wyborach prezydenckich. Gdy sondaże dawały mu 5 proc., wycofał się i poparł Donalda Trumpa. Ten dał mu stanowisko szefa Departamentu Zdrowia. Robert F. Kennedy jr. to antyszczepionkowiec i zwolennik teorii spiskowych. A prywatnie – były heroinista i kobieciarz z przerośniętym ego.

Jego druga żona Mary Richardson w 2012 r. popełniła samobójstwo. Piękna, inteligentna kobieta, związana ze światem artystycznym Nowego Jorku, świetna mówczyni. „Szczęściara" – mówiono o niej po ślubie. Tylko że ta „szczęściara" zamknięta w domu z dziećmi, osamotniona, upokarzana ciągłymi zdradami popadła w ciężką depresję. Oboje mieli kłopoty z alkoholem i narkotykami, ale Mary pod wpływem załamania nerwowego się rozpiła. Mąż próbował wpakować ją do zakładu zamkniętego, pozbawił środków do życia, wreszcie złożył pozew o rozwód. Po samobójstwie klan przypisał jej całą winę. Była „rozpaczliwie chora". O tym, co doprowadziło ją do depresji, milczano.

Można powiedzieć, że pierwowzór małżeństwa w stylu Kennedych stworzyli dziadkowie Roberta jr. – Joseph i Rose. On – polityk marzący, by zostać pierwszym katolickim prezydentem o irlandzkich korzeniach. Świadomy, że jako antysemita, admirator Hitlera i zwolennik izolacjonizmu nie ma na to szans w momencie, gdy Ameryka decyduje o włączeniu się w wojnę. Ona – bystra i energiczna córka burmistrza Bostonu, wychowana w zakonnej szkole zgodnie z regułą, że inteligencja i kreatywność kobiety mają się realizować w macierzyństwie. Urodziła dziewięcioro dzieci. W domu obowiązywała zasada: w rodzinie są tylko zwycięzcy, nie tolerujemy przegranych. Od córek oczekiwano, że zachowają dziewictwo aż do ślubu. Synom szykowanym do politycznej kariery ojciec zaszczepiał mizoginię. Podrzucał do sypialni pornograficzne gazetki i pozwalał kpić ze zdradzanej matki. A robił to ostentacyjnie. Obnosił się z niewiernością, przyprowadzał kochanki do domu, zapraszał do stołu podczas rodzinnych obiadów. Gdy koleżanki córek nocowały u nich, zakradał się do gościnnych pokoi. Jedna

eprasa.pl 89558b6b43

z jego kochanek Gloria Swanson określiła go mianem brutalnego gwałciciela.

Rolę ostentacyjnie zdradzanej żony musiała zaakceptować także Jackie, żona JFK, który zrealizował marzenie ojca o prezydenturze. To ona stworzyła jego styl, stała się ikoną, ambasadorką marki „rodzina Kennedych".

JFK był seksoholikiem. Przez jego łóżko przewijał się „taśmociąg młodych kobiet", stażystek, opiekunek do dzieci, „ulubionych pracownic" Białego Domu. Dumna Jackie udawała, że tego nie widzi. Wiedziała, że mąż nie traktuje tych romansów poważnie. Ale z Marilyn Monroe było inaczej. Po publicznym upokorzeniu, jakim stał się występ MM na gali z okazji 45. urodzin prezydenta, zagroziła rozwodem. JFK wiedział, że bez żony nie ma szans na reelekcję, i odciął się od Marilyn. A ona stała się kolejną kobietą, dla której toksyczna relacja z Kennedymi – Johnem i Bobbym – zakończyła się tragicznie.

Kolejna ofiara klanu to Joan – żona najmłodszego z braci, Teda. Królowa konkursów piękności, świetnie zarabiająca modelka, absolwentka dobrego college'u. Rodzina uznała: nadaje się na żonę prezydenta. On sam nie miał chyba ambicji politycznych, ale Joseph, senior rodu, uznał, że skoro kupił miejsce w Senacie, to ono się Kennedym należy. Joan miała wątpliwości co do małżeństwa. Z jednej strony była zakochana w wysokim przystojnym mężczyźnie z najbardziej wpływowej rodziny Ameryki. Z drugiej wiedziała, że to niepoważny sybaryta, wyrzucony z Harvardu za ściąganie, alkoholik, kokainista i kobieciarz. Ustąpiła pod presją seniora, który stwierdził: nikt nie napisze w gazecie, że ktoś porzucił mojego syna.

Ted urwał się już po paru dniach podróży poślubnej. Zdradzał Joan ostentacyjnie; znajdowała w ich małżeńskim łóżku biżuterię i ubrania jego kochanek. Gdy poskarżyła się Jackie, usłyszała: „Kennedy po prostu tacy są". Wspierała Teda w kampanii wyborczej do Senatu; można powiedzieć, że była jego największym atutem. Media ją lubiły, postrzegały jako tę, która „udomowiła nieodpowiedzialnego faceta". Była bardziej popularna od niego i w pewnym momencie – gdy trafił do szpitala – zastąpiła go w kampanii i wygrała ją dla niego. Stała się profesjonalną obrończynią jego reputacji, bo – spekulowano – skoro tak wspaniała kobieta go kocha, to nie może być złym człowiekiem. Tylko że w pewnym momencie tej reputacji nie sposób już było obronić.

Po wieczorku wspomnieniowym poświęconym pamięci Bobby'ego Ted podwoził współpracownicę zabitego w zamachu brata – Mary Jo Kopechne. Był pijany, miał nieważne prawo jazdy. Samochód dachował i wpadł do stawu. Ted wyszedł z niego o własnych siłach, ale nie pomógł Mary Jo się wydostać. Przeszedł 1,5 km, mijając po drodze domy i budki telefoniczne. Nie wezwał pomocy, zostawił kobietę na pewną śmierć. Wezwał „ekipę sprzątającą", która miała mu pomóc wyjść z tej sytuacji bez zarzutów i procesu. I to się udało. Mówiono o „tragedii Teda", który po tym okropnym wydarzeniu nie będzie mógł zostać prezydentem, że cudem uniknął „klątwy Kennedych". A Mary Jo? Sama sobie winna. Samotna kobieta wsiada do samochodu żonatego mężczyzny? I to po zmroku!

Ted nie tylko wymusił na żonie, by wzięła udział w pogrzebie Mary Jo, ale też żeby zadzwoniła do jej rodziców z kondolencjami. Joan to zrobiła, ale zapłaciła poronieniem i załamaniem nerwowym. Zaczęła uciekać w alkohol. Staczała się szybko, a Ted nie tylko jej nie pomógł, ale też traktował z pogardą, sprzedając jej historię mediom. Stała się pożywką dla brukowców, które pisały: „Joan Kennedy: od marzeń do koszmaru".

Kolejne pokolenie Kennedych dorastało zarażone mizoginią. O synu JFK Johnie Kennedym jr. mawiano, że jedyną kobietą, z której zdaniem się liczył, była jego matka Jackie. Ale nie zawahał się opublikować w wydawanym przez siebie magazynie sesji okładkowej z Drew Barrymore wystylizowaną na Marilyn Monroe śpiewającą „Happy Birthday" dla JFK. Musiał mieć świadomość, że była to największa publiczna zniewaga uczyniona jego matce.

JFK jr. stanął po stronie Mike'a Tysona odsiadującego wyrok za gwałt na nastolatce. A gdy wyciekły żenujące szczegóły afery Clinton–Lewinsky (Lewinsky miała uprawiać z prezydentem seks oralny, klęcząc pod biurkiem), wysłał do Clintona list: „Drogi Panie Prezydencie. Byłem pod tym biurkiem. Nawet jako trzylatek z trudem się tam mieściłem, więc raczej nie byłoby tam miejsca dla dwudziestotrzyletniej stażystki".

Jak pisze Maureen Callahan – JFK jr. nigdy nie żył w prawdziwym świecie, ale na „planecie Kennedych". Cechowała go granicząca z głupotą brawura. Jedna z jego przyjaciółek wspominała, jak zaprosił ją na wyprawę kajakiem po oceanie. Nie wziął kamizelek ratunkowych ani czerpaka i w krytycznym momencie wybierał wodę bawełnianą bejsbolówką. Ledwo to przeżyli.

Prasa pisała o nim „książę Ameryki", ale był nieudacznikiem w efektownym opakowaniu. Dwukrotnie oblał egzamin adwokacki, wyśmiewano jego biznesowe porażki. Jego ślub z Carolyn, muzą i bliską współpracownicą Calvina Kleina, był na czołówkach wszystkich gazet świata. To małżeństwo nie mogło się dobrze skończyć. Zdrady, romanse i publiczne awantury zaczęły się już w okresie narzeczeńskim. Oboje mieli trudne charaktery i niespełna trzy lata po ślubie związek był w rozsypce. Johnowi udało się jednak namówić żonę, by poleciała z nim samolotem na pogrzeb kuzyna. Pilotował sam – bez doświadczenia, świeżo po kontuzji, na silnych lekach przeciwbólowych. Pogoda była fatalna – mgła. Ostrzegano go, ale się uparł. Nie wypełnił planu lotu, zerwał łączność z kontrolą. Nie umiał korzystać z instrumentów, nie włączył autopilota. Już 20 min po starcie znalazł się na kursie kolizyjnym z dużym samolotem pasażerskim i tylko dzięki refleksowi jego pilota udało się uniknąć zderzenia. W końcu samolot juniora wpadł w spiralę śmierci. Jego szczątki odnaleziono w oceanie kilka dni później. O wypadek próbowano obwinić Carolyn – spóźniła się na lotnisko – z powodu pedikiuru, a może czekała na dilera; w każdym razie była „jędzowata".

Ale czasy się zmieniały. I zmieniały się amerykańskie kobiety. Uczyły się mówić „nie". Joan opuściła Teda. Publicznie wyznała, że potrzebowała pomocy psychiatrycznej, opowiedziała o swojej walce z nałogiem. Włączyła się w kampanię o równouprawnienie. Media jej słuchały, postrzegały jako tę, która zdecydowała się „przewietrzyć kult Kennedych". Padło słowo „szowinizm". Także Jackie zmieniła swoje życie. Po śmierci drugiego męża, greckiego milionera Onassisa, wróciła do Ameryki i zatrudniła się w wydawnictwie jako szeregowa redaktorka. Pracowała nie dlatego, że musiała, ale że chciała. Romansowała, wchodziła w związki, ale nie wyszła ponownie za mąż. Po raz pierwszy żyła po swojemu.

Maureen Callahan, **Nie pytaj. Klan Kennedych i kobiety, które zniszczyli**, wyd. Mando, Kraków 2025

© HY PESKIN/GETTY IMAGES, HARRY HOLBROOK/THE BOSTON GLOBE/GETTY IMAGES

eprasa.pl 89558b6b43

serial

Sztuka odgrzewania 4/6

Strefa gangsterów (MobLand), twórca serii: Ronan Bennett, reż. Guy Ritchie, 10 odc., SkyShowtime, od 9 czerwca

Guy Ritchie – reżyser pierwszych odcinków – wraca w „Strefie gangsterów" do swojego ulubionego tematu: gangsterskiego półświatka, z porachunkami, walką o przywództwo, o tożsamość, więzami rodzinnymi, zdradami i mnóstwem przemocy. Akcja (jak np. w niedawnym serialu „Dżentelmeni", stworzonym z sukcesem przez Ritchiego dla Netflixa na bazie własnego filmu) toczy się w Anglii, między Londynem a podmiejskimi posiadłościami bogaczy, między pubami a restauracjami i między dwiema rodzinami mafijnymi. Ważniejszą z nich jest ród Harriganów z jego założycielami i szefami Conradem (**Pierce Brosnan**) oraz Maeve (**Helen Mirren**). Stosunki między nimi dobrze oddaje dialog, w którym żona przypomina mężowi: „W pierwszej kolejności jesteś irlandzkim gangsterem, w drugiej dopiero angielskim dżentelmenem". Obsada błyszczy od gwiazd, ale na pierwszym planie króluje **Tom Hardy** w roli Harry'ego Da Souzy, fixera, czyli prawej ręki Harriganów do zadań specjalnych, a w praktyce – do wszystkiego. Jak charakteryzuje go szefujący przeciwnikom, Stevensonom, Richie (Geoff Bell): to człowiek, który nie tylko potrafi wykopać dół, ale też zagrać w szachy. W pierwszej scenie Harry nie waha się pociągnąć za spust na rozkaz Conrada, w pierwszym odcinku szybko i sprawnie tuszuje wyskok rozpuszczonego wnuka Conrada, Eddiego (**Anson Boon**), a w kolejnych musi m.in. nie dopuścić do wojny między gangami, znaleźć policyjnego kreta, ochronić rodzinę, także przed nią samą i także swoją własną... W czterech pierwszych, udostępnionych do recenzji odcinkach nie ma zaskoczeń: Ronan Bennett (irlandzko-brytyjski pisarz i scenarzysta, autor m.in. niedawnego serialowego „Dnia szakala") i Guy Ritchie serwują znane (do bólu) danie, ale wykonane z niezłych jakościowo składników i ze znawstwem sztuki kulinarnej.

ANETA KYZIOŁ

film

Grand kurier z księżyca 4/6

Fenicki układ (The Phoenician Scheme), reż. Wes Anderson, prod. USA, 105 min, w kinach od 6 czerwca

Czy można wymagać od kogoś tak obsesyjnie trzymającego się własnej estetyki jak Wes Anderson jakiejś niespodzianki, zmiany stylu, nowego otwarcia? „Fenicki układ" niczego takiego nie proponuje, co stanowi zarazem dowód rzadko spotykanej reżyserskiej konsekwencji, ale też osłabia przyjemność czerpaną z oglądania filmu, w którym wszystko w zasadzie wydaje się powtórzeniem. Od charakterystycznych odzywek, pastelowego tła, dziwnych przedmiotów, aż po główny temat tęsknoty opuszczonego dziecka i egoizmu nieobecnego przez lata ojca, którzy cudem znajdują sposób na odbudowanie relacji. Zmieniają się tylko profesje marionetkowych bohaterów i wynajęte od aktorów twarze, co zawsze rodzi ciekawość, jak reżyser zdoła rozlokować armię hollywoodzkich gwiazd, aby każda otrzymała coś ekstra do zagrania i mogła błysnąć w kilkunastosekundowym epizodzie. Takiej szansy niestety nie otrzymali tym razem ani Bill Murray, ani Willem Dafoe, ani Charlotte Gainsbourg, ani nawet wspaniała Scarlett Johansson. Ich występy są praktycznie niezauważalne. Spektakl kradnie **Benicio del Toro** w roli niebotycznie bogatego biznesmena latającego po całym świecie w celu zapewnienia finansowania transakcji mającej spełnić jego absurdalny kaprys.

JANUSZ WRÓBLEWSKI

Sylwetka Wesa Andersona s. 74.

© SKYSHOWTIME, TPS PRODUCTIONS/FOCUS FEATURES, WALDEMAR KOMPAŁA, NATASZA MŁUDZIK/TVP, ERAZM CIOŁEK, MP

eprasa.pl 89558b6b43

scena

Posiadacze zapałek 5/6

Max Frisch, **Biedermann i podpalacze**,
reż. Jan Holoubek, Teatr TV, VOD TVP

Twórca filmowy i serialowy Jan Holoubek debiutuje jako reżyser w Teatrze Telewizji czarną komedią Maxa Frischa z 1957 r. Premiera spektaklu odbyła się między pierwszą i drugą turą wyborów prezydenckich. Reżyser nie uwspółcześnił sztuki, widzom pozostawiając odpowiedź na pytanie, kim są tytułowi podpalacze, którzy pewnego dnia przychodzą do mieszczańskiego domu Gottlieba Biedermanna (**Andrzej Seweryn**), a on daje sobą manipulować i w końcu sam poda im zapałki. Choć fakt, że jeden z nich (grany przez Mariusza Jakusa) jest byłym zapaśnikiem, może być pewnym tropem... Ulubionym fragmentem reżysera – mówił o tym w wywiadach – jest ten, w którym podpalacz tłumaczy, że najlepszym kamuflażem dla niecnych zamiarów jest otwarte o nich mówienie, bo ludzie i tak znajdą setki wytłumaczeń, żeby nie musieć reagować na zagrożenie. Ale równie ciekawa jest odpowiedź Biedermanna na pytanie chóru strażaków (Marcin Januszkiewicz i sekstet wokalny proMODERN), co myśli o beczkach benzyny wniesionych na jego strych przez podpalaczy: „Jestem wolnym obywatelem, mogę myśleć, co chcę, albo nic nie myśleć. Ja chcę mieć tylko spokój, nic więcej. A co się tyczy tych dwóch panów, to jeśli każdego będziemy uważać za podpalacza, to jak ma być lepiej? (…) Proszę nie siać defetyzmu i nie powtarzać ciągle: »Biada nam«!". Sztuka kończy się zgodnie z przewidywaniami, kiedy piszę tę recenzję, wyniku wyborów nie sposób przewidzieć, pewne jest tylko jedno: to my mamy zapałki. AK

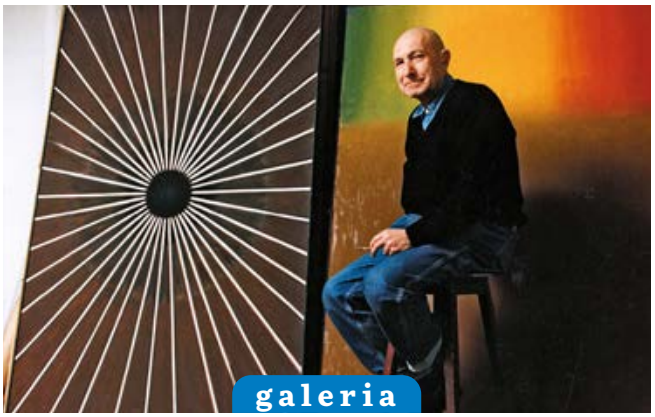

galeria

Klasyk abstrakcji 5/6

Malowanie jest radością, Fundacja Stefana Gierowskiego,
Warszawa, do 28 września

W maju minęła setna rocznica urodzin wybitnego polskiego malarza **Stefana Gierowskiego**. Niestety, sam artysta zmarł niecałe trzy lata temu. Wystawa jest więc hołdem dla jego twórczości, o tyle osobliwym, że koncepcję ekspozycji stworzył właściwie… sam twórca, przygotowując projekt publikacji dla wydawnictwa Skira, która teraz została odtworzona. To bardzo ciekawy zamysł, odrzucający chronologię, a koncentrujący się na sześciu wątkach, które były ważne dla samego Gierowskiego i które, jako inspiracje, regularnie powracały na różnych etapach jego artystycznej kariery. Wiszą więc obok siebie prace z różnych dekad (najstarsze pochodzą z lat 50. XX w., ostatnie powstały już w XXI w.). Artysta perfekcyjnie łączył pierwiastek intelektualny, znajdujący wyraz głównie w kompozycji prac, z emocjonalnym, reprezentowanym przez barwy i faktury obrazów. Wiele dzieł wręcz ociera się o metafizykę i akcentuje duchowe przeżywanie świata. Mimo że Gierowski zawsze poruszał się w świecie abstrakcji, to w jej ramach poszukiwał nowych rozwiązań, gry kolorów, układów figur. Dziś, z perspektywy czasu, jego dorobek – co świetnie widać na wystawie – jawi się zaskakująco różnorodnie i stanowi świadectwo, że na przypisywane mu miano „klasyka polskiej nowoczesności" w pełni zasłużył.
PIOTR SARZYŃSKI

festiwale

Zmiana na lepsze

Młodzi i Film. 44. Koszaliński Festiwal Debiutów Filmowych,
9–14 czerwca

Festiwal Młodzi i Film pozwala uwierzyć, że siłą i nadzieją polskiego kina są kobiety. W konkursach pełnometrażowych fabuł i dokumentów połowa filmów to dzieła debiutujących reżyserek. Niektóre z nich już zdążyły zaznaczyć swoją obecność na ekranach: do Koszalina przyjedzie m.in. tegoroczna laureatka Paszportu POLITYKI Kamila Tarabura ze swoimi znakomitymi „Rzeczami niezbędnymi", Maria Zbąska z obsypanym nagrodami niezależnym komediodramatem „To nie mój film" i Mara Tamkovich z „Pod szarym niebem" (nagroda za debiut na festiwalu w Gdyni). W programie znalazły się także inne głośne tytuły, m.in. „Wróbel" Tomasza Gąssowskiego z nagrodzoną w Gdyni rolą Jacka Borusińskiego oraz animowana adaptacja komiksów Tadeusza Baranowskiego „Smok Diplodok" w reżyserii Wojciecha Wawszczyka. Do tego świetne dokumenty, bogata selekcja filmów krótkometrażowych i kolejna odsłona konkursu Teatrotek. Od autorskiego kina uważnie przyglądającego się współczesnej Polsce po perfekcyjnie zrealizowane filmy gatunkowe. Dopiero zestawione razem uświadamiają, że za nami sezon obfitujący w udane, różnorodne i ważne debiuty. Koszaliński festiwal to szansa nadrobienia zaległości i bezpośredniego spotkania z twórcami i twórczyniami zmieniającymi – na lepsze – kształt polskiego kina. JD

Szczegóły: mlodziifilm.pl

eprasa.pl 89558b6b43

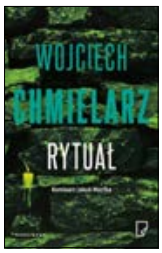

Czarna magia 4/6

Wojciech Chmielarz, **Rytuał**, wyd. Marginesy, s. 512

Komisarz Jakub Mortka to jeden z ciekawszych bohaterów Wojciecha Chmielarza: poczciwiec, ale nieszczęśnik, zawodowiec z wyostrzonym policyjnym zmysłem, któremu niezbyt się układa w życiu prywatnym. Archetypowa postać z kryminału rzec można, ale to nadal dobrze się sprawdza, zresztą autor swojego komisarza nie oszczędza. Tym razem Mortka prawie już doświadcza namiastki szczęścia. Odwiedza go w Polsce poznana w Hadze Francuzka Justine, niestety głównie w charakterze kochanki, bez poważnych zamiarów. Mortka jeszcze się łudzi, zabiera wybrankę w Karkonosze i tu się wszystko spektakularnie rozpada. Miejsce romantycznej schadzki okazuje się zarazem – „oczywiście", taki Mortka ma już fart – miejscem zbrodni. Para natrafia na ciało. Ciało znika nazajutrz. Mortka ściąga nieszczęścia lub nieszczęścia ściągają jego, a może każda wioseczka skrywa jakieś tajemnice i własne legendy. Mała lokalna wspólnota jest w tej książce najciekawsza: zamknięta, szczelna, zdana na siebie i od siebie zależna. Okolicą trzęsie Wiligut, zafascynowany czarną magią, postrach młodzieży, którą trzyma zarazem w garści i skutecznie manipuluje. Ale bestie czają się wszędzie. Mortki w tym głowa, żeby jakoś to rozwikłać i wyjaśnić zagadkę zaginionych zwłok. Ta część cyklu (siódma) wydaje się najgęstsza, mnożą się postaci, wątki satanistyczne, są nawet duchy hitlerowców. Chmielarz czerpie chwilami z konwencji slapsticku. A i tak powiewa porządną grozą.

ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA

Koszt szaleństwa 5/6

Darko Cvijetić, **Czemu na podłodze śpisz**, przeł. Dorota Jovanka Cirlić, Noir sur Blanc, Warszawa 2025, s. 114

Kolejne wojny w naszej części Europy nakładają się na siebie, sprawiając, że wspomnienia poprzednich giną pod naciskiem kolejnych. Próbuje się temu przeciwstawić Darko Cvijetić w swojej prozatorskiej książce – znów opowiada o wojnie domowej w Bośni. Syn Serba i Chorwatki, młodszy brat jej uczestnika, próbuje nie tyle opowiedzieć poszczególne losy różnych nacji, ich racje i krzywdy, ile zawrzeć w literaturze cały skomplikowany, nielogiczny, traumatyzujący węzeł. W 32 krótkich rozdziałach przywołuje doświadczenia przyjaciół i rodziny, sięga do wspomnień kolegów i współpracowników. Pisze tak, jakby wojna zakończona 30 lat temu wydarzyła się dopiero co i jakby była wojną powszechnie znaną. Zderza opisy tych samych wydarzeń opowiadanych z różnych perspektyw, ostrzał, zabijanie, tortury pozostają jednak niezmienne, niezależnie od tego, przeciw komu są wymierzone i kto naciska spust. Wraz z upływem czasu zmienia się kształt narracji wojennych. U Cvijeticia to konflikt, w którym na pierwszy plan wysuwa się doświadczenie bardzo młodych mężczyzn z niższych klas społecznych, i fakt, że o ich traumach nie mówi się głośno. Autor dopowiada losy postaci do końca, w sposób niezwykle precyzyjny i dosadny snuje historię lęku przed śmiercią, która po wojnie zamienia się w niemożność życia i myśli samobójcze. „Taki jest koszt tego szaleństwa na szczytach władzy" – zdaje się mówić. Świetna, mocna, niezwykle wyrazista książka.

PAULINA MAŁOCHLEB

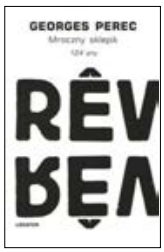

Katalog snów 4/6

Georges Perec, **Mroczny sklepik. 124 sny**, przeł. René Koelblen i Stanisław Waszak, wyd. Lokator, Kraków 2025, s. 294

Rośnie biblioteka Pereca w wydawnictwie Lokator. Po „Ellis Island" dostajemy książkę nietypową – „Mroczny sklepik" to zapiski snów, które sporządził między 1968 a 1972 r. i robił to dla siebie, równocześnie pracując nad ważnymi książkami, m.in. nad „Zniknięciami". W pierwszym momencie wydaje się, że mamy do czynienia z innym Perekiem niż ten, który poddawał swoje teksty rozmaitym rygorom, jak choćby pisanie bez litery „e". Tutaj starał się po prostu odtworzyć materię snu, ale z czasem zdał sobie sprawę, że zaczyna „śnić już tylko po to, by sny swoje zapisywać". Materiał, który nam daje, otwiera się na rozmaite interpretacje, ale pokazuje też, że pisarz potrzebował kontroli nawet nad taką materią nieuchwytną jak marzenie senne. Skąd to wynikało? Tłumacze (autorzy przekładu znakomitych „Zniknięć") dopowiadają, że ten czas w życiu Pereca był okresem zmian, rozstań z kobietami, przeprowadzek, załamania i próby samobójczej jakiś czas po zanotowaniu snu nr 45 o czołgu i uciekającym chłopcu. Zresztą takie traumatyczne sny się powtarzają: wojna, ucieczka, a przede wszystkim obóz koncentracyjny (tam trafiła jego matka, kiedy był dzieckiem). W ostatnim ze snów obóz, do którego docierają z ojcem, zamienia się w spektakl. „Z czasem wszystko staje niejasne: droga ojca czy droga matki?". Utrata rodziców jest jednym z motywów, ale zdarzają się też sny autotematyczne, np. o tym, że w „Zniknięciach" znowu pojawia się litera „e", którą pracowicie usuwał! Okazuje się, że te teksty nie są czymś zupełnie innym niż reszta twórczości, bo są efektem rygoru, jaki Perec narzuca podświadomości. Do snów sporządza nawet katalog tematyczny, trochę jak spis przedmiotów w fascynującym sklepiku, który przypomina labirynt.

JUSTYNA SOBOLEWSKA

© KLETA/BEW, ŁUKASZ GIZA/AGENCJA WYBORCZA.PL, GUTEK FILM/RESET, ANDRZEJ WASILKIEWICZ/REPORTER, MP (7)

eprasa.pl 89558b6b43

Zwyczajny cud 6/6

Pulp, **More**, Rough Trade

Niby nic dwa razy się nie zdarza, ale przecież zdarzają się cuda. Na taki zakrawa koncertowa reaktywacja, a teraz pierwsza od 24 lat (!) nowa płyta brytyjskiej grupy Pulp. Nie żeby Jarvis Cocker, lider formacji, nic nie robił przez te lata. Jednak dzięki zamówieniu na muzykę teatralną od dramaturga Stephena Simonsa napisał piosenkę „Hymn of the North", wołanie o bliskość w „bezkontaktowym społeczeństwie". I uznał, że to dobry utwór dla Pulp, britpopowej legendy zahartowanej jeszcze w epoce Margaret Thatcher, a wielkiej w latach 90. Zebrał swój stary skład, połączył go z młodszym, działającym w ostatnich latach Jarv Is…, a pod koniec 2024 r. nagrali cały nowy album. Wracają tu zalety Pulp z najlepszego okresu: otwarte podejście do tradycji brytyjskiego rocka, bogata instrumentacja, a wreszcie liryzm. 61-letni Cocker podąża za emocjami starzejącej się generacji, próbuje uciec przed tanim sentymentalizmem i opowieścią o przemijaniu, ale ta go goni. Śpiewa o poszukiwaniu szczęścia, iluzji sławy, wydaje się znów blisko emocji zwykłych ludzi (hasło „Common People" to zarazem tytuł największego hitu Pulp) jak na ikonę sceny. Zarówno to, jak i ciężar emocjonalny oraz pomysły piosenkowe sprawiają, że „More" jest w kategoriach powrotów po latach czymś całkiem bliskim cudu.

BARTEK CHACIŃSKI

Wycinanki z pamięci 5/6

Igor Boxx, **Refleks**, The Very Polish Cut Outs

Płyta to nieduża i ukazuje się w małym wydawnictwie, ale znaczy i mówi całkiem dużo. Po pierwsze, pokazuje jedną z najważniejszych postaci polskiego crate-diggingu. Czyli jednego z tych, dla których esencją muzyki było przeszukiwanie skrzynek z płytami dawno zapomnianymi (stąd angielskie słowa *crate* i *digging*), a później tworzenie na bazie ich fragmentów zupełnie nowego muzycznego kolażu. Igor Boxx bardziej znany jest jako członek nagrodzonego Paszportem POLITYKI Skalpela, ale – to już po drugie – solowa płyta „Refleks" nie jest wcale drugorzędnym przedsięwzięciem. Brzmi nieco bardziej surowo niż poprzednie albumy tego twórcy, można się za to dzięki temu rozsmakować w brzmieniu oryginalnych sampli, swoistym „ziarnie", jakie ma w sobie ten zaburzany trzaskami i szumami obraz starej muzyki. Najbardziej jednak imponują w „Refleksie" wigor i pasja – wrocławski producent, świętujący ostatnio ze Skalpelem kolejne jubileusze, wydaje się tu ciągle pełnym ciekawości przeszukiwaczem dawnej muzyki filmowej czy jazzowej. Sam zresztą buduje te krótkie formy niczym fragmenty ścieżki dźwiękowej. A przy okazji pokazuje (to odpowiedź na pytanie o wydawcę – niewielkiego, ale ważnego dla tej sceny), że dla całej rzeszy młodych polskich producentów jest nie tylko mistrzem, ale wciąż aktywnym konkurentem. BCH

nie przegap

Amelia, reż. Jean-Pierre Jeunet, w kinach od 4 czerwca

Po blisko 25 latach w kinach znów będzie można spotkać Amelię Poulain, nieśmiałą kelnerkę, która postanawia zmieniać na lepsze życie otaczających ją ludzi, a być może sama przy okazji odnajdzie prawdziwą miłość. Film Jeuneta, z fantastyczną rolą **Audrey Tautou**, znosi próbę czasu doskonale, może dlatego, że już w czasie premiery uwodził stylistyką retro i niewymuszonym humorem. Wraca się do niego z przyjemnością i odrobiną wiary, że świat, choć na chwilę, może stać się lepszym miejscem. JD

XI Międzynarodowe Forum „Europa z widokiem na przyszłość", Gdańsk, 3–4 czerwca

Z okazji polskiej prezydencji w Radzie Unii Europejskiej w ramach XI Międzynarodowego Forum „Europa z widokiem na przyszłość" obradować będą intelektualiści i artyści z Polski i Europy. Wydarzeniu towarzyszą koncerty: jazzowy – Agi Zaryan i Big Bandu Śląskiego – oraz „Sounding Europe. From Bach to Pärt", na którym własną interpretację historii muzyki europejskiej przedstawią skrzypek Marcin Markowicz i pianista **Marcin Masecki**. DS

Mystic Festival, Gdańsk, 4–7 czerwca

Cztery dni ciężkich brzmień w najlepszym wydaniu: klasyczny heavy metal, mroczna elektronika i najbardziej ekstremalne odmiany gatunku. Na pięciu scenach pojawią się giganci z **Kingiem Diamondem**, **Sepulturą** i Vaderem na czele, ale Mystic Festival, choć opiera się na metalowych legendach, to impreza z ambicjami, więc w Stoczni Gdańskiej pojawi się wiele mniej popularnych, za to wartych uwagi zespołów: od polskich grup Blindead 23 i Thaw, poprzez reprezentację duńskiej ekstremy, aż po hipnotyczny występ feministycznych wojowniczek z norweskiego Witch Club Satan. JD

eprasa.pl 89558b6b43

Westetyka

Wes Anderson, reżyser wchodzącego do kin filmu „Fenicki układ", jest twórcą tak skoncentrowanym na estetyce, że z czasem sam jego świat stał się dziełem sztuki.

ANNA TATARSKA

Skazany za morderstwo, który ucieka z najpilniej strzeżonego więzienia. Były meksykański prokurator zabijający na zlecenie. Rewolucjonista Che Guevara i narkotykowy boss Pablo Escobar. Kiedy reżyserzy myślą o Benicio del Toro, widzą niepokój, mrok i niebezpieczeństwo. Ale Wes Anderson potrafi w aktorze zobaczyć coś, czego nikt wcześniej nie dostrzegł. W „Kurierze Francuskim z Liberty, Kansas Evening Sun" obsadził go w niewielkiej rólce skazanego za morderstwo genialnego malarza Mosesa Rosenthalera. Postać niby poważna, ale, jak to u Amerykanina, pełna ironicznego humoru.

Teraz Portorykańczyk rozwija komediowe skrzydła. W „Fenickim układzie", najnowszej propozycji Andersona, wciela się

eprasa.pl 89558b6b43

w Zsa-Zsa Kordę, szemranego magnata z plutokratycznymi sympatiami i charakterystycznym wąsem, w którego przepastnej posiadłości odstawione w kąt obrazy mistrzów zbierają kurz. Kordzie marzy się bycie królem świata, a przynajmniej królem Współczesnej Wielkiej Niezależnej Fenicji, fikcyjnej krainy na Bliskim Wschodzie. Tworzy więc zyskowny plan, w którym odpowiedzią na celowo wywołaną plagę głodu mają być połączone operacje z zakresu budownictwa, transportu, uzbrojenia, oczywiście wykonane nieodpłatnie, rękami niewolników.

Na filmowym kempingu

56-letni Wes Anderson słynie z tworzenia imponujących ekip aktorskich, a jego filmy są zawsze pracą zespołową. Artyści nie tylko spędzają razem czas na planie, ale też mieszkają w tym samym miejscu, wspólnie spożywają posiłki, organizują wieczorki filmowe. Ta wartość dodana sprawia, że potem chcą do Andersona wracać, choć jak przyznaje reżyser, wzajemna sympatia nie jest wymogiem, by u niego grać.

– *Lubię wszystkich moich aktorów, a oni lubią siebie* – zdradza, gdy spotykamy się na wywiadzie podczas festiwalu filmowego w Cannes. – *Nie muszę mieć wspaniałej prywatnej relacji z aktorem, żeby chcieć z nim pracować. Mam jedną nieoficjalną zasadę: staram się podczas zdjęć świadomie podejmować decyzje, które uczynią ten proces przyjemniejszym.*

Anderson lubi po prostu łączyć pracę na planie z dobrą zabawą: – *Nie zależy mi, żeby się na kimś wyżywać albo wyżymać zeń resztki inspiracji. Oczywiście zdarzają się wyzwania, ale do każdego z nich można podejść z dobrą energią i humorem, do tej pory w to wierzę. I w tę stronę chcę podążać* – deklaruje. I ta metoda zdaje się działać, sądząc po liście wracających do współpracy z Andersonem aktorów. W „Fenickim układzie" – oprócz del Toro – zobaczymy po raz kolejny Scarlett Johansson, Benedicta Cumberbatcha, Toma Hanksa, Bryana Cranstona czy Billa Murraya.

Zsa-Zsa Korda to kolejny, po Royalu Tenenbaumie (Gene Hackman) czy Stevie Zissou (Bill Murray), daleki od wzorowego tatuś, a sercem filmu jest relacja Kordy i jego córki, Liesl, zakonnicy w nowicjacie, na którą ojciec chce przepisać całość majątku. W tej roli imponuje Mia Threapleton, początkująca aktorka, a prywatnie – córka słynnej Kate Winslet, która ponoć długo ukrywała przed Mią, jak bardzo jest znana.

Kontrola nad życiem

„Fenicki układ" niemal w całości powstał w Studio Babelsberg. Monachijski przybytek to najprawdziwsza branżowa legenda, pozwalająca na budowanie skomplikowanych planów zdjęciowych. To tam Fritz Lang realizował „Metropolis", Tarantino nakręcił „Bękarty wojny", a Spielberg – „Most szpiegów". Anderson docenił to miejsce dzięki zdjęciom do „Grand Budapest Hotel". Choć jest nowojorczykiem, od blisko 20 lat przez część roku mieszka we Francji, która stała się jego drugim domem.

– *Większość moich filmów powstaje w Europie* – tłumaczy. – *Pracowałem w Niemczech, we Francji, Włoszech, Hiszpanii i Wielkiej* ▶

© TPS PRODUCTIONS/FOCUS FEATURES (2), CHARLIE GRAY/SEARCHLIGHT PICTURES

eprasa.pl 89558b6b43

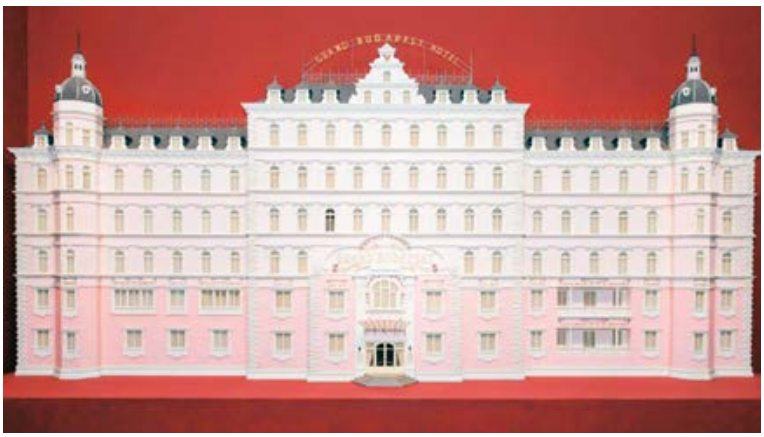

W salach Cinémathèque Française znalazły się artefakty związane z każdym etapem kariery filmowca.
Na fot. od lewej: **kostiumy z „Kochanków z Księżyca" i makieta hotelu z „Grand Budapest Hotel".**

▶ *Brytanii. Wydaje mi się, że życie po tej stronie Atlantyku wpłynęło na historie, którymi dzielę się ze światem. Nie sądzę, żebym nakręcił „Grand Budapest Hotel" albo „Kuriera Francuskiego...", gdybym nie spędzał tyle czasu w Europie. Jako twórcy blisko mi do tego, co rozumiemy jako europejskie. Artyści mają tu więcej wolności, a sposób pracy na planie pasuje do mojej wizji.*

Ale choć kulturowa bliskość to mocny argument, dla Amerykanina podczas pracy nad nowym filmem liczyła się przede wszystkim możliwość zaprojektowania najmniejszych detali oglądanej przestrzeni. Korytarz domu Kordy, w całości wzniesionego w Babelsberg, ma wiele par drzwi – niczym teatralna scena, na którą w farsowym klimacie wkraczają coraz to nowi bohaterowie. Podczas pobytu w domu ojca Liesl śpi na skromnym sienniku pod symbolicznym obrazem Renoira. – *Materac był wykonany z końskiego włosia przy wykorzystaniu tradycyjnych technik. Pościel wykonana została z autentycznych francuskich tkanin* – tłumaczy wieloletnia scenografka Andersona Anna Pinnock.

W walce o zrealizowanie wizji nie ma dla Andersona rzeczy niemożliwych. Walizki braci Whitmanów („Pociąg do Darjeeling") ze specjalnym schowkiem na rakietę tenisową stworzył – według szkiców reżysera – projektant mody Marc Jacobs. Zebry na czerwonym tle na ścianach sypialni Margot Tenenbaum z „Genialnego klanu" to wierna kopia tapety z nieistniejącej już włoskiej restauracji Dino's, do której w latach 40. wpadali Frank Sinatra i Gregory Peck. Dziś ten nieco zmodyfikowany wzór można znaleźć na stronach wnętrzarskich. „Robię filmy o iluzji kontroli nad czymś, czego opanować się nie da: nad życiem" – mówił Anderson w wywiadzie dla niemieckiego „Die Welt".

W poszukiwaniu środka

Amerykański filmowiec mówi do nas językiem stylu i konwencji. Gdyby zatrzymać projekcję i przez sam środek kadru poprowadzić linię, najprawdopodobniej okazałoby się, że jego kompozycja jest idealnie symetryczna. Gdy w „Kochankach z Księżyca. Moonrise Kingdom" (2012 r.) Sam i Suzy idą ku kamerze, trzymając się za ręce, ta linia idealnie przecina splecione dłonie. Drzwi windy zamykającej się za Autorem w „Grand Budapest Hotel" też zatrzaskują się dokładnie na pionowej osi symetrii. A w „Kurierze Francuskim..." Zeffirelli i Juliette odpoczywają przed bistro oparci o szafę grającą, która stoi równiusieńko, co do centymetra, na środku.

Gdyby przeprowadzić linię idealnie przez środek – ale już w poziomie – okazałoby się, że i z tej perspektywy wszystko zostało proporcjonalnie rozłożone. Symetria rządzi u Andersona nie tylko kompozycją kadru, ale i montażem, scenografią czy tempem realizacji poszczególnych scen. Dzięki symetrii pełne ekscentrycznych akcentów, wystylizowane plany zdjęciowe zostają oswojone.

Kiedy do pracy nad „Fantastycznym Panem Lisem" Anderson ściągnął uznanych animatorów Iana Mackinnona i Petera Saundersa, zażyczył sobie, by starannie skonstruowane żywicowe lalki pokryte były prawdziwym futrem. Mackinnon i Saunders odradzali mu to rozwiązanie. Bo kiedy animator ustawia lalkę do kolejnego zdjęcia, na futrze naturalnym – w przeciwieństwie do syntetycznego – zostają maleńkie ślady jego palców. Marszczenie się zaburza wrażenie ciągłości, dając efekt „powiewającego wiatru". Artysta był jednak nieugięty. Właśnie na takim, nie do końca realistycznym wyglądzie, mu zależało. Z tego samego powodu nastawał na kręcenie w tempie 12 klatek na sekundę, a nie dających większą wizualną płynność 24 klatek. Do takiej strategii miał go zainspirować „King Kong" Coopera i Schoedsacka z 1933 r. Dziś tamte efekty specjalne wydają się nieporadne, wręcz zabawne, ale Andersona ich umowność zachwyciła.

W filmach Andersona wszystko, co widać na ekranie, jest w oczywisty sposób przepuszczone przez subiektywną perspektywę autora. We współczesnym kinie twórcy zwykle sięgają po efekty komputerowe, by wykreować wrażenie realizmu, zatrzeć jakiekolwiek ślady firmowej kuchni. Anderson przypomina, że kino nie powstaje samo w próżni, a jest stwarzane przez ekipę profesjonalistów o bogatej wyobraźni. Wydarzeniem, które celnie chwyta tę twórczą filozofię, jest fragment z autorskiego komentarza do kolekcjonerskiego wydania „Pociągu do Darjeeling" z prestiżowej Criterion Collection. Reżyser z offu komentuje kolejne sceny, dzieli się ciekawostkami z produkcji. Nagle słychać dzwonek telefonu – i jest to analogowy dźwięk tradycyjnego aparatu. Niezrażony twórca odbiera, kulturalnie tłumaczy, że nie może rozmawiać, i wraca do swojej opowieści. Kulisy firmowej kuchni zostały odsłonięte. Problem? Anderson uważa inaczej. Skoro tak pięknie w niej pachnie, to po co udawać, że jedzenie magicznie pojawia się na stole samo?

Anderson jako dzieło sztuki

Skoro plany Andersona są dziełem sztuki, to było tylko kwestią czasu, by trafiły do galerii. Najpierw próbował sił jako kurator. Pomiędzy realizacją „Wyspy psów" i „Kuriera Francuskiego..." wraz ze swoją partnerką Juman Malouf przygotowali wystawę dla Kunsthistorisches Museum w Wiedniu, zatytułowaną „Spitzmaus mummy in a coffin and other treasures"

eprasa.pl 89558b6b43

(Mumia ryjówki i inne skarby). Był to wybór ponad 400 obiektów z 14 kolekcji różnych muzeów historycznych. Wystawa spotkała się z mieszanym odbiorem. Niektórzy recenzenci zarzucali twórcom brak zainteresowania kontekstem i genealogią obiektów, które miały wyglądać na podobierane wyłącznie ze względu na rozmiar, kolor i materiał. Pozostali po prostu wiedzieli, kto był jej kuratorem.

Dziś można oglądać na wystawie w Paryżu (czynnej do 27 lipca) czerwony dres Bena Stillera i futro Fendi Margot z „Genialnego klanu", figurki z „Fantastycznego Pana Lisa" i „Podwodnego życia ze Stevem Zissou" czy makietę hotelu z „Grand Budapest Hotel". W salach Cinémathèque Française znalazły się artefakty związane z każdym etapem kariery filmowca. To szansa, aby poznać tajniki jego warsztatu, źródła inspiracji, ale też lepiej zrozumieć jego unikatowy styl. Parę miesięcy po paryskim pożegnaniu Anderson zostanie gwiazdą galerii w Londynie. Od listopada pod dachem Design Museum pojawi się ponad 600 obiektów, w tym storyboardy, polaroidy, szkice, obrazy, notatniki, miniaturowe modele, rekwizyty i kostiumy.

To wystawy nie tylko dla kinomanów. Anderson nie jest już tylko reżyserem, raczej zjawiskiem popkultury. Jego charakterystyczny styl zainspirował wiele trendów w mediach społecznościowych. Być może najbardziej znany jest hasztag „Accidentally Wes Anderson". Instagramowe konto pod tą nazwą założyli w 2017 r. Amanda i Wally Koval, para podróżników i influencerów. „Pierwotnie tworzyliśmy po prostu fotolistę wymarzonych podróży. Szukałem w sieci miejsc, w które moglibyśmy chcieć się udać, i zacząłem trafiać na kadry, które wyglądały jak żywcem wyjęte z filmów Wesa Andersona" – tłumaczyli. Dziś konto ma blisko dwa miliony obserwujących. Pojawiają się na nim zdjęcia przesyłane przez fanów z Antarktyki, Japonii, Wielkiej Brytanii czy Urugwaju, a także charakterystycznie wypisane kartki pocztowe czy zdjęcia wyglądające jak menu z filmów Amerykanina. A popularność konta sama w sobie zaowocowała dwoma albumami fotograficznymi i podróżującą wystawą zdjęć.

W 2023 r. – tuż przed premierą „Asteroid City" – wiralem stały się stylizowane na Andersona filmiki do muzyki Alexandre'a Desplata. Ten globalny fenomen dotarł także nad Bałtyk, a wśród różnych tematów – turystycznych, modowych czy kulinarnych – pojawiły się i poważniejsze. Choćby nagrania ze zdewastowanych ukraińskich miast. Z pokruszonych murów wychylały się resztki ścian pokrytych pastelowymi farbami. „Gdyby Wes Anderson nakręcił film na Ukrainie" – głosił komentarz. W tym roku nawet festiwal filmowy w Cannes, gdzie pokazywano premierowo „Fenicki układ", pokusił się o przygotowanie wpisującego się w ten trend nagrania.

Anderson jest świadomy, że internet zwariował na punkcie jego estetyki, ale twierdzi, że świadomie tych nagrań nie ogląda. – *Wybieram strategię nieangażowania się. Chyba po trosze dlatego, że nie chcę, by cokolwiek mnie rozpraszało* – mówi. W jednym z poprzednich wywiadów tłumaczył, że to tak, jakby ktoś mu powiedział: „Mój przyjaciel świetnie cię naśladuje". Z jednej strony chciałby to zobaczyć, z drugiej – możliwe, że zacząłby się potem zastanawiać: „Czy naprawdę taki jestem". A to niekoniecznie musi być dobra refleksja.

ANNA TATARSKA

© LAURENT BENHAMOU/SIPA/EAST NEWS, THIERRY STEFANOPOULOS/LA CINÉMATHÈQUE FRANÇAISE

REKLAMA

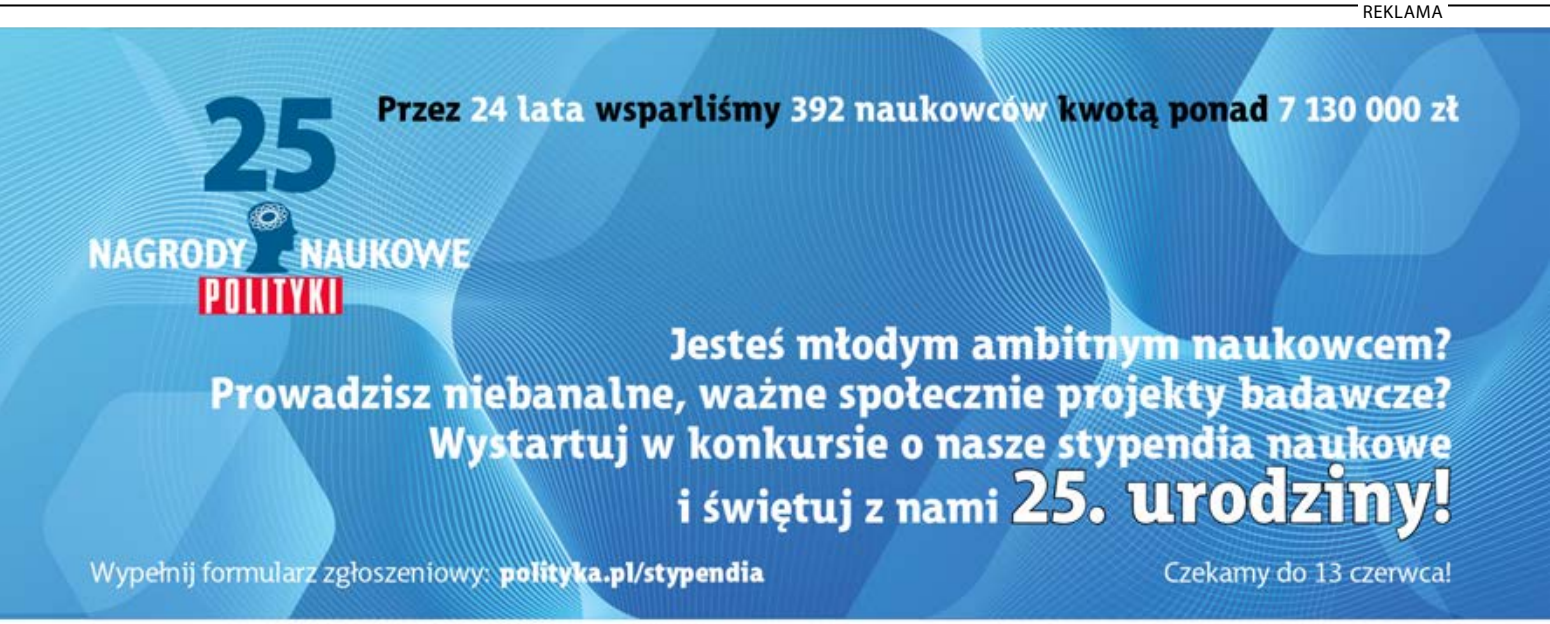

Partner Główny
Nagród Naukowych POLITYKI 2025

Partnerzy Nagród Naukowych POLITYKI 2025

Patron honorowy

Patroni medialni

eprasa.pl 89558b6b43

Gem, set, hit

Karolina Pewińska jako Iga Świątek oraz Monika Rostecka jako sędzia liniowa w spektaklu „French Open" w reżyserii Cezarego Tomaszewskiego

© NATALIA KABANOW

Co takiego jest w tenisie, że znów interesuje się nim kultura? Najkrócej mówiąc: wszystko. Ale przyjrzyjmy się bliżej.

ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA

To był istny dreszczowiec. Nie film, nie książka, ale mecz między Igą Świątek a Naomi Osaką, rozegrany w drugiej rundzie French Open przed rokiem. Japonka miała na rakiecie piłkę meczową, a przy stanie 5:2 w trzecim secie mogła już myślami być w szatni. Polka w ostatnim zrywie sensacyjnie odwróciła wynik i wygrała to spotkanie. Kamery wyłapały potem, jak wypłakuje cały wysiłek, również emocjonalny, na macie w siłowni.

Wszystko tu jest: determinacja, frustracja, waleczność, kryzys wiary w swoje moce i cudowne odrodzenie. Całe przekleństwo, piękno i paradoks dyscypliny: osamotnienie na korcie i poza nim, ale na oczach wszędobylskich kamer.

„French Open" w reżyserii Cezarego Tomaszewskiego we Wrocławskim Teatrze Pantomimy to sceniczna i dość wierna rekonstrukcja tego meczu. Premierę zaplanowano na sobotę 31 maja, w 24. urodziny najlepszej polskiej tenisistki. Karolina Pewińska (Iga Świątek) i Agnieszka Dziewa (Naomi Osaka) włożyły sporo wysiłku, żeby oddać styl gry obu zawodniczek. Dużo biegają, podobnie serwują, Pewińska drobi jak Polka (słynna praca nóg), Dziewa posyła kąśliwe forhendy. Specjalny ukłon należy się bohaterce drugiego planu, inspicjentce Klaudii Jakubowskiej, która musi upilnować każdy gem. Dramaturgię (zadanie Igi Gańczarczyk) oprócz pary tenisistek potęguje gra dźwięków i świateł. To spektakl wyczynowy z publicznością w roli kibiców uzbrojonych w chorągiewki (te z hasłem „Go Iga!" rozeszły się prędzej) i popcorn.

Na czym cała teatralna sztuczka polega, nie ujawnię, dość powiedzieć, że zdaniem twórców ten eksperyment to „performatywne przekroczenie" z atrakcjami. Sędziowie i ballboye animują publiczność do rytmu „Samba de Janeiro" (tego się na turniejach nie uświadczy), kamery poszukują na trybunach par i gwiazd (to już owszem), a komentator (Kuba Pewiński) ma wyuczone wszystkie sztandarowe kwestie („ręce same składają się do oklasków"). Historię jednego meczu dopełniają aktualne konteksty: gorąco komentowany spadek formy Igi Świątek, brany pod lupę każdy jej gest i tik nerwowy. To opowieść o dyscyplinie i samodyscyplinie, wyrzeczeniach, presji, hejcie, zalewie ocen i nieproszonych dobrych rad. A zarazem niekłamany hołd dla tenisistki z Raszyna. Może dobrze, że oprócz rekonstrukcji historycznych dokumentuje się w Polsce też takie wydarzenia i upamiętnia również takie bohaterki.

Heroska z rakietą

Upamiętnia albo je zmyśla. Fani (kina? sportu? teorii spiskowych?) zauważyli interesującą prawidłowość z ostatnich parunastu lat: trzem aktorkom, które wystąpiły w filmach z Człowiekiem Pająkiem, w kolejnych produkcjach wręczano rakietę. To przypadek Kirsten Dunst, która grała w „Spider-Manie" (2002 r.), a potem w komedii romantycznej „Wimbledon"

eprasa.pl 89558b6b43

(2004 r.); Emmy Stone, znanej m.in. z roli w „Niesamowitym Spider-Manie" (2012 r.), a potem tenisowej w „Wojnie płci" (2017 r.). No i najświeższy przykład: Zendaya, jedna z topowych aktorek Hollywood, była MJ z filmu „Spider-Man: Daleko od domu" (2019 r.), a ostatnio wschodzącą gwiazdą tenisa z „Challengers" Luki Guadagnino (2024 r.). Partnerki herosów same zostają heroskami.

To skrajnie różne opowieści, a najściślejszy związek z samym tenisem ma z pewnością „Wojna płci" w reżyserii Valerie Faris i Jonathana Daytona. Emma Stone wciela się w Billie Jean King, legendę dyscypliny, której kolejne pokolenia zawodniczek zawdzięczają wyrównanie płac. W latach 70. King podpisała kontrakt opiewający na dolara z ligą Virginia Slims Circuit, powołaną w proteście przeciwko faworyzowaniu mężczyzn i w myśl zasady: nie chcecie płacić, to bawcie się sami. Z małej grupy fantastycznych kobiet wyrosła z czasem federacja WTA. Film streszcza tę historię w iście hollywoodzkim stylu, z fajerwerkami i happy endem. A „wojna płci" rozgrywa się rzecz jasna na korcie.

Billie Jean King i Bobby Riggs (w filmie ujmująco odpychający Steve Carell) naprawdę stoczyli mecz, który okazał się niezwykłym spektaklem, ale i dowodem, że wygrać każdy może, płeć to sprawa wtórna. Na ekranie istotne jest też to, co dzieje się poza kortem: BJK jest mężatką i lesbijką, która odkrywa dopiero swoją tożsamość. A Riggs jest kimś więcej niż maczystowskim typem nie do zniesienia, prywatnie zresztą byli dla siebie życzliwie złośliwi. Fabularny skrót nieco te wątki wypłaszcza, ale film sprawdza się jako przypowieść, opiewając sens walki o równość i o siebie.

„Challengers" z kolei potrzebuje tenisa, żeby snuć opowieść o zagmatwanym trójkącie uczuciowym. Kontuzja grzebie marzenia utalentowanej Tashi Duncan (Zendaya) o zawodowej karierze. Własne ambicje przenosi na męża (Mike Faist), który zgłasza się na turniej niższej rangi, by po serii klęsk nieco podbudować morale. Nie wie, że będzie się musiał zmierzyć z dawnym przyjacielem (Josh O'Connor), z którym lata temu rywalizował o względy Tashi. To mecz o zwycięstwo i honor jednocześnie. Tashi obu mężczyzn rozgrywa i być może przegapia moment, w którym sama jest ogrywana. Najwięcej i najciekawiej opowiadają tu obrazy i gesty zrozumiałe tylko dla dwójki zawodników ustawionych po przeciwnej stronie siatki. Nowatorskie są sceny kręcone z perspektywy pędzącej, porządnie zrotowanej piłki. To smaczki, film zresztą wabi estetyką i magnetyzmem trójki bohaterów.

Hejt powszedni

Na fali popularności „Challengers" młodsze generacje widzów poszukują żarliwie tenisowych motywów na ekranie. Sporo się ich znajdzie, począwszy rzecz jasna od fabularyzowanych biografii. Pasjonujący pojedynek charyzmatycznych mistrzów referuje „Borg/McEnroe" (2017 r.) i jest to opowieść o walce również ze sobą, z niezgodą na porażkę. Inny rodzaj batalii musi stoczyć ojciec sióstr Williams w filmie „King Richard: Zwycięska rodzina" (2021 r.). Will Smith otrzymał za tę rolę Oscara, choć było to raczej spóźnione wyróżnienie za całokształt.

Tenis zawsze się też dobrze odnajdywał na drugim planie i w konwencji dreszczowca, czego najstarszym bodaj dowodem są „Nieznajomi z pociągu" Alfreda Hitchcocka (1951 r.) na kanwach powieści Patricii Highsmith. Młody zdolny tenisista Guy Haines (Farley Granger) chciałby rozwieść się z żoną. Przypadkowy kompan w podróży (Robert Walker jako Bruno Antony) obiecuje mu w tym pomóc. Tyle że to niemoralna i szokująca propozycja morderstwa. Haines odmawia i ucieka w popłochu, a żona ginie wkrótce w tajemniczych okolicznościach. Bruno oglądający mecz z trybun, uśmiechnięty wymownie i złowieszczo, unieruchomiony, gdy cała publiczność podąża wzrokiem za piłką to w prawą, to w lewą stronę – to jedna z najlepszych scen w kinie, a przynajmniej w kinie z tenisem w tle. W kategorii scen najbardziej bizarnych wygrałoby pewnie finałowe ujęcie z „Powiększenia" Michelangelo Antonioniego, z grupą mimów grających w tenisa bez rakiet i piłek. Tu znów można by metafizycznie zapytać: to my gramy w życiu, czy jesteśmy rozgrywani?

W dreszczowcu „Match Point" (po polsku „Wszystko gra", 2005 r.) Woody'ego Allena, ze Scarlett Johansson i Jonathanem Rhysem Meyersem, klub tenisowy jest wejściówką do świata wyższych elit i pułapką zarazem. W tenisa grywali też z upodobaniem i pobłażaniem dla reguł bohaterowie „Annie Hall" (1977 r.).

Coś takiego w tenisie jest, że łatwiej wydobywa mrok z człowieka. Delaneyowie z umiarkowanie udanego serialu „Niedaleko pada jabłko" (2024 r.), na podstawie prozy Liane Moriarty, prowadzą rodzinną akademię. Matka znika bez śladu, podejrzenia budzi mąż, a dorosłe dzieci nie doceniają powagi sytuacji. Rywalizują ze sobą i rywalizowały zawsze o względy rodziców. Tenis to sport indywidualny. Trenowali go też bracia Eryk i Lyle Menendezowie, skazani za brutalne zabójstwo rodziców, „bohaterowie" dramatu „Potwory" (2024 r.), dehumanizowani, ale i brani w obronę m.in. przez tiktokerów. Rakiety to rekwizyt, sport bywa rodzajem alibi, to wątek, który można by zbyć milczeniem. A jest interesujący. Trener braci w sądzie zeznał, że Jose Menendez, imigrant, który w USA ogromnie się dorobił, był najgorszym typem rodzica, jakiego spotkał. Pastwiącym się, kontrolującym, agresywnym. W dużo mniej posępnym wydaniu wątek rodzicielskich wymagań pojawia się w „Córce trenera" Łukasza Grzegorzka (2018 r.), z Jackiem Braciakiem w roli ojca, który usiłuje upilnować nastolatki i wywindować ją na szczyty, gdy jej się marzy wkraczanie w dorosłość.

Bo też uczciwie trzeba dodać, że tenis bywa zabawny w swej elegancji i surowości. Wątki kryminalne i komediowe udanie łączy „Rewanż", nowe słuchowisko Audioteki według scenariusza Alicji Czepli i w reżyserii Anny Pawluczuk, rzecz odpowiednia może głównie dla młodzieży, zwłaszcza usportowionej. Akcję wprowadzają prawdziwi trenerzy tenisa Dawid Celt i Maciej Synówka, zarazem świetnie znani komentatorzy sportowi. Obaj brzmią naturalnie, kibic-słuchacz wpada prędko w oswojony świat rozgrywek, a słuchacz-niekibic nie wyczuje nuty fałszu. To istotne może zwłaszcza dla kibiców i zwłaszcza w kinie. To dlatego konsultantami przy „Challengers" byli ▶

REKLAMA

eprasa.pl 89558b6b43

▶ najbardziej znani trenerzy na świecie, przede wszystkim Brad Gilbert, autor słynnej książki „Winning Ugly". Trójka głównych aktorów spędziła z nim 12 tygodni na korcie.

Marta Maciejewska (Wiktoria Kruszczyńska), centralna postać serialu Audioteki, też ma grać raczej skutecznie niż ładnie. Walczy o mistrzostwo Polski, ale ma za sobą rok przerwy. Nie wróciła ani do formy, ani do pionu, ciągnie się za nią skandal z wyciekiem kompromitującego filmiku i wisi nad nią ojciec tyran zmuszający ją do treningów i jeszcze większego wysiłku (brzmi znajomo). Marta jest impulsywna i zagniewana. A na dokładkę ma prześladowcę, który atakuje ją po meczu gazem pieprzowym i grozi śmiercią, jeśli dziewczyna nie zakończy kariery. Niepokorna tenisistka goni napastnika z rakietą („typowa Maciejewska") i bagatelizuje zagrożenie, hejt w tym zawodzie to chleb powszedni.

Relacje między bohaterami są tu zawikłane na wzór „Challengers", a dochodzą wątki sportowej musztry, przemocowych relacji rodzinnych, wreszcie wypieranej miłości. W wielu tenisowych produkcjach pada nieco już memiczna fraza *love means nothing*, bo to jedyna dyscyplina, w której *love* oznacza zero punktów.

Kort jak tort

„Najdoskonalszym ciałem, Jim, jest piłka tenisowa. Idealnie okrągła. Z równym rozkładem masy. Ale w środku pusto, próżnia. Wrażliwa na kaprysy, podkręcenia, siłę – można jej użyć dobrze albo źle. Odzwierciedli charakter człowieka" – pisze David Foster Wallace w „Niewyczerpanym żarcie" (przeł. Jolanta Kozak). Rodzina Incadenzów w tej kultowej powieści też prowadzi akademię, sport hartuje, wychowuje, frustruje, pomaga rozładować lęk i go zarazem pogłębia. Wallace skądinąd również trenował. Wydał nawet serię esejów o tenisie („String Theory"), przekonując w nich, że nie talent się liczy, bo na sukces składa się wiele niekontrolowanych zmiennych. Sam radził sobie nieźle, bo myślał wciąż o geometrii kortu. Nie wadził mu wiatr, bo rachował, jak żywioł wpłynie na uderzenia. Matematyka ustawiała jego grę i literaturę. Przystępniej o tenisie piszą oczywiście sami zawodnicy – mamy wysyp biografii. Bo jest popyt.

To dość przewrotne, że sport uznawany za elitarny i snobistyczny stał się popkulturowym fenomenem. Historyk Alistair Thomson uważa, że zgrało się, nomen omen, kilka czynników. „W świecie postpandemicznym wiele osób szuka aktywności na świeżym powietrzu, a tenis to jedna z nielicznych dyscyplin, które pozwalają zachować zdrowy dystans fizyczny" – pisze gościnnie na blogu Golden Age of Tennis.

Tenis stał się też po prostu przystępniejszy dla kibica, zwłaszcza „kanapowca". Ceny biletów na największe imprezy nadal są horrendalnie wysokie i wyprzedają się na pniu, ale każda platforma streamingowa próbuje z tego tortu coś dla siebie uszczknąć. Sport i reality shows – pisaliśmy o tym w POLITYCE (nr 1) – upodabniają te serwisy do zwykłej telewizji i na długo sklejają widza z ekranem. Max pokazuje French Open, Polsat – Wimbledon, Australian Open i Us Open są na kanałach Eurosportu. Canal+ wziął turnieje WTA nieco niższej rangi, za to rozgrywane właściwie cały rok. Nawet TVP, faworyzująca raczej narodową piłkę nożną, kupiła prawa do emisji drużynowych rozgrywek kobiet Billie Jean King Cup.

Ciągle powstają też seriale dokumentalne. „Federer: Ostatnie dwanaście dni" (2024 r.) o finałowym etapie kariery Rogera Federera miał premierę podczas nowojorskiego Tribeca Film Fest, dziś jest dostępny na Amazon Prime; „In the Arena" (2024 r.), z Sereną Williams w głównej roli, kupiło Disney+. W kwietniu, na otwarcie prestiżowego turnieju w Madrycie, ukazał się serial „W swoim stylu" na cześć Carlosa Alcaraza, co jest o tyle osobliwe, że Hiszpan jest czynnym tenisistą, już namaszczanym na następcę Rafaela Nadala. Atletyczny zawodnik, numer dwa w rankingu ATP, odwołał występ na ojczystej ziemi, ale logotypów Netflixa nikt z tej przyczyny nie schował.

Nie byłoby zresztą fenomenu tenisa bez gwiazd. „What's the most Swiss thing from Switzerland?/ It's not Roger Federer" („Z czego najbardziej słynie Szwajcaria? Nie, nie chodzi o Rogera Federera"), śpiewały gospodynie tegorocznej Eurowizji w Bazylei, rozdając w tłumie poduszki z wizerunkiem szwajcarskiej legendy. Co prawda czasy niepodzielnych rządów wielkiej trójcy – Federera, Nadala i Novaka Djokovicia – minęły, gwiazdozbiór dziś jest pojemniejszy, a social media mocno skracają dystans. Zawodnicy regularnie lądują na okładkach „Vogue'a", kolekcje czerpiące z tenisa mają w portfolio Jacquemus, Loewe i oczywiście Lacoste, a Zendayę na maraton promocyjny filmu „Challengers" ubierał Louis Vuitton (o kortowym szyku też pisaliśmy, POLITYKA 24/24).

Tenis przeżywa swoje „momentum", jak to się określa w sportowym żargonie. Czyli jest na fali. Biznes skwapliwie z tego korzysta, a i kibic coś dla siebie znajdzie. To sytuacja w rodzaju *win-win*. Na korcie niespotykana.

ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA

Po lewej: **Mike Faist, Zendaya i Josh O'Connor w „Challengers" Luki Guadagnino.** Po prawej: **Will Smith w oscarowej roli ojca sióstr Williams w filmie „King Richard: Zwycięska rodzina".**

© BE&W (2)

eprasa.pl 89558b6b43

FOT. ADRIAN CHMIELEWSKI

FOT. ADRIAN CHMIELEWSKI

Parada Wolności:

Festiwal, który wrócił z przyszłości

PROJ. ŁUKASZ CZAJKOWSKI

Estetyka muzyki klubowej przeszła długą drogę – od zjawiska niszowego do jednego z dominujących nurtów kultury. Elektronika wchłonęła elementy innych gatunków, oferując nie tylko nowe brzmienia, ale i styl życia. Techno czy drum'n'bass to dziś nie tylko muzyka – to manifest wolności. Najlepiej zrozumieć to podczas Parady Wolności w Łodzi – największego darmowego festiwalu w Polsce.

Powiew wolności z Zachodu

Historia Parady Wolności zaczęła się po zamknięciu klubu New Alcatraz w 1996 roku. Mimo krótkiej działalności, miejsce to zasiało w Łodzi fascynację klubową sceną Londynu. Jego założyciele przeszli do organizacji imprez jako New Alcatraz Mega Party Organization. 13 września 1996 w łódzkiej Hali Sportowej odbyła się pierwsza techno-impreza na taką skalę – Welcome Back Party, z udziałem 5 tysięcy osób. Wydarzenie to stało się pretekstem do stworzenia Parady Wolności rok później.

Inspiracją była berlińska Love Parade, która po upadku muru stała się symbolem klubowej wspólnoty. W Polsce, 19 września 1997 roku, po raz pierwszy platformy z muzyką elektroniczną przejechały przez Piotrkowską, a tłumy tańczyły w rytmie jungle, breakbeatu i drum'n'bassu. Paradzie towarzyszyły konkurs DJ-ski i afterparty w Hali Sportowej. Z roku na rok impreza rosła – w 2002 roku przyciągnęła dziesiątki tysięcy uczestników.

Białe rękawiczki

Parada przez lata wzbudzała kontrowersje. Sceptycy łączyli ją błędnie z Paradą Równości, krytykowali wygląd uczestników, a stereotypy o narkotykach pogłębiały negatywny obraz sceny. Stylizacje inspirowane futuryzmem, surrealizmem i przełomem milenium budziły niepokój – białe rękawiczki, gwizdki, a nawet odkurzacze stały się ikonami subkultury. Ale za tą estetyką kryła się autentyczna radość, wolność twórcza i wiara w przyszłość napędzaną technologią.

Nowa generacja Parady Wolności

Po przerwie od 2003 roku, w 2022 Parada powróciła dzięki Rafałowi Baranowi i wsparciu prezydent Hanny Zdanowskiej. W tym roku odbędzie się od 29 do 31 sierpnia i zyska format pełnoprawnego festiwalu. Przemarsz platform przez centrum miasta, główna scena na Piotrkowskiej, artyści z hiszpańskiej wytwórni Blackworks i legendarne afterparty DeLuxe ponownie połączą fanów elektroniki.

Hasło tegorocznej edycji, inspirowane 120-leciem powstania łódzkiego, brzmi: „Tylko ten doczeka dnia wolności, kto z własnej woli jest wolny."

Parada wartości

W świecie przeładowanym ofertą festiwalową, młodzi coraz częściej szukają wydarzeń, które mają sens – ideę, historię, tożsamość. Parada Wolności wyróżnia się autentyzmem. Jest darmowa, wywodzi się z kultury oddolnej i stanowi przestrzeń wspólnoty, odwagi i bycia sobą. Ale czy otworzą się na nią także partnerzy?

Słowo „parada" bywa w Polsce źle kojarzone – z kontrowersją, dziwnością, ideologią. Tymczasem w Łodzi oznacza radość, muzykę i wolność. Jeśli uda się przełamać stereotypy i zobaczyć w Paradzie to, czym naprawdę jest – unikalnym, inkluzywnym wydarzeniem z potencjałem kulturotwórczym – może ona stać się symbolem europejskiego ruchu społeczno-muzycznego. Trzeba tylko w to uwierzyć.

ADAM DĄBROWSKI

eprasa.pl 89558b6b43

Duch lasów

Magazyny rosyjskiego Muzeum Etnograficznego są pełne bóstw lasów i tundr. Muzealnicy nie lubią tam chodzić. Nie dziwię się – mówi Andrzej Dybczak zdobywający kolejne nagrody literackie za książkę „Las duchów".

Andrzej Dybczak (ur. 1978 r.) – antropolog, pisarz, dokumentalista. Za „Gugarę" (Czarne) otrzymał Nagrodę Kościelskich (2012 r.), a za „Las duchów" (Nisza) otrzymał w tym roku Nagrodę Kapuścińskiego, Nagrodę im. Marka Nowakowskiego i Literacką Nagrodę „Znaczenia".

JUSTYNA SOBOLEWSKA: **– Pana „Las duchów" zaczyna się jak „Indiana Jones". Antropolog natrafia w magazynie Muzeum Etnograficznego w Krakowie na dwie figurki z Syberii, które zafascynowały go do tego stopnia, że rusza ich śladem. W kolejnej scenie widzimy go w pociągu, który wiezie go za Ural do ludu Selkupów.**

ANDRZEJ DYBCZAK: – „Indiana Jones" przeorał nam wyobraźnię. Na jednym z pierwszych spotkań dotyczących „Lasu duchów" mój profesor w żartach zwrócił się do mnie: – Panie Andrzeju, to pan jest takim Indianą Jonesem? I to poszło dalej, potem w radiu usłyszałem: – Czy to prawda, że jest pan polskim Indianą Jonesem?

Pierwsze nasze skojarzenia z Syberią to zesłania i gułagi. W tej książce zajmuje się pan rdzennymi narodami, ale też prowadzą tam na miejsce historie dwóch polskich zesłańców, którzy przekazali kiedyś przedmioty Selkupów i Nieńców do muzeum.

To jest coś, od czego nie możemy uciec, kiedy kierujemy się w tamtą stronę. Moja droga na Syberię prowadziła innymi ścieżkami. Nie interesowały mnie zesłania, kiedy na początku lat 2000. zacząłem tam jeździć, kiedy powstawały „Gugara" – książka i film. Unikałem tematu, aż w końcu na miejscu Ewenkowie pokazali mi nad brzegiem rzeki drzewo, modrzew syberyjski, na którym jakiś więzień, może Polak, wyrył w alfabecie łacińskim inicjały i datę. I to był moment, w którym mnie tknęło. Jeśli chodzi o „Las duchów", to Polacy byli wehikułem, na który, można powiedzieć, wsiadły te przedmioty należące do rdzennych kultur i przemieściły się do Krakowa, znalazły w Muzeum Narodowym (wtedy nie było jeszcze Etnograficznego). Jan Żurakowski w 1906 r. oddał dwie drewniane zawinięte w futerko figurki szamańskie. W trakcie badań okazało się, że był więźniem twierdzy kijowskiej, po powstaniu styczniowym z wyrokiem dożywotniego zesłania na zachodnią Syberię. Dożywocie nie okazało się dożywociem. Dlaczego przywiózł te figurki do Krakowa? Jak wszedł w ich posiadanie? Czym one są? – możemy pytać i o tym mniej więcej jest „Las duchów". Potem, kiedy pojechałem do Jamalsko-Nienieckiego Okręgu Autonomicznego, nagle milicjant mówi, że nazywa się Dąbrowski, inny bonzo lokalny – że Zawadowski i jest z rodziny zesłańców. A potem, kiedy byłem w miejscu akcji książki – Osadzie Między Jeziorami – nagle Selkupowie wspomnieli, że obok był gułag. Oprócz jednego grobu enkawudzisty, oznaczonego czerwoną gwiazdą, niewiele tam po nim zostało. Kiedy pytałem, gdzie są groby więźniów, usłyszałem, że nie ma, bo widocznie nikt nie umarł.

A potem ziemia sama odsłoniła ciała?

Tak, to było gdzie indziej, znany przypadek: w Kołpaszewie. Ziemia odmówiła udziału w zbrodni: zamiast ukryć, zakonserwowała i oddała ciała. W latach 70. władza musiała się skonfrontować z problemem, czyli zwłokami tysięcy ludzi, które zaczęły wypadać z podmytego przez wody Obu brzegu. To zesłańcy. Rdzennych Selkupów nie było gdzie zesłać. Jeśli władza radziecka coś do nich miała, to ich likwidowała. Przede wszystkim szamanów. Reszta ludzi była sowietyzowana. Także np. używana do polowań na zbiegów z obozów. Rdzenni mieszkańcy stali się niechcący strażnikami systemu zagłady. A jednak moja uwaga była nakierowana nie na zesłańców, ale na tubylców i ich świat.

Dociera pan do Selkupów i Nieńców za późno. Ostatnia osoba, która znała

© ANDRZEJ DYBCZAK, MICHAŁ KORTA

eprasa.pl 89558b6b43

pieśni, zmarła. Na większość pytań nie ma już odpowiedzi?

Sytuacja rdzennych narodów jest jak wygnanie z raju, które właśnie się odbywa. Boją się, bo czują obecność sił, duchów, których nie umieją już kontrolować, nie ma z nimi szamanów. Są rozmaite ruchy powrotu do korzeni i co jakiś czas pojawia się nadzieja wśród etnografów, że nagle gdzieś, w głębi lasu, narodzi się chłopiec, będzie szamanem i on wszystko zmieni. Ale raczej tak nie będzie, bo szamana musi uczyć inny szaman, musi go mianować, przeprowadzić przez inicjację. Uczenie się ze źródeł etnograficznych nie wystarczy. Szamanizm świetnie się ma w Korei Południowej, w Mongolii. Na dalekiej północy został zabity. Zawsze byłem zaskoczony, z jaką uwagą szamanizm został wytępiony w tych małych narodach. To są narody po kilka tysięcy osób, nieznaczące, a jednak z wielką skrupulatnością cywilizowane.

Pisze pan, że oni byli i są przygotowani do wojny. O tym zresztą myślimy, czytając, że ludzie stamtąd jadą walczyć z Ukrainą.

To jest ponure. Nie mają wyboru. Rzadko też wiedzą, dokąd jadą, z kim walczą. Spotyka się w tajdze chłopaka, który służył w marynarce wojennej. Selkup mówił, że odbył służbę wśród czartowskich mórz, trochę jakby opowiadał o baśni.

Ta rzeczywistość wpływa na obserwatora?

Ma swój ciężar. Z jakiegoś powodu dyrektor tamtejszego muzeum popełnił samobójstwo. Podobno lubił kolekcjonować rzeczy, których według Selkupów nie powinien zbierać. Maria Czaplicka też wypiła szklankę kwasu, a ona do muzeum w Oksfordzie też przywiozła figurkę podobną do tych, które znalazłem w Krakowie. Można jej samobójstwo tłumaczyć zawiedzioną miłością, utratą pracy w Oksfordzie – musiała pożegnać się ze stanowiskiem, bo mężczyźni wrócili po pierwszej wojnie i nie było już miejsca dla kobiety. Ale można też na to spojrzeć inaczej. Magazyny rosyjskiego Muzeum Etnograficznego w Petersburgu są pełne bóstw lasów i tundr, które leżą i płaczą. Muzealnicy nie lubią chodzić do tych magazynów. Nie dziwię się.

Inaczej niż typowy etnograf nie chce pan już oglądać kolejnych przedmiotów i niczego ze sobą nie zabiera do kolekcji. Dlaczego?

Mieliśmy założenie naszego zespołu muzealnego, że nie chcemy niczego przywozić. Nie trzeba, skoro rzeczy, które już mamy, wymagają opowiedzenia. A poza tym ten paradygmat kolekcjonowania, zabierania przedmiotów zrobił dużo krzywdy. To samo się działo w Afryce czy Ameryce. Wśród rdzennych kultur syberyjskich to dążenie do zabierania rzeczy wyrządziło ogromne spustoszenie. 80 tys. obiektów z Syberii w Rosyjskim Muzeum Etnograficznym i dziesiątki tysięcy w innych muzeach rosyjskich pochodzą od konkretnych ludzi. Selkupów jest 4 tys., Ewenków kilkadziesiąt tysięcy. Kiedy przyrównamy liczbę przedmiotów do liczby ludzi, to nagle wychodzi, że do każdej rodziny ktoś dotarł i coś jej zabrał.

W książce dziewczyna widzi swoją suknię ślubną z futra jako eksponat w muzeum. Oddała, bo powiedzieli, że nie ma na to miejsca w internacie.

I nie jest w stanie zrozumieć, dlaczego suknia jest podpisana, że pochodzi z XIX w., skoro należała do niej. Tak, etnografowie też potrafią być kreatywni. Często kolekcjonowano rzeczy w taki sposób, że mówiono tubylcom: – A po co wam to, przecież jesteście nowocześni, nie ma już szamanów, oddajcie. I oddawali je etnografom, którzy wyjeżdżali zadowoleni, a Selkupowie zaczynali się bać wyjść z domu, bo nagle las obracał się przeciwko nim. Czuli, że złamali tabu. To jest to wygnanie z raju.

Były momenty, kiedy pan się bał?

Nie bałem się być sam w ciemnym lesie, tam czułem się zaopiekowany. Bałem się, kiedy trafiałem do miejsc, gdzie ludzie oglądali telewizję i sączyła się nienawiść. W „Oswajaniu świata" Nicolasa Bouviera jest taka scena, bodajże w Afganistanie, w momencie, kiedy jedna wioska przygotowuje się do napaści na sąsiednią dolinę: mężczyźni tańczą taniec wojenny i mają jechać mordować. Bouvier pisze, że na ten widok zrobiło mu się niedobrze, nie mógł tego znieść. I ja też myślałem o tym w Rosji, kiedy tam jeździłem między 2016 a 2019 r. Nie wiedziałem jeszcze tego, ale już odbywał się taki taniec wojenny. Nie mogłem kiedyś zasnąć po tym, jak obejrzałem w telewizji reportaż o toksycznej amerykańskiej stonce hodowanej w Gruzji i zrzucanej na pola ziemniaków w Krasnodarze. To było w 2017 r. Albo to ciągłe wciskanie ludziom reklam zdrowego i trzeźwego trybu życia i sportu. Jak to opowiedziałem znajomemu tutaj, to stwierdził, że oni są przygotowywani do wojny. Wtedy w to nie uwierzyłem, a miał rację. Przypomina się Trzecia Rzesza i te grupowe dziarskie gimnastyki z kronik filmowych. Baliśmy się też, kiedy siedzieliśmy w chacie odciętej od świata i daleko słychać było samolot – moja towarzyszka mówiła, że to bombowce lecą na Kamczatkę, a może już wojna wybuchła i zrzucili wreszcie atomówkę na tę Polskę.

Po 2019 r. jeździł pan do Rosji?

Ostatni raz byłem w 2020 r. To był projekt naukowy, na stronie Muzeum Etnograficznego jest zakładka etnomuzeum.eu/syberia i tam znalazło się wiele materiałów naukowych i nagrań wideo. Pojechałem też na kongres kultury rosyjskiej w Petersburgu, gdzie prezentowałem te nasze syberyjskie badania.

Takie badania mogą zostać przez Rosję wykorzystane przeciwko rdzennym narodom?

Nieraz się zastanawiałem, skąd NKWD w latach 30. wiedziało, gdzie szukać szamanów. Jedyna sensowna odpowiedź prowadzi do etnografów. Wszyscy się bali, więc jak zaprosili kogoś na Łubiankę i zapytali grzecznie o listę nazwisk i miejsc, to raczej nikt nie odmawiał. Jak przyjechałem pierwszy raz do rosyjskiego Muzeum Etnograficznego w Petersburgu i wszedłem do biur, to miło mnie przywitali szampanem o ósmej rano. Pytam: co to za okazja? A, bo Wielka Brytania wystąpiła z Unii Europejskiej i wszyscy się cieszą, a jak Trump wygra, to będzie cudownie, bo Zachód kaput. Dlaczego dla etnografów w Petersburgu tak istotne jest, żeby Zachód był kaput? Nie wiem.

Bo ruski mir ma zapanować wszędzie?

Teraz wszelkie kontakty się urwały. Jak się zachować wobec osoby, która mogłaby ci powiedzieć, że kogoś zabiła w Ukrainie? Nie ma już możliwości rozmowy. Wojna to jest obleśna rzeczywistość zerojedynkowa, nieprzyjmująca żadnych niuansów. Uświadomiłem to sobie w Afganistanie w 2010 r. Mnie się wydawało, że mogę być tym, kim jestem, osobą bezstronną, która zaprzyjaźni się z Afgańczykami i zrobi konkretne rzeczy w Kabulu – chodziło o projekt filmu dokumentalnego. Nagle się okazało, że tak się nie da podczas wojny, zawsze się jest po którejś stronie. Dziś nie miałbym ochoty, jadąc do Rosji, wolontariacko wzbogacić ich zasobu wymiany więźniów, żeby potem ktoś musiał mnie wymieniać na jakiegoś prawdziwego rosyjskiego szpiega.

Obszerniejsza wersja rozmowy na www.polityka.pl

eprasa.pl 89558b6b43

Jak narysować sukces

Polscy twórcy stale goszczą na festiwalu komiksowym w Angoulême, w tym roku zadebiutowali także na podobnej imprezie w Lozannie. Czy zainteresowanie festiwalowej publiczności otworzy im szerzej drogę na zachodnie rynki?

JAKUB DEMIAŃCZUK

Flaga Lozanny do złudzenia przypomina polski sztandar, tyle że czerwony pas jest wyraźnie szerszy od białego. – *Ale to nie dlatego zaprosiliśmy polskich artystów do udziału w naszym festiwalu* – zastrzega Gaëlle Kovaliv, doktorantka Uniwersytetu Lozańskiego i współdyrektorka BDFIL, festiwalu komiksu w Lozannie, największej w Szwajcarii imprezy poświęconej tej dziedzinie sztuki. Polska była gościem honorowym 19. edycji, która odbyła się w maju. I choć do podboju Zachodu droga wciąż daleka, zagraniczne edycje polskich komiksów ukazują się coraz częściej. To efekt wzmożonego wysiłku twórców i wydawców, którzy ostatnio dostają także wsparcie instytucjonalne.

Kovaliv przyznaje, że choć na frankofońskim rynku czytelnicy znają dokonania Grzegorza Rosińskiego i Zbigniewa Kasprzaka, to kojarzą ich jedynie z seriami „Thorgal" i „Yans" tworzonymi dla francuskich wydawców. A młody polski komiks wciąż czeka na odkrycie. Kovaliv wraz ze współdyrektorką BDFIL Léonore Porchet – zarazem deputowaną w szwajcarskiej Radzie Narodowej z ramienia Partii Zielonych – zachwyciły się nim dzięki ubiegłorocznej prezentacji na najważniejszym europejskim festiwalu komiksowym we francuskim Angoulême. – *Nagle zobaczyłyśmy, że polski komiks jest intrygujący, różnorodny, inny. Decyzja, że chcemy pokazać go w Lozannie, była natychmiastowa. Choć początkowo planowałyśmy zaproszenie Grzegorza Rosińskiego, zdecydowałyśmy, że zależy nam przede wszystkim na młodszych artystach, najchętniej takich, których komiksy już się ukazały w przekładzie na francuski* – mówi Kovaliv.

Komiks ambasadorem

Festiwal w Lozannie co roku odwiedza ponad 35 tys. osób, a związane z nim wydarzenia rozpisane są aż na dziesięć dni. Część wystaw prezentowanych jest w przestrzeni miejskiej, zwłaszcza na terenie ruchliwego dworca kolejowego. Niektóre plansze, wydrukowane w dużym formacie, można oglądać z okien wjeżdżających na stację pociągów.

Pod względem wizualnym polska obecność w Lozannie mogła wydawać się symboliczna: na skromnej prezentacji pokazano jedynie pojedyncze strony z dzieł zaproszonych gości, towarzyszył im skrótowy opis historii polskiego komiksu oraz biblioteczka, w której można było przejrzeć wybrane albumy. Dużo większe znaczenie miały jednak spotkania, dyskusje i sesje autografów. W Szwajcarii pojawili się przede wszystkim twórcy i twórczynie, których komiksy już zdążyły się pojawić na zachodnich rynkach: Joanna Karpowicz, Katarzyna „Zavka" Zawadka, Maria Rostocka, Marcin Podolec, Przemysław Truściński i Wojciech Stefaniec. Nie zabrakło osób, które na frankofońskim rynku są nawet

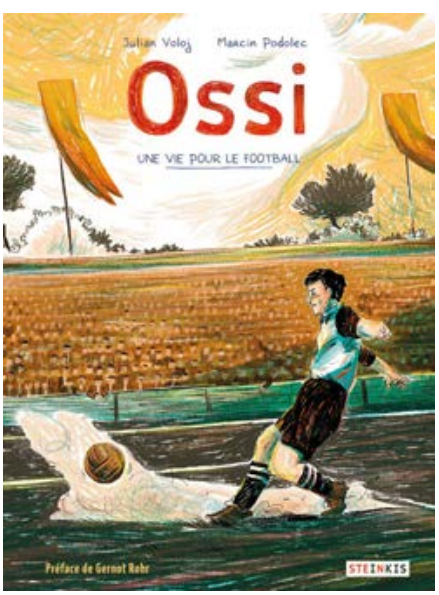

Do podboju Zachodu droga wciąż daleka, ale zagraniczne edycje polskich komiksów ukazują się coraz częściej. Na fot.: **francuski album „Ossi" – rys. Marcin Podolec, scen. Julian Voloj.**

eprasa.pl 89558b6b43

Francuskie wydanie „Andzi" – rys. Przemysław Truściński, tekst Piotr Mańkowski

Teraz polski wieczór, który był okazją do nieformalnych rozmów i spotkań, oficjalnie otworzył radca-minister Marek Minarczuk, chargé d'affaires ambasady RP w Szwajcarii.

Polską obecność w Lozannie wsparł Instytut Adama Mickiewicza. To kolejny po Angoulême festiwal, przy którym pracował IAM. – *W polskim komiksie dzieje się naprawdę wiele, to dynamiczna i tętniąca życiem scena. Komiks to medium uniwersalne, nowoczesne i niezwykle pojemne, dlatego znakomicie może pełnić rolę ambasadora polskiej kultury. Angoulême bez wątpienia pozostanie na mapie wydarzeń wspieranych przez IAM, ale dążymy jednocześnie do wzmocnienia pozycji polskiego komiksu na innych rynkach, poza frankofońskimi, takich jak Włochy czy Hiszpania* – tłumaczy Olga Brzezińska, wicedyrektorka Instytutu Adama Mickiewicza. Za jedno z kluczowych zadań uważa promowanie tego medium wśród tłumaczy: – *Już w czerwcu, w ramach organizowanej przez IAM kolejnej wizyty zagranicznych tłumaczy literatury polskiej, odbędzie się spotkanie warsztatowe poświęcone komiksowi.*

Olga Brzezińska podkreśla, że planowane są dalsze formy wsparcia dla polskich twórców oraz ścisła współpraca z Instytutem Książki i Polskim Stowarzyszeniem Komiksowym – traktowane jako forma inwestycji w przyszłość i budowania marki rodzimych twórców.

Instytut Książki także w ostatnich latach zaangażował się w promocję sztuki komiksowej: oprócz zapraszania wydawców na swoje stoiska na największych targach literackich (m.in. w Bolonii i Barcelonie) przygotował także wydany po angielsku i francusku katalog najciekawszych dokonań polskiego komiksu. Znalazły się w nim omówienia albumów zarówno artystów o sporym dorobku – m.in. Joanny Karpowicz, Jacka Świdzińskiego, Macieja Sieńczyka czy Piotra Nowackiego – jak i debiutantów i debiutantek, w tym Beaty Pytko, Katarzyny „Falauke" Czarnej i Pawła Paradowskiego. Komiksy niezależne sąsiadują tu z tytułami publikowanymi przez dużych wydawców, a historie dla dzieci z opowieściami dla dorosłych. Choć w katalogu zabrakło wielu istotnych nazwisk, wybór układa się w sensowny i atrakcyjny portret sztuki komiksowej we wszystkich jej przejawach. Instytut Książki zapowiada, że katalog będzie aktualizowany co dwa lata.

Maria Rostocka podpisująca francuski przekład albumu „Koniec lipca". Obok: **plansza z tego albumu.**

© MARIE CATRY & J.B. DEUCHER (2), STEINKIS GROUPE, YOHAN BONNET/AFP/EAST NEWS, ÉDITIONS FLBLB

bardziej obecne niż w Polsce: mieszkającej na co dzień we Francji Marzeny Sowy (u nas znanej przede wszystkim ze scenariusza do autobiograficznej serii „Marzi") i Łukasza Wojciechowskiego, tworzącego komiksowe projekty w programie Autocad służącym do projektów architektonicznych. Były też specjalne pokazy animowanego „Smoka Diplodoka" Wojciecha Wawszczyka oraz wyreżyserowanego przez Marzenę Sowę dokumentu „The Godmother". Jeszcze niedawno państwowe wsparcie dla promocji komiksu nie było oczywistością.

Nie tylko dla rysunków

W wydanej w 2011 r. książce „1001 Comics You Must Read Before You Die" pod redakcją cenionego brytyjskiego historyka i krytyka komiksu Paula Gravetta znalazł się tylko jeden polski album: „Antresolka profesorka Nerwosolka" Tadeusza Baranowskiego (był jeszcze rysowany przez Grzegorza Rosińskiego „Thorgal", słusznie jednak traktowany ▶

eprasa.pl 89558b6b43

▶ jako komiks francuski). Dziś polskie nazwiska nie wydają się już w światowym komiksie egzotyczne. Kilka dekad temu Rosiński oraz Zbigniew i Grażyna Kasprzakowie przecierali szlaki, pracując dla francuskich i belgijskich wydawców. Teraz łatwiej się przebić ze swoim graficznym talentem. Na francuskim rynku od lat obecny jest Piotr Kowalski, dla dużych amerykańskich wydawców – z Marvelem i DC Comics na czele – regularnie rysują m.in. Szymon Kudrański, Katarzyna Niemczyk oraz Jakub Rebelka. Z kolei Bartosz Sztybor pisze scenariusze do komiksowych serii „Wiedźmin" i „Cyberpunk" publikowanych przez amerykańską oficynę Dark Horse – w 2023 r. za album „Cyberpunk: Sny wielkiego miasta" został uhonorowany prestiżową nagrodą Hugo. Tyle że większość odbiorców serii superbohaterskich raczej nie zastanawia się nad narodowością ich twórców.

Promocja polskiego komiksu jako zjawiska wymaga zupełnie innych działań. – *Od kiedy na festiwalu w Angoulême zaczęła regularnie pokazywać się polska „delegacja", czyli od jakichś 20 lat z okładem, rozmawialiśmy w gronie wydawców i artystów, jak pojawić się tam z promocją polskich komiksów. I to już się na szczęście dzieje* – opowiada Szymon Holcman z wydawnictwa Kultura Gniewu. – *Od kilku lat na festiwalu w Namiocie Praw Międzynarodowych, gdzie wydawcom z całego świata prezentowane są komiksy z różnych krajów, jest także polskie stoisko. Drugie jest w namiocie z niezależnymi wydawcami i stoiskami „narodowymi". Co roku jedzie więc do Francji mocna reprezentacja polskich autorów i autorek, żeby pokazać się z nowymi albumami* – mówi Holcman. Dodaje, że po autografy przychodzą tam nie tylko mieszkający we Francji Polacy, ale także kolekcjonerzy skuszeni stylem graficznym, którzy kupują komiksy dla rysunków, nawet jeśli nie znają języka.

Na szczęście przekłady polskich komiksów coraz częściej trafiają do rąk zachodnich czytelników. Działające w Polsce, Wielkiej Brytanii i Czechach wydawnictwo Centrala opublikowało angielskie wydania komiksów Macieja Sieńczyka i Janka Kozy, „Fugazi Music Club" Marcina Podolca ukazało się we Francji, Włoszech, Niemczech, Hiszpanii, francuskiego wydania doczekały się także „Bajka na końcu świata" oraz stworzone we współpracy z reporterem POLITYKI Marcinem Kołodziejczykiem „Morze po kolana". Prawa

„Promienie Xi", powieść graficzna Katarzyny „Zavki" Zawadki

do serii „Malutki Lisek i Wielki Dzik" Bereniki Kołomyckiej zostały sprzedane do Hiszpanii, Stanów Zjednoczonych i Norwegii, gdzie komiks trafił nawet do szkolnych bibliotek. Tetralogia „Bardo" Wojciecha Stefańca i Daniela Odiji doczekała się edycji holenderskiej. We Francji ukazały się przekłady prac Przemysława Truścińskiego, Krzysztofa Gawronkiewicza i Grzegorza Janusza, Wandy Hagedorn i Jacka Frąsia oraz Marii Rostockiej. Jej „Koniec lipca", co podkreśla Szymon Holcman, to przypadek szczególny: – *Album we Francji wydany przez oficynę Flblb Eds trafił do oficjalnej selekcji komiksów w Angoulême, czyli na listę tytułów walczących o nagrody imprezy, a to duże wydarzenie, bo organizatorzy z ok. 5 tys. wydawanych co roku tytułów wybierają zaledwie kilkadziesiąt. I to był pierwszy przypadek, kiedy w tej festiwalowej selekcji znalazło się francuskie wydanie polskiego komiksu.*

Głos z Polski

O ile rynek francuskojęzyczny coraz chętniej sięga po tytuły z innych krajów, o tyle amerykański pozostaje niemal niedostępny. Zasysa talenty graficzne i scenopisarskie, lecz nie wydaje się zainteresowany przekładami. Jakiś czas temu w bardzo cenionej oficynie Fantagraphics ukazał się „Pan Żarówka" Wojciecha Wawszczyka w przekładzie Antonii Lloyd-Jones (znanej też m.in. z przekładów Olgi Tokarczuk – przyp. red.), ale odzew był znikomy. – *Fantagraphics nie zrobiło wokół tego komiksu absolutnie nic. Równie dobrze mógłby się tam nie ukazać. Ale to jest specyfika amerykańskiego rynku, jednego z najbardziej zamkniętych na świecie. Chyba nawet Japończycy tłumaczą więcej komiksów* – mówi Holcman, który był polskim wydawcą „Pana Żarówki".

Promocyjny wysiłek trzeba więc kierować na europejskie rynki. I coraz częściej przynosi to efekty. Niedawno Francuzi kupili prawa do wydania „Promieni Xi", debiutanckiego albumu Katarzyny „Zavki" Zawadki, Czesi wydadzą zaś „Futuro Darko" Krzysztofa Nowaka i „Stachanowiec in Space" Błażeja Kurowskiego. Joanna Karpowicz na jednym ze spotkań, które odbyły się w Lozannie, mówiła, że nadzieją na zainteresowanie wydawców są coraz ciekawsze i coraz liczniejsze albumy polskich autorek, oferujące świeże spojrzenie na komiks jako formę sztuki i narracji, a przede wszystkim poruszające ważne społeczne problemy.

Zmiany idą w dobrym kierunku. – *Wiemy, że na wyraziste efekty promocyjne musimy jeszcze poczekać, ale już teraz dostrzegamy wzrost zainteresowania polskim komiksem ze strony zagranicznych wydawców, krytyków i czytelników* – mówi Olga Brzezińska. – *Naszym celem jest konsekwentne budowanie świadomości, że polscy twórcy to światowej klasy artyści z unikatowym głosem i perspektywą.*

– *To, czego nam najbardziej teraz potrzeba, to znaczący sprzedażowy sukces* – uważa Szymon Holcman. – *Jakub Rebelka, jeden z naszych najbardziej utalentowanych artystów, od lat pracujący dla amerykańskich wydawnictw, rysował m.in. komiksy z serii „Diuna", ale także niezależne albumy, takie jak „Geneza" czy „Judasz". We Francji nie był zauważany do czasu, gdy ukazał się komiks „Ostatni dzień Howarda Phillipsa Lovecrafta". I nagle francuscy krytycy komiksowi odkryli Rebelkę, zachwycili się jego rysunkami, a wydawnictwo 404 éditions kupiło prawa do innych narysowanych przez niego tytułów. „Geneza" ukazała się we Francji 15 maja i pierwszy nakład sprzedał się w dniu premiery. Mówimy o komiksach rysowanych na zamówienie zachodnich wydawców, ale gdyby jakiś polski album odniósł podobny sukces, skierowałby pewnie uwagę także na dorobek innych twórców* – dodaje.

Bo na konkurencyjnym francuskim rynku można się przebić, jednak poza cierpliwością i wysiłkiem potrzeba do tego także sporo szczęścia.

JAKUB DEMIAŃCZUK

© TIMOFI CISI WSPÓLNICY

eprasa.pl 89558b6b43

JEŚLI COŚ WEJDZIE CI W DROGĘ

ZDEPCZ TO

BENICIO DEL TORO

FENICKI

UKŁAD

MIA THREAPLETON
MICHAEL CERA
RIZ AHMED
TOM HANKS
BRYAN CRANSTON
MATHIEU AMALRIC
RICHARD AYOADE
JEFFREY WRIGHT
SCARLETT JOHANSSON
BENEDICT CUMBERBATCH
RUPERT FRIEND
HOPE DAVIS

FOCUS FEATURES and
INDIAN PAINTBRUSH
present an AMERICAN EMPIRICAL picture
"THE PHOENICIAN SCHEME"

DIRECTOR OF PHOTOGRAPHY BRUNO DELBONNEL, afc, asc
PRODUCTION DESIGNER ADAM STOCKHAUSEN
COSTUME DESIGNER MILENA CANONERO
HAIR AND MAKE-UP DESIGNER HEIKE MERKER
EDITOR BARNEY PILLING, ace
ADDITIONAL EDITOR ANDREW WEISBLUM, ace
ORIGINAL MUSIC ALEXANDRE DESPLAT
MUSIC SUPERVISOR RANDALL POSTER
ASSOCIATE PRODUCER BEN ADLER
CO-PRODUCER MOLLY ROSENBLATT
EXECUTIVE PRODUCERS ROMAN COPPOLA
HENNING MOLFENTER
PRODUCED BY WES ANDERSON
STEVEN RALES
JEREMY DAWSON
JOHN PEET
STORY BY WES ANDERSON
& ROMAN COPPOLA
SCREENPLAY BY WES ANDERSON
DIRECTED BY WES ANDERSON

SOUNDTRACK AVAILABLE ON abkco RECORDS

W KINACH OD
6 CZERWCA

An AMERICAN EMPIRICAL PICTURE
by WES ANDERSON

eprasa.pl 89558b6b43

Mea pulpa

czyli kronika popkulturalna Kuby Wojewódzkiego

Prokuratura PiS za pomocą systemu Hermes podsłuchiwała dziennikarzy TVN: Piotra Kraśkę, Jarka Kuźniara oraz mnie. Według mitologii Hermes to także bóg złodziei. Czyli wszystko się zgadza.

●

Mecze piłkarskiej kadry są najdroższe w czerwcowym cenniku TVP. Optymista wie, że świat stoi przed nim otworem. Pesymista wie, który to otwór.

●

Marianna Schreiber pożaliła się, że na Wielkim Marszu Patriotów kazano jej wypier...lać, szarpano ją oraz popchnięto. Marianna manipuluje i ukrywa ważne fakty. Nazwano ją także kretynką.

●

Słynny były mąż, czyli Jacek Rozenek, ożenił się po raz trzeci. Aby wyjść na prostą, musiał sprzedać dom i samochód. Są rzeczy, których nie da się powtórzyć. Na przykład drugi raz wziąć pierwszą komunię.

●

Kanał Zero Krzysztofa Stanowskiego zarobił w maju na YouTube kwotę 1,7 mln zł. Monetyzacja Kodeksu wyborczego level expert.

●

Joanna Senyszyn ruszyła z codziennym programem w RMF FM „Jak żyć, być i kochać w XXI wieku". Brawo. Trudno znaleźć dziś kogoś, kto podobnie jak ona zna wszystkie polskie powiaty, ze słyszenia.

●

Robert Lewandowski strzelił swego 100. gola – dla FC Barcelony, co postanowił uczcić brakiem obecności w najbliższych meczach naszej kadry. Rozumiem. W stroju z karnawału nie idzie się na stypę.

●

Iga Lis, córka wiadomo kogo, pokazała swój debiutancki film „Bałtyk" podczas 65. Krakowskiego Festiwalu Filmowego. Brawo. Niech mieszkańcy zobaczą, jak wygląda świeże powietrze.

●

Rozmowę Mentzena z Trzaskowskim obejrzało 4,7 mln widzów. 1. miejsce na YT. Polacy wiedzą, co dobre. Na czwartym miejscu kebab Friza.

●

© WOJCIECH FIGURSKI/OSSSPORT.PL/NEWSPIX.PL

Jednym z celebrytów popierających Karola Nawrockiego był Sławomir Łosowski, założyciel zespołu Kombi. To zrozumiałe. Był jedyną osobą z zespołu Kombi, której Kombi nie chciało mieć w swoim składzie.

●

„Polska to jest taki kraj, w którym nie warto być świnią. To się nie opłaca" – to Adam Michnik. Od niedzieli wieczór wiemy, w jakim procencie jest to prawda.

●

Sąd Rejonowy w Warszawie ujawnił 3,5-godzinne nagranie rozmów Roberta Lewandowskiego z Cezarym Kucharskim. Nareszcie pojawiło się coś, co jest trudniejsze do przełknięcia niż mecze naszej kadry.

●

43-letni Krzysztof „Diablo" Włodarczyk zdobył tytuł mistrza świata WBC, pokonując Adama Balskiego. Walka wyglądała tak, jakby ją napisali scenarzyści „Listów do M.". Na początku było źle, potem dobrze.

●

Marta Wierzbicka wyszła za mąż. W tajemnicy. Mało tego. Nie pokazała twarzy wybrańca. Fascynują mnie kobiety. W „Playboyu" zaprezentują wszystko, ale fizis męża to temat intymny.

●

Dominika Serowska, partnerka Marcina Hakiela, poinformowała media, że obecnie nie dzieli z nim sypialni. O, i tu twarz bym zakrył.

●

Andrzej Duda był gościem Kanału Zero, gdzie przez 3,5 godziny odpowiadał na pytania. Mam coś, co przeczytasz w dwie sekundy: Jak dobrze, że to już.

●

Tomasz Fornal ujawnił, że nie odebrał diamentu, który był nagrodą za srebrny medal olimpijski, oraz nie pamięta, czy dostał przelew na 100 tys. zł. Z takimi kompetencjami szedłbym w kierunku prezydentury.

eprasa.pl 89558b6b43

Wieczny borderline

Do napisania tego felietonu zabieram się w nadzwyczajnych okolicznościach. Wiem, że do redakcji trafi trzy dni przed drugą turą wyborów prezydenckich, jednak ukaże się trzy dni po niej. Będziemy wtedy znać już nie tylko sondaże exit poll, ale nawet oficjalne wyniki. Dużo bym dała, żeby zajrzeć do nich już dzisiaj. W końcu to ostatni felieton, jaki piszę w starej Polsce, i zarazem pierwszy, który ukaże się w Polsce nowej. Być może powinien to być raczej tren – opłakiwanie zaprzepaszczonej szansy na naprawę Rzeczypospolitej, jaką przyniosło zwycięstwo koalicji demokratycznej w wyborach parlamentarnych z 2023 r. Albo na odwrót, może powinna to być oda do radości pod tytułem „Bążur", opiewająca nasze szczęśliwe – o włos – ocalenie. Wszystko zależy od tego, czy po 1 czerwca w Belwederze rozgości się łowca komunalnych kawalerek za bezcen i praktyk aktywizacji sportowej w formacie 70 na 70, znany też jako prezes Instytutu Pamięci Narodowej, czy może przyzwoity, kompetentny człowiek z mojej dzielnicy, którego widywałam w metrze i którego wybraliśmy parę lat temu na prezydenta Warszawy.

Chciałabym, żeby wygrał ten drugi. Choćby dlatego, że jako gospodarz stolicy znalazł czas, lokal i pieniądze dla Fundacji Serce Miasta, niosącej pomoc kobietom w kryzysie bezdomności. Niby detal, a ile znaczy. Poza tym jest to ktoś, kto koalicji rządzącej zapewniłby sprawczość, a nam wszystkim elementarne poczucie bezpieczeństwa.

> Nie ma u nas takich elekcji, które można by sobie odpuścić. Jak nie zagłosujesz, to przykładasz rękę do zagłady ojczyzny.

Jeśli to on zostanie prezydentem Polski, nie będzie powodu budzić się w nocy z przerażeniem, że mroczna postać o groźnych powiązaniach uzyskała dostęp do tajemnic państwowych oraz zwierzchnictwo nad wojskiem. Pod rządami mojego sąsiada z dzielnicy moglibyśmy w spokoju uprawiać ulubiony sport wszystkich Polaków, czyli skakać sobie do gardeł, mając pewność, że państwo – ten wózek, na którym wszyscy jedziemy – nie jest zagrożone w swoich podstawach. Cóż, jakkolwiek sprawy przy urnach się potoczą, pisząc to, stoję na przegranej pozycji, ponieważ Państwo już wiedzą, a ja nie.

Swoją drogą, ileż ważą te polskie wybory! Nic dziwnego, że terapeuci uzależnień wpisują je na listę „wyzwalaczy" grożących nawrotem nałogu. Za każdym razem, gdy przychodzi nam wybierać, kraj stoi nad przepaścią. Wciąż trzeba krzyczeć jak Zagłoba do Wołodyjowskiego „larum grają!" i mobilizować wszystkie zasoby ludzkie do oddania głosu „za demokracją". Czy zauważyli państwo, że właściwie nigdy nie zdarzają się u nas elekcje, które można by sobie z jakichś życiowych powodów odpuścić? Jak nie zagłosujesz, to przykładasz rękę do zagłady ojczyzny. Bo wybór jest zawsze patetyczny i ostateczny – między życiem a śmiercią, nic mniej. Jako zbiorowość zrzeszona we wspólnym państwie zawsze dyndamy na włosku tuż nad rozwartą paszczą aligatora. Aż człowiek zaczyna podejrzewać, że kochamy ten graniczny stan. Jakbyśmy sami reprodukowali swoją traumę w nieskończoność.

Uświadomiłam to sobie wyraźnie, kiedy przekazywałam siostrze informacje na temat wyborów prezydenckich, żeby mogła wziąć w nich udział, bo w kraju znowu uruchomił się alarm „wszyscy do urn". Siostra od dwudziestu lat mieszka za granicą, odwiedza nas dwa razy do roku i jej więź z Polską mogłaby nie być już tak ścisła, tymczasem co wybory, to wzywamy ją do urny jak straż do pożaru. Mówimy jej, że od tego zależy wszystko, że jej głos jest absolutnie niezbędny, bo jeśli wygrają tamci, to kraj zginie, a my razem z nim. Kiedy zdałam sobie sprawę, jak długo jej to powtarzamy, poczułam wstyd. Dwadzieścia lat to przecież tyle, co jedno pokolenie. A my przez cały ten czas nie zdołaliśmy ułożyć sobie naszego zbiorowego życia na tyle, żeby nasz los nie stawał na ostrzu noża przy każdych wyborach. Żeby było u nas tak, że jak raz wygrają tamci, to będzie trochę inaczej i najwyżej w kolejnych wyborach lekko skoryguje się kurs. Marzyłoby mi się, żeby było u nas nieco bardziej lajtowo. Po prostu odrobinę lżej. Chociaż Polska, w której żyje się lajtowo, to też brzmi jak jakiś *finis Poloniae*. O nie, nic z tego. Polska to wieczny borderline i cierpienie.

Do poduszki już teraz czytam „Faszyzm, który nadchodzi". Przyda się tak czy siak. To zbiór rozmów Przemysława Witkowskiego z mądrymi ludźmi z Polski i świata. Autor, specjalista od skrajnej prawicy, stara się wydobyć ze swoich rozmówców charakterystykę tej czarnej chmury, jaka zawisła nad horyzontem historii w połowie trzeciej dekady XXI w. Zmapować to, czego się dzisiaj boimy. Paradoksalnie jest to książka wyzwalająca w tym sensie, że oswaja z nieuchronnym. Bo faszyzm – jako globalny stan zapalny, specyficzna reakcja na wielokryzys – nie tylko nadchodzi. On tu jest. Jeszcze do końca się nie zainstalował, ale już się ładuje. Nie unikniemy go, jest na to za późno. Jednak możemy wpływać na ten proces. Modelować go między innymi poprzez swoje decyzje wyborcze. Dlatego w najbliższym czasie nie ma szans na lajtowe wybory. Wszystkie będą o wszystko.

RENATA LIS

eprasa.pl 89558b6b43

FELIETON

Koziołek

Staliśmy jak dwa sny

Wyrzuca pani czy zabiera? – zapytałem sąsiadkę, która trzymała rękę na drabiniastym oparciu krzesła wystawionego na chodnik.

– Siedziałam na takim w podstawówce na historii. Ten model nazywa się King Edward – odpowiedziała jakoś zbyt dokładnie i obok pytania.

– Nie wiedziałem, że interesuje się pani historią mebli – zdziwiłem się naprawdę.

– A na ścianie po prawej wisiała gazetka szkolna, z której pamiętam tylko zdjęcie siedzących ma krzesłach Churchilla, Roosevelta i Stalina – mówiła, kompletnie mnie ignorując.

– A, to z Jałty. Ale co to ma wspólnego z tym krzesłem? – zapytałem już trochę zniecierpliwiony.

– Jak zobaczyłam naszego premiera, który siedział obok tego Anglika, Francuza i Niemca, i razem ustalali, co będzie z Ukrainą, pomyślałam, że może wreszcie i dla nas jest krzesło – odpowiedziała wreszcie do mnie.

– Dziś świat dzielą Chiny, Ameryka i Rosja. Chodzi raczej o czwarte krzesło dla Europy, na którym Polska miałaby swój kawałek – tłumaczyłem, ale już znów mnie nie słuchała, wpatrzona w swoje myśli.

Największy – obok Sienkiewicza – polski powieściopisarz historyczny Teodor Parnicki wprowadził do powieści „Muza dalekich podróży" drugą, pod tytułem „Mogło było być tak właśnie". Treścią tej wewnętrznej historii jest fantazja o czwartym królestwie Polski, którego nie było, a które mogłoby istnieć między rokiem 1833 a 1851. Czwarte dlatego, że historycznie pierwsze polskie królestwo trwało od roku 1025 do 1079, drugie – w zależności od kogo liczyć – od 1295 (Przemysł II Wielkopolski) albo od 1320 (Władysław Łokietek) do 1795 r. Trzecim było Królestwo Kongresowe. Czwarte zaś – zmyślone przez Parnickiego – powstało dzięki wygraniu przez Polaków wojny z Rosją, rozpoczętej powstaniem listopadowym. Adam Mickiewicz jest tam ministrem oświaty, ale naprawdę rządzi krajem, mając do dyspozycji sprawny aparat tajnej policji. Zygmunt Krasiński zostaje ambasadorem w Rosji, a Juliusz Słowacki przebywa na emigracji w Meksyku.

Od razu widać, że to nie mogło się dobrze skończyć. W 1851 r. wojsko zostaje rozwiązane decyzją ministra obrony, a większość żołnierzy składa przysięgę carowi. Kończy się fikcja polityczna, wraca nieubłagana historia, a z nią tylko trzy królestwa polskie. Parnicki nawet w powieści nie dał szansy polskiej niepodległości, choć przecież jej doświadczył. Być może jej krótkie dwudziestoletnie trwanie i jego utwierdzało w przekonaniu, że nasz los jest przesądzony i możemy jedynie – jak dziś Ukraina – dywagować, czy potężni sąsiedzi wchłoną nas całych, czy tylko część.

„Dziady", „Lalka", „Ludzie bezdomni", „Kolumbowie", „Kompleks polski" – wszystkie te ważne polskie książki – mimo ogromnych różnic – opowiadają tę samą historię życia w nie-królestwie polskim. Pokolenia uczniów mogły się bez trudu identyfikować z ich bohaterami. Byliśmy wspólnie mieszkańcami tej samej nie-ojczyzny, w której panowały bezwyjściowość, marazm, stagnacja, cywilizacyjne zapóźnienie, niemijająca trauma nieistnienia lub półistnienia. Efemeryczna niepodległość między wojnami tylko potęgowała gorycz; była jak okrutny żart historii. Urodzeni w PRL-u słuchaliśmy z dobrotliwą wyrozumiałością wspomnień babć i dziadków o pełnych sklepach, prawdziwych pieniądzach, podróżach do Wiednia. „Nie budźmy ich" – myśleliśmy. Przyśniła im się ta niepodległość, a nawet jeśli była, to i tak wielka rzeka rzeczywistości toczy swe obojętne wody, pchając nas w tym jedynym kierunku, w jakim nie chcieliśmy podążać – na Wschód.

No i zdarzył się cud, którego nie przewidzieli najwięksi wizjonerzy polityczni ani nawet żadna fikcja. Że będzie Solidarność; że runie mur berliński; że rozpadnie się Związek Radziecki. To się nie miało prawa zdarzyć. A jednak mamy czwarte królestwo polskie. Prawdziwe. Kiedy patrzę na jego rozkwit od 1989 r., wydaje mi się, że śnię i za chwilę obudzę się w Polsce, jaką pamiętam z lat 80. XX w. Muszę się szczypać i powtarzać sobie, że to się dzieje naprawdę już czwartą dekadę.

Podczas długiej kampanii prezydenckiej wielu jej uczestników starało się mnie utwierdzić, że to sen; polityczne wmówienie; bańka nielicznych, którym się powiodło; propagandowy matrix generowany przez Brukselę. A prawda jest taka, żeśmy w ruinie oraz politycznej i ekonomicznej zależności. Drudzy z kolei mnie straszyli, że tak będzie, jeśli tamci wygrają, i wtedy znów stanę się bohaterem klasycznych lektur szkolnych.

„Staliśmy – jak dwa sny – oboje myśląc..." – opisał Słowacki w „Beniowskim" beznadziejnie niemożliwą relację kochanków zamkniętych w swoich wyobrażeniach. W politycznej wojnie na sny również jest jakaś nużąca statyczność; jakbyśmy zastygli naprzeciw siebie, niczym dwie fantazje o Polsce, której nie ma i nigdy nie będzie. Tymczasem nareszcie nie trzeba jej wymyślać, ale można patrzeć, jak się urzeczywistnia w naszych życiach. Jeśli tego nie zauważyliśmy, to być może przesypiamy właśnie największą rewolucję, jaka się Polsce przydarzyła od czasu upadku drugiego królestwa.

Śpimy czy śnimy, mniejsza o to. Jak już się obudzimy, róbmy wszystko, aby zawsze było dla Polski czwarte krzesło. A przynajmniej dla nowego prezydenta, żeby nigdy nie musiał podpisywać na stojąco, gdy ten drugi siedzi.

RYSZARD KOZIOŁEK

eprasa.pl 89558b6b43

Hartman

Wielka loteria wolności

Gdy piszę te słowa, to nie wiem, ale mam nadzieję. Wy zaś, którzy je czytacie, wiecie i albo się radujecie, albo jesteście przerażeni. Tak czy inaczej, nagle, w jednej chwili cała wielotygodniowa praca dymiących z analitycznego wysiłku głów została zapomniana i unieważniona. Przyszłość bowiem stała się teraźniejszością. Albo mamy normalnego prezydenta, albo...

Przedwyborcze spekulacje obchodzą was dziś tyle, co niegdysiejsze śniegi. A jednak jest coś, co interesuje nas zarówno przed, jak i po dokonaniu się demokratycznego wyboru o wielkim znaczeniu. To fascynująca siła i fatalność ludzkiej wolności, wyrażająca się w demokratycznym akcie. Siła potężnej, rozproszonej i nieokiełznanej woli, którą wyborcza procedura potrafi jedynie na chwilę skanalizować, by dzięki martwej i obojętnej arytmetyce pewnego konkretnego, przypadkowego dnia przemówiła jednym słowem. Słowem „tak" albo „ten", a raczej po prostu nazwiskiem. Jutro i wczoraj ten werdykt mógłby być inny, ale liczy się tylko dzisiaj. Tak się umówiliśmy i tylko tego jednego dnia rzucamy nasze kości. Ludzie głosują, a Pan Bóg głosy nosi. Co wyjdzie? Nie w naszej to już mocy, lecz Losu czy Boga, jak kto woli (a co za różnica?).

Chciałoby się, aby to był „nasz wybór". A przecież to żywioł, wielki społeczny proces, którym nikt nie kieruje. Gdyby można nim było kierować, to nie byłby już wolny i demokratyczny. Skoro jednak ma być wolny, to musi być „ktoś", kto apodyktycznie i autonomicznie oświadczy w pierwszej osobie: „Ja tak chcę". Zbiorowy „ktoś", zbiorowe „ja"? Dobre sobie! Cóż, nie ma demokracji bez mitu woli powszechnej i jej zbiorowego podmiotu, zwanego od jakiegoś czasu narodem. „Naród przemówił". Ale co to znaczy? Nie pytamy, bo wszyscy wiemy, że to tylko tak się mówi. Że to mit, a naprawdę głosują pojedynczy ludzie ulegający rozmaitym wpływom, mający wiedzę lub nie, kierujący się tym czy tamtym, lecz raczej emocjami niż kalkulacjami, nie mówiąc już o pryncypiach i ideałach. „Wypadkowa" jest poza nami. Każda rybka w ławicy może sobie ogonkiem machnąć w lewo albo w prawo, lecz to nie jej rzecz, gdzie popłynie ławica. Gdzieś popłynie – ku wodom pożywnym albo jałowym. Kaprys to Neptuna.

> Nie jest tak, że „wola ludu" jest dobra i święta. To afektowana i haniebna bzdura. Wręcz przeciwnie: nie ma wolności bez zła.

Bardzo byśmy chcieli, aby wyraz naszej woli, nasza decyzja – indywidualna i zbiorowa – była prawdziwie nasza, z rozumu i serca, z rozeznania i z doświadczenia poczęta. Bardzo byśmy chcieli czuć się sobą w decydowaniu – spełniać to, „ja chcę i ja decyduję" całkiem autonomicznie i świadomie. Tylko że wola tak nie działa. Jest apodyktyczna i nachodzi nas od środka, wynurzając się z czarnej głębi, która nie jest przecież mną. Wybierasz smaki lodów? Tedy pytasz się grzecznie swego wewnętrznego archiwisty przyjemności: czy większa będzie rozkosz z truskawkowych, czy może z malinowych? Dostajesz odpowiedź, która jest dla ciebie rozkazem. A jeśli ten rozkaz serdecznie afirmujesz, czekając na lodową rozkosz, to wtedy właśnie czujesz się wolny i szczęśliwy. Upojony wolnością i lodami. I twoja jest ta wolność! I twoje, wchłonięte już prawie do środka ciebie, są te cudowne lody!

Tak to jest z naszymi wyborami. Choćby były bardzo przemyślane, to przecież musimy dojść do takiego punktu, w którym nasza świadomość pochyla się nad ciemnym szybem nieświadomości i wyczekuje werdyktu. Patrzy w głąb i czym więcej wysiłku włożyła w pracę myśli i wyobraźni przed podjęciem decyzji, tym bardziej ucieszy się na wszystko, co z tej głębi wyjdzie. „Ja" cieszy się sobą, cieszy się pracą budowania siebie („tożsamości"), polegającą na rozważaniu i ustalaniu, czego to by się chciało. I to jest właśnie wolność woli! Ta radość, że sam, własnym wysiłkiem zapracowałem sobie na werdykt, który usłyszę w sobie. I to pełne satysfakcji przytwierdzenie: „Mój ci on jest, ten werdykt!". To ja sam zechciałem tego, a nie czegoś innego, tego, a nie innego smaku lodów, tego, a nie innego kandydata w wyborach. Pewność tej samodeterminacji sprawia, że nie obchodzi mnie już wcale, czy podlegam jakiejś zewnętrznej konieczności – czy sterują mną prawa psychologii, czy może Bóg, który o wszystkim już za mnie postanowił w dniu stworzenia.

Tak właśnie działa demokracja – ta wielka loteria wolności. Wielkie wyborcze dionizja. Każdy uczestnik festynu jest zaproszony na lody i każdy może sam wybierać: truskawkowe albo malinowe. Jego to rzecz, czy zagłosuje sercem, czy rozumem, roztropnie czy spontanicznie, mądrze czy głupio, etycznie czy niemoralnie. Dostał malutką zabaweczkę, mały gadżecik – wyborczą kartę – i może z nim zrobić, co zechce. Może wziąć udział w wielkiej narodowej loterii albo nie. A jeśli weźmie udział, to może obstawić to, co „czuje, że wygra", albo to, co „chciałby, żeby wygrało". Jego sprawa i nikomu nie wolno się w to wtrącać.

Jest w demokracji coś okrutnego i demonicznego. Działa w niej kaprys zmieszany z przypadkiem, uczucia dobre i złe, ułomne i logiczne rozumowania, wiedza i niewiedza, egoizm i odpowiedzialność, dobro i zło. Bo to nie jest tak, że „wola ludu" jest dobra i święta. To afektowana i haniebna bzdura. Wręcz przeciwnie: nie ma wolności bez zła i bez możliwości wybrania tego, co złe. O, losie, jak wybierzemy?

JAN HARTMAN

eprasa.pl 89558b6b43

POLITYKA

WYDAWCA POLITYKA Spółka z o.o. SKA
ADRES ul. Słupecka 6, 02-309 Warszawa

RECEPCJA GŁÓWNA
tel. 22 451-61-33, 451-61-34

POCZTA ELEKTRONICZNA polityka@polityka.pl

PREZES I REDAKTOR NACZELNY
Jerzy Baczyński
tel. 22 451-60-00

CZŁONKOWIE ZARZĄDU
Mariusz Janicki *(Wiceprezes)*,
Katarzyna Białek, Bartek Chaciński

DYREKTOR ZARZĄDZAJĄCY
Katarzyna Białek

Z-CY REDAKTORA NACZELNEGO TYGODNIKA POLITYKA
Mariusz Janicki *(Pierwszy Zastępca)*,
Witold Pawłowski, Bartek Chaciński

BIURO REKLAMY
tel. 22 451-61-36, e-mail: reklama@polityka.pl
Izabela Kowalczyk-Dudek *(dyr.)*,
Julian Sobiech *(reklama cyfrowa)*
PROJEKTY SPECJALNE *tel. 22 451-61-93*
ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ REDAKCJA PONOSI ODPOWIEDZIALNOŚĆ W GRANICACH WSKAZANYCH W UST. 2 ART. 42 USTAWY PRAWO PRASOWE

PRENUMERATA PAPIEROWA
www.sklep.polityka.pl
Infolinia: *tel. 67 210 86 30*,
e-mail: infolinia@polityka.pl
Monika Grabowska,
tel. 22 451-61-00, 451-61-15
e-mail: prenumerata@polityka.pl

PRENUMERATA CYFROWA
www.polityka.pl/cyfrowa
Infolinia: *tel. 22 336-79-16*,
e-mail: cyfrowa@polityka.pl

WYDANIE INTERNETOWE
www.polityka.pl
REDAKTOR NACZELNA
Aleksandra Żelazińska

Konto: POLITYKA, Spółka z o.o. SKA
BNP Paribas Bank Polska S.A.
18 1750 0009 0000 0000 1004 2763
SWIFT: RCBWPLPW

Sprzedaż bezumowna numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez Wydawcę jest zabroniona, nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

COPYRIGHT © POLITYKA SPÓŁKA Z O.O. SKA

Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułów, w tym artykułów na aktualne tematy polityczne, gospodarcze i religijne opublikowanych w POLITYCE jest zabronione.
Przedruki po uzyskaniu zgody Wydawcy.
Kontakt: Justyna Sadowska,
tel. 22 451-61-50,
e-mail: przedruki@polityka.pl

Administratorem Państwa danych osobowych jest Polityka Sp. z o.o. SKA z siedzibą w Warszawie 02-309, ul. Słupecka 6. Państwa dane osobowe będą przetwarzane w celu udzielenia odpowiedzi na Państwa listy i mogą zostać opublikowane w tygodniku POLITYKA, chyba że Państwo zastrzegli ich nieujawnianie (art. 15 ust. 2 pkt 1 ustawy Prawo prasowe).

InPost Paczkomat 24/7

InPost z POLITYKĄ

Drodzy Czytelnicy, przypominamy, że w sklepie POLITYKI (sklep.polityka.pl) możecie zamawiać prenumeratę wydania drukowanego naszego tygodnika (ale też takiego wydania połączonego z dostępem do serwisu polityka.pl) przez urządzenia InPost Paczkomat. Jak widać z pierwszych – już licznych – zamówień, dzięki tej usłudze POLITYKA trafia w ręce naszych czytelników nie tylko w dużych ośrodkach miejskich, ale i w mniejszych miejscowościach: Lubochni, Jarnołtówce, Mikołowie, Łazowie, Bierzwniku, Olecku... Bardzo nas cieszy, że dzięki uruchomieniu nowej usługi wzrosła dostępność POLITYKI dla naszych odbiorców.

Prenumerata przez InPost Paczkomat to praktyczna i wygodna forma zapewniająca cykliczną lekturę nie tylko POLITYKI, ale i wydawanych przez nas miesięczników popularnonaukowych: „Wiedzy i Życia" oraz „Świata Nauki". To również niższa cena za pojedynczy egzemplarz każdego z naszych tytułów w porównaniu z zakupami w punktach sprzedaży prasy.

Polecamy Państwa uwadze ten innowacyjny sposób dostępu do POLITYKI i naszych pozostałych tytułów. Szczegółowe informacje dotyczące prenumeraty POLITYKI przez InPost Paczkomat znajdą Państwo na naszej stronie internetowej.

GALERIA POLITYKI

ISKRA, ZNANY JAKO AUTOR „SMUTNYCH HISTORII SPISANYCH NA KACU I TANIM PAPIERZE"

eprasa.pl 89558b6b43

Zdarzyło się

60 lat temu, a konkretnie w numerze 23. w 1965 r., 27-letni Daniel Passent w tekście „Życie zaczyna się po dzwonku" relacjonował przebieg ówczesnych matur.

Zanim jednak o tym, krótka statystyka dla porównania: do tegorocznych egzaminów maturalnych przystąpiło ok. 275 tys. uczniów. Co jednak istotne, na przestrzeni ostatnich lat znacząco zmalał odsetek maturzystów, którzy chcieliby podjąć studia wyższe – do 56 proc. (jak wynika z ubiegłorocznego badania firmy BIG Info Monitor). A jeszcze w 2018 r. wynosił on aż 95 proc. Tym samym wróciliśmy do stanu z połowy lat 60., kiedy to na studia wybierało się 59 proc. maturzystów. I tylko liczba miejsc na uczelniach wyższych wzrosła od tego czasu dziesięciokrotnie – w Polsce działa obecnie ponad 400 uczelni publicznych i niepublicznych, a na pierwszy rok studiów pierwszego stopnia i jednolitych magisterskich przyjmuje się łącznie ok. 347 tys. osób (stan na bieżący rok akademicki 2024/25).

„– Ja tam liczę na faszyzm...
– Ja też.
(...)
– A jak ci dadzą życiorys Mickiewicza?
– Co ty? Jak jest dwudziestolecie wojny (...), to musi być faszyzm. Rok temu była rocznica Żeromskiego i był Żeromski.
– Ale Mickiewicz może być zawsze.
– Po co mi Mickiewicz, kiedy idę na budownictwo lądowe.
(...)
Pierwsze zadanie i od razu zmartwienie. W szkole średniej uczy się liczb naturalnych, a nie rzeczywistych, nikt lub prawie nikt nie mógł więc rozwiązać tego zadania, które wykraczało poza program szkoły. (...) Nowy regulamin matur przewiduje, że uczeń nie losuje kartki z pytaniami, ale otrzymuje ją od egzaminatora. Ma to na celu wyeliminować przypadek, podnieść autorytet i zaufanie do nauczyciela, choć z drugiej strony stwarza pretensje w rodzaju „dlaczego dał mi akurat te pytania". Uczniowie mówili, że można próbować napomknąć nauczycielowi, że ostatnio np. „specjalnie zainteresowałem się optyką"... Reszta w rękach pedagoga.
(...)
Tegoroczna matura była denerwująca nie dlatego, że była trudniejsza (przeciwnie – nie była), ale dlatego, że po raz pierwszy obowiązywały nowe przepisy. Zdawali egzamin nie tylko uczniowie, ale i Ministerstwo Oświaty, które wprowadziło nowy regulamin, nauczyciele i rodzice. Chociaż zdaje tylko 150 tysięcy abiturientów, to przynajmniej trzy razy tylu ludzi jest w okresie matur szczególnie podenerwowanych. Ministerstwo tak się speszyło, że nie chciało ze mną rozmawiać. (...) Powiedziano mi, że „odpowiedź jest negatywna, ponieważ (...) jest za późno, aby mówić o nowym regulaminie, a za wcześnie, żeby ocenić dotychczasowy przebieg matur. Zapraszamy na sierpień, kiedy będziemy już mieli podsumowanie matur". Podziękowałem. Gdybyśmy mieli czekać do sierpnia, to prasa codzienna i tygodniowa nie miałaby w Polsce racji bytu. Wychodziłyby tylko kwartalniki.
(...)
Przysłuchiwanie się tegorocznym maturom nie pozwala wyrobić sobie zdania o poziomie młodzieży, ponieważ ustne egzaminy zdają tylko najsłabsi, którzy muszą (tzn. nie zostali zwolnieni), albo najlepsi, którzy chcą wybrać dany przedmiot jako dowolny. Dlatego różnica w poziomie odpowiedzi była duża, a wyciąganie wniosków trudne. Zdecydowanie panował pogląd, że matura stała się łatwiejsza, zaś dla najlepszych uczniów wręcz spacerowa (tylko jeden ustny egzamin).
(...)
Życie zaczyna się po maturze. W tym roku zdawało ją ok. 150 tys. uczniów. Muszą zdecydować co dalej? Praca, studia czy szkoła zawodowa? Ponad 88 tys. pragnie co prawda dalej studiować, ale miejsc na wyższych uczelniach jest 33,5 tys.".

ŻYCIE ZACZYNA SIĘ PO DZWONKU

DANIEL PASSENT

REKLAMA

POLITYKA

Już w sprzedaży w każdym sklepie sieci LIDL

Znajdziesz nas na regale z prasą.

eprasa.pl 89558b6b43

TREND

Dla jednego sklepu jesteśmy mniejsi, dla innego więksi, a dla wszystkich i tak znaczenie ma rozmiar czego innego – naszego portfela.

Mierzymy po próżnicy

Dziś oczywiście mało kto ma ze sobą portfel fizyczny, płacimy kartami schowanymi po kieszeniach lub dodanymi do telefonu. Ale rozmiar cały czas jest w grze, cały czas jest tematem. Szczególnie gdy w jednym sklepie na luzie wchodzimy w 38, a w innym w 44 dopinamy się na słowo honoru. Czasem zmiany, na plus lub na minus, zachodzą w obrębie jednej marki, jeśli wystarczająco długo jej nie odwiedzaliśmy. Wczoraj L, dziś M i to bez specjalnego wysiłku... To ostatnie zjawisko zostało już zbadane, zmierzone i nazwane: *vanity sizing*. Czyli podyktowane dopieszczaniem próżności klientów zaniżanie rzeczywistych rozmiarów ubrań.

Vanity sizing przychodzi w falach. Pierwszą odnotowaliśmy w latach 80., gdy – jak to złośliwie wypunktował magazyn „Time" – „razem z obwodami, urosło nam ego". Bo tak szczerze – odkładając na chwilę na bok wspaniały i wartościowy trend *body positivity* – przyjemnie jest myśleć, że jesteśmy rozmiaru S lub XS. I świat wzmacnia takie myślenie – albo wręcz je sufluje. Jeśli chudniemy, nawet nie z powodu diety redukcyjnej, jesteśmy obsypywani komplementami. Bliscy i dalsi znajomi poczytują to za nasz wielki sukces, nawet jeśli w tym samym czasie osiągnęliśmy coś innego: dostaliśmy awans lub nauczyliśmy się trudnego języka obcego. Kultura i moda, niezależnie od tego, co mówi oficjalnie, cichaczem nadal chętniej daje kciuk w górę tym mniejszym z nas.

Ola Salwa
– absolwentka psychologii, dziennikarka z 20-letnim stażem. Pisze o filmie, modzie i zjawiskach społecznych, konsultuje scenariusze, jest członkinią Europejskiej Akademii Filmowej.

Są dowody. „Vogue Business" sprawdził, w jakich rozmiarach są modelki prezentujące wiosenno-letnie kolekcje podczas tzw. tygodni mody w Mediolanie, Paryżu, Londynie, Nowym Jorku. U niektórych marek i wcale nie tych wiodących – Rick Owens, Karoline Vitto, **Ester Manas** – modelek plus size było między 15 a 27 proc. I to był rekord. Reszta stawiała głównie na rozmiary co najwyżej normalne lub znacznie poniżej średniej. Eksperci wiążą ten odwrót od *body positivity* z popularnością Ozempicu, leku, który choć został stworzony dla cukrzyków, jest też powszechnie używany przez osoby zdrowe do odchudzania właśnie (o czym niejednokrotnie pisaliśmy w POLITYCE).

Skoro z góry idzie taki przykład, to nic dziwnego, że mniejsze i większe sklepy sięgają po różne narzędzia psychologiczne, np. *vanity sizing*. Niektóre lojalnie w swoich e-oddziałach uprzedzają, że rozmiar jest większy/mniejszy niż przeciętny, i przyjmują wszystkie zwroty bez kręcenia nosem. Zresztą – jak sprawdziła British Fashion Council w swoim niedawnym badaniu – aż 93 proc. zwrotów do sklepów internetowych jest spowodowana właśnie źle wybranym rozmiarem. Dla porównania – dzisiejszy brytyjski rozmiar 8 (europejski 40) w 1958 r. zostałby oznaczony jako 16 (42/44). Inna rzecz, że rozmiary – czy to w postaci numerycznej, czy symbolicznej (XS–XXXL) – traktowane są jako sugestia, a nie wytyczne.

Jak ta wyliczanka w ogóle powstała? Zaczęło się od wojska, ponieważ chciano jakoś sensownie i masowo produkować mundury dla żołnierzy walczących w wojnach napoleońskich czy krymskich. Kobietom – a przynajmniej Amerykankom – zaproponowano numerówkę tuż przed drugą wojną światową, na podstawie badań przeprowadzonych na dużej próbie populacji. Szybko się jednak okazało, że większość rozmiarów była za mała względem gabarytów przeciętnej obywatelki, bo mierzono i klasyfikowano te głównie niedojadające i chorowite – to przede wszystkim one zgłaszały się do udziału w płatnych badaniach. Rozmiarówka nie uwzględniała też innych typów niż sylwetki kobiet białych.

Bo tu dochodzi jeszcze inna kwestia: rozmiar ciała to jedno, a dystrybucja tego ciała to drugie. Przygotowując wzorce emek czy ikselek, producenci myślą nie tylko o centymetrach, ale też o tym, komu chcą sprzedawać swoje sukienki, koszule czy spodnie. Typom o figurze zbliżonej do gruszki, patyka czy klepsydry? Oczywiście z pomocą idą wszelkiej maści apki, które pomogą nam zmierzyć i porównać rozmiary ciuchów różnych marek (jak Mirrorsize czy Smartsizer). Zawsze jest też metoda analogowa, znana także jako centymetr. Tylko czy nie po to dajemy się oszukiwać *vanity sizing*, żeby właśnie nie zderzać się z rzeczywistością? ■

© VICTOR VIRGILE/GAMMA-RAPHO/GETTY IMAGES, ARCHIWUM PRYWATNE, LESZEK SZYMAŃSKI/PAP, SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 89558b6b43

WIRAL

Dobrze być memem

„Kochani, nie lękajcie się. Nie tylko nie ma światełka w tunelu, ale tunelu też nie ma” – mówi kojącym głosem niedawna kandydatka na urząd prezydenta prof. Joanna Senyszyn. Dźwiękowy klip zrobił furorę na TikToku – pocieszał szykujących się do egzaminów maturalnych, przeżywających miłosne zawody i inne stresujące sytuacje. Hasło trafiło na kubeczki i koszulki.

Niespodziewanie **Joanna Senyszyn** – znana przecież na polskiej scenie politycznej od lat – to największe wiralowe objawienie tej kampanii. Zandberg miał brodę i posturę („Potężny Duńczyk”), Mentzen – garnitur i hulajnogę (niczym spóźniony prezent na pierwszą komunię), a lewicowa polityczka – czerwone korale. Ktoś znalazł podobne w sieciowym sklepie odzieżowym i obwołał „kolekcją Senyszyn”. Sama kandydatka zyskała miano Królowej i Imperatorki, jak z „Gwiezdnych wojen”, a każdy czerwony koral miał symbolizować kolejną podbitą galaktykę.

Złośliwcy porównywali popularność lewicowej polityczki do memiczności Jerzego Urbana, dla młodych pokoleń – śmiesznego dziadka z internetu. Ale to nie ten przypadek. Senyszyn furorę zaczęła robić po telewizyjnych debatach, na których imponowała wiedzą i antyklerykalnymi przekonaniami. Bez problemu zagospodarowała internetową sławę, przyjmowała zaproszenia od influencerów, wystąpiła w filmiku wraz z „synem Joanny Senyszyn” – tiktokerem @oliwierxcybulski, który w serii nagrań w mistrzowski sposób odgrywał jej manieryzmy. „To dobrze być memem. Bo mem przekazuje również pewne wartości. A ja mam taki cel życiowy, właściwie od kilkudziesięciu lat, żeby uczyć młodzież, ale także całe społeczeństwo” – mówiła w radiowej Jedynce.

Młodzież poznała kandydatkę bez jej bagażu politycznego (przynależności do PZPR, SLD i jego odłamów), za to wyrazistą i mówiącą, „jak jest”. Najwyraźniej też nie rozpoznano, że jej gest uniesionych rąk został przejęty od Jana Pawła II. Natomiast akt przekazania czerwonych korali Małgorzacie Trzaskowskiej jako wyrazu poparcia był już gestem czysto matriarchalnym. I chociaż internetowa sława nie przełożyła się na wyborcze wyniki, to Senyszyn zaistniała jako osobowość medialna – będzie prowadziła audycję w RMF FM.

MICHAŁ R. WIŚNIEWSKI

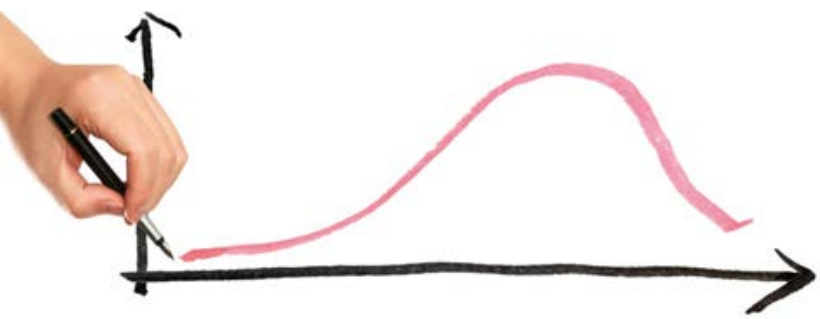

SŁOWO

Gra w peaki

Jeśli to nie był szczytowy punkt tej kampanii, to z pewnością jeden z najbarwniejszych. Chodzi o wizytę polityków KO w Pubie Mentzen, gdzie przechodzi się obok podświetlonej tablicy „Tych klientów nie obsługujemy”, wypełnionej zdjęciami polityków i dziennikarzy. Kilka lat temu Radosław Sikorski wytykał Mentzenowi genetyczne podejście do tej segregacji („W Toruniu mówią, że jest pan judeosceptykiem”) i to, że jego zdjęcia tam zabrakło. Teraz ujęcie uśmiechniętego Sikorskiego spod tablicy jedna z komentatorek na platformie X opublikowała z komentarzem: „*Peak*”. Jak „szczyt”. To komentarz pozytywny – albo przynajmniej pokazujący sytuację ekstremalną. Bo szczyty mogą być różne (jest o tym seria dowcipów, np. „Szczyt sadyzmu? Przestraszyć strusia na betonie”).

I choć wizyta Rafała Trzaskowskiego i Radosława Sikorskiego na piwie u Mentzena po transmisji kolejnej prezydenckiej debaty była uznawana za celny ruch, miała i kontestatorów: „Peak kampanii wyborczej to nie jest ten czas. I knajpa, gdzie niby politycy nie mają wstępu, to nie to miejsce” – komentował jeden z nich. Jeszcze inni w ogóle zżymają się na nadużywanie obco brzmiących słów: „Peak tłitera jest wtedy, kiedy tłiterowicze odkryją nowe słowo, zaczynają go używać na prawo i lewo, ale nie rozumieją znaczenia”.

Angielskie słowo *peak* nie jest takie obce. Znamy je choćby z nazw własnych (Broad Peak) i ze sportowych zastosowań. Podobnie jak z omawianym ostatnio „prajmem” opisuje często szczyty formy sportowców: piłkarzy („Lewandowski w peaku”) czy tenisistów („Możesz peakować i naku..., ile wlazło przeciwko niej, ale musisz wytrzymać też 3 sety” – to o Idze Świątek). Ale także sytuacje życiowe – jak w cytowanym tu już tekście duetu PRO8L3M: „Przed trzydziestką, byku, miałem mieć życie w peaku”. A wreszcie fenomeny polityczne: „Jak zwykle Konfederacja peakuje na dwa miesiące przed wyborami” (to kolejny przykład z platformy X). Ten ostatni cytat jaśniej brzmi na piśmie, bo w mowie peakowanie i pikowanie daje dokładnie taki sam efekt. To drugie to manewr nurkowania samolotu (albo gwałtowny spadek, np. wartości akcji na giełdzie). Na razie pikowanie z peakowaniem skutecznie potrafi pogodzić tylko Tom Cruise w peaku.

BARTEK CHACIŃSKI

MÓWIĄ RYMY
Kręci ją mój buzzcut, kręci ją mój trap,
Kręci ją mój buzzcut i kręcę ją ja
Qry, Buzzcut, 2025 r.
buzzcut – fryzura na zero, w stylu wojskowym

eprasa.pl 89558b6b43

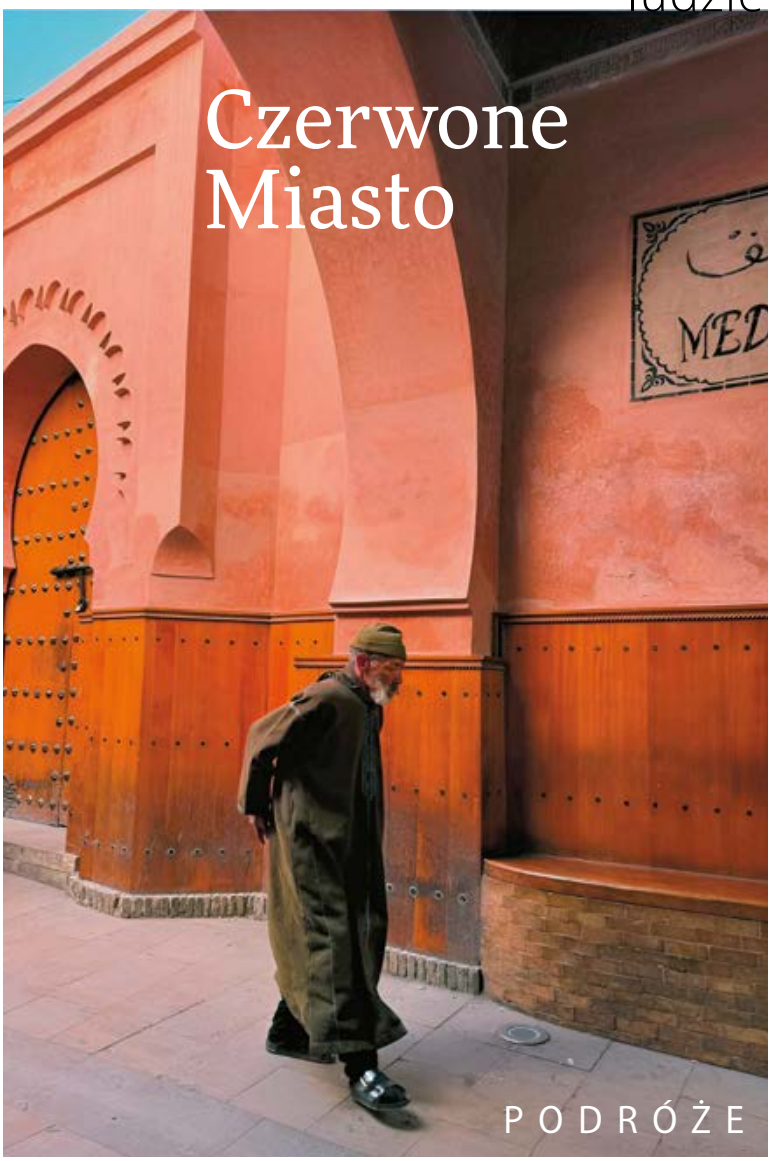

Czerwone Miasto

PODRÓŻE

Marrakesz wymyka się definicjom. Miasto tętni życiem, jest nasycone kolorami i zapachami, w których warto się zanurzyć. Bo uciec się od niego nie da.

Magdalena Gorlas – dziennikarka w podróży. Publikowała m.in. w „Chicago Tribune", POLITYCE, „Vogue'u", „Dużym Formacie" czy „Piśmie. Magazynie Opinii".

Po tym, jak francuski projektant i kreator mody Yves Saint Laurent pierwszy raz zobaczył Marrakesz, wracał do niego już do końca życia. Jak mówił, to miasto nauczyło go kolorów, bo wcześniej wszystko wydawało mu się czarne. Nic dziwnego. Można powiedzieć, że Marrakesz tonie w kolorach. Wszystkie budynki są wzniesione z gliny w odcieniach ochry. To dlatego jest nazywany Czerwonym Miastem. Kolorów nie brakuje też w jednej z najsłynniejszych atrakcji Marrakeszu – ogrodzie Majorelle, który w 1980 r. kupili Yves Saint Laurent i jego partner Pierre Bergé. Nikt obojętnie nie przejdzie obok kobaltowych budynków skąpanych w soczystej zieleni egzotycznej roślinności. Marokańskie kolory na stałe zagościły w projektach Yves'a Saint Laurenta, których część można obejrzeć w poświęconym mu muzeum, znajdującym się zaledwie kilka kroków dalej. Te dwa miejsca można zwiedzić raz-dwa, zanim Marrakesz – wpisany w 2008 r. na listę światowego dziedzictwa UNESCO – zawładnie także innymi naszymi zmysłami.

Bo Marrakesz to wszechobecne zapachy, szczególna atmosfera, gorące powietrze. I chociaż ma mniej mieszkańców niż Warszawa, to za każdym razem, kiedy tu jestem, potrzebuję dwóch, trzech dni, żeby na nowo połapać się w układzie ulic, w tym, co już było, i w tym, co jest nowe.

Najłatwiej poczuć Marrakesz w miejscu najbardziej intensywnym, charakterystycznym i jednocześnie mocno turystycznym, czyli na placu Dżemaa el-Fna. Najlepiej przyjść przed zachodem słońca, bo to wtedy dopiero budzi się on do życia. Marrakesz nie istniałby bez Dżemaa el-Fna, miejsca wypełnionego straganami z jedzeniem, sokami, bębniarzami, ulicznymi sprzedawcami, zaklinaczami węży, wróżkami i kobietami oferującymi nam hennę. Zapach mięty miesza się tu z dymem grillowanego mięsa, zewsząd wydobywa się muzyka, w rytm której wiją się kobry. Są dwa wyjścia: chłonąć i ulec atmosferze albo przemknąć jedną z alejek na souku. Wówczas można zaznać nieco spokoju, mimo że i tutaj sprzedawcy przy straganach zachwalają swoje towary – od ręcznie tkanych dywanów, ceramiki, wyrobów ze skóry i przypraw po biżuterię i lampy. Można się też przyjrzeć pracy kowali, tkaczy, krawców i kaletników.

Gubienie się i kluczenie w labiryncie uliczek mediny jest tym, co z Marrakeszu się zapamiętuje. Za jednymi czy drugimi drzwiami ukryte są prawdziwe oazy spokoju, gwarantujące odcięcie od wiecznie pędzącego miasta. Na przykład pałac Bahia – można powiedzieć – sztandarowy zabytek na turystycznej mapie Marrakeszu. Budowla pochodzi z XIX w. i jest mieszanką wpływów architektury marokańskiej z islamską. Bogato zdobione drzwi, majestatyczne okna, dziedziniec i ogród. Zwiedzający mają wstęp do 150 pomieszczeń i ogrodów. Kolejne miejsce – tuż przy wąskiej skąpanej w kolorze ochry uliczce – to Medresa ben Youssef, dawna szkoła koraniczna, której wnętrze zachwyca przede wszystkim sztukateriami. I wreszcie – Tajemniczy Ogród (Le Jardin Secret), czyli odrestaurowany riad, w którym dziś znajdują się niewielki ogród botaniczny, sklep z dziełami lokalnych artystów i kawiarnia.

Wystarczy wyjść za jego bramę, żeby znów wpaść w wir marokańskiej ulicy i poddać się tej fali. Gdzieś nad tym wszystkim góruje meczet Koutoubia, znajdujący się tylko 200 m od placu Dżemaa el-Fna, najstarszy meczet w mieście (pochodzi z XII w.). Widać go z każdego zakątka miasta, stanowi doskonały punkt orientacyjny. Oddalam się od placu, ale zapach herbaty miętowej ciągle unosi się w powietrzu. Atmosfery Marrakeszu nie da się porównać z innymi miastami Afryki Północnej – jak Kair czy Tunis. Nie każdemu przypadnie do gustu, ale jeśli tak, to już na dobre. ■

eprasa.pl 89558b6b43

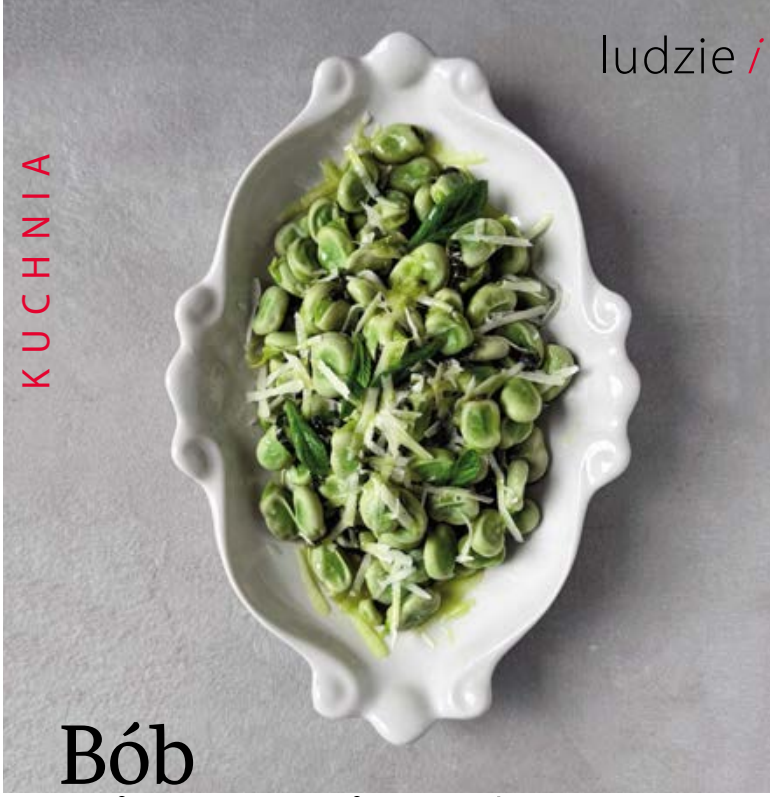

Bób nie musi być nudny

W Polsce na bób jest w zasadzie jedna metoda. Ale świat zna ich mnóstwo. Warto się nimi zainspirować.

Kiedy pierwszy raz zobaczyłem bób sprzedawany w strąkach, byłem, delikatnie mówiąc, zdziwiony. Był piękny! Przedtem kojarzył mi się głównie ze szczelnie zamkniętym kilogramowym woreczkiem pełnym zielonego ziarna. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że można inaczej! Strąki na targu rozpoznałem tylko dlatego, że jako kilkulatek zbierałem je w babcinym ogrodzie. Potem siadaliśmy razem przy stole i wydobywaliśmy małe ziarna. Kilka minut gotowania, nieco masła, bułki tartej – powstawało danie, którego nigdy nie miałem dość.

I raptem rozpoznałem bób na targu w Stambule. Kupiłem oczywiście i przywołuję wspomnienie sprzed niemal dwóch dekad, bo był to mój pierwszy bób w strąkach po latach. Wieczorem zamiast wybrać się do Błękitnego Meczetu, siedziałem i wydobywałem ziarenka ze strąków. Czy żałuję? Wcale! Meczet i tak był w remoncie. A smak pierwszego w roku bobu nie ma sobie równych.

Na kolejne strąki trafiłem w Italii. Tu też nikt nie obiera bobu przed sprzedażą. Kupuje się go na kilogramy i z wielką siatą wraca do domu, a potem obiera i obiera, bez końca. Właśnie we Włoszech uznałem, że czas się czegoś dowiedzieć o ulubionych ziarenkach i ich kulinarnym wykorzystaniu, bo w Polsce na bób jest w zasadzie jedna metoda (jak wyżej: masło i bułka tarta). Przejrzałem kilka książek i okazało się, że Włosi są wyjątkowo zmyślni. W Genui z pierwszych, najdelikatniejszych ziaren robi się coś na kształt pesto. Trzeba zerwać skórki, a potem rozgnieść bób w moździerzu z odrobiną oliwy. W Rzymie przyrządza się sałatkę, podając bób z groszkiem i karczochami. W Umbrii pierwszym pomysłem też jest sałatka, ale dosmaczona owczym serem pecorino i miętą. W Apulii robi się pastę nieco podobną do hummusu, ale z oliwą i miodem. Na zdjęciu prezentuje się ładnie, tylko skąd ten kremowy kolor?

W ten sposób dotarłem do suszonego bobu. Dowiedziałem się, że mieszkańcy basenu Morza Śródziemnego suszą bób, żeby zajadać się nim zimą. Więc nazajutrz biegałem po sklepach, usiłując go znaleźć – proszę się nie dziwić, to było w czasach, kiedy nie dało się w Polsce znaleźć sklepów z suszonym bobem z Bliskiego Wschodu. Przygotowałem apulijską pastę już w polskiej kuchni i poczułem przypływ gorącego uczucia. Suszony bób również pokochałem!

Przez kolejne lata zbierałem przepisy na bób z różnych zakątków śródziemnomorskiego świata. Jego historia liczy mniej więcej 8 tys. lat. Był na stołach w Egipcie, Grecji i Rzymie. Starożytni wierzyli, że jest związany z Hadesem. Przypatrując się mu, zauważyli czarne paseczki na białych kwiatach i wysnuli wniosek, że bób służy do komunikacji ze światem zmarłych. Pitagorejczycy posunęli się nawet dalej. Powstrzymywali się od jedzenia bobu, bo wierzyli, że suszone ziarna to dusze zmarłych. Mogło to mieć różne przyczyny, najbardziej prawdopodobnym wyjaśnieniem związku między śmiercią a bobem jest fawizm, czyli tzw. choroba bobowa, która dotyka sporej części populacji krajów śródziemnomorskich. Odpowiada za nią mutacja genetyczna powodująca niedobór enzymu, którego brak skutkuje anemią, a objawy pojawiają się m.in. po spożyciu bobu lub innych strączków.

Pitagorejskie wierzenia były jednak wyśmiewane przy smażeniu bobu w strąkach, który uchodzi w Grecji za wyjątkowy przysmak. A mnie i tak skradła serce włoska sałatka z bobu z pecorino. I tym przepisem chciałbym się podzielić. ■

Bartek Kieżun – dziennikarz, podróżnik i fotograf. Autor bestsellerowych przewodników kulinarnych: „Italia do zjedzenia" i „Neapol łakomym okiem". Gotuje, karmi, prowadzi warsztaty kulinarne, organizuje kolacje degustacyjne i pisze.

Insalata di fave

Składniki:

- 1 kg świeżego bobu
- 50 ml oliwy extra vergine
- 50 g pecorino romano
- odrobina soku z cytryny
- świeża mięta
- sól
- pieprz

Wykonanie:

Bób obieramy i płuczemy. Zagotowujemy wodę i wrzucamy bób do wrzątku. Gotujemy króciutko. Odcedzamy i odstawiamy do przestudzenia. Ser ścieramy na dużych oczkach tarki. Do miski wlewamy oliwę, dodajemy odrobinę soku z cytryny. Doprawiamy solą i pieprzem. Miętę drobniutko siekamy i mieszamy z sosem. Wrzucamy bób, mieszamy dokładnie. Posypujemy serem. Doprawiamy solą, skrapiamy oliwą i stawiamy na stole.

© MAGDALENA GORLAS, ARCHIWUM PRYWATNE (2), BARTEK KIEŻUN

eprasa.pl 89558b6b43

24/7, czyli zapraszamy na stale aktualizowane strony **polityka.pl**, na nasze blogi i podkasty

Środa powyborcza

Po raz pierwszy zorganizowaliśmy w studiu POLITYKI wieczór wyborczy, wykazując – jak się okazuje słusznie – ostrożny optymizm po publikacji wstępnych wyników exit poll. Dziękujemy, że 1 czerwca byli Państwo z nami. **W najbliższym odcinku podkastu „Temat tygodnia" omówimy już oficjalne wyniki wyborów ze wszystkimi scenariuszami. Słyszymy się i widzimy w nowej politycznej rzeczywistości. Rozmowę poprowadzi – tu bez zmian – Karolina Lewicka.** Premiera w środę 4 czerwca.

Nasłuchy z sądu

Na polityka.pl reporterka Violetta Krasnowska wraca do spraw, które wstrząsnęły przed laty opinią publiczną. Proces ojca podejrzanego o zabójstwo dwójki małych dzieci wlókł się bardzo długo, wreszcie zapadł wyrok: podwójne dożywocie. Sąd uznał, że Piotr P. nie rokuje poprawy. Jak pisze obecna na miejscu autorka POLITYKI: „Opis tego, co wyrządził swoim dzieciom, przytoczony przez sędzię w uzasadnieniu wyroku, spowodował, że wszyscy na sali jakby zapadli się w sobie".

Diagnoza: ADHD

Jak sprawdzić, czy na pewno mamy ADHD? Według szacunków nawet milion dorosłych Polaków może żyć z tym zaburzeniem, często o tym nie wiedząc. **Jak odróżnić ADHD od „zwykłego rozkojarzenia", na jakie objawy się wyczulić i jak sobie poradzić – odpowiada i podpowiada w podkaście psychologicznym POLITYKI psychiatra, ekspert w tej dziedzinie Konrad Jurczakowski.** W rozmowie badamy też m.in. związki między ADHD i depresją. I obalamy sporo krążących mitów.

Architekt CPK

Norman Foster skończył 90 lat. Nazywany Stevenem Spielbergiem architektury, zaprojektował wiele ikonicznych budynków rozsypanych po świecie, w tym wieżowce i stadiony. Wybór prac prezentujemy na polityka.pl, część z nich zapewne Państwo kojarzą. Polskie akcenty też tutaj są: studio Fostera stworzyło Varso Tower, najwyższy drapacz chmur w Warszawie i w całej Unii Europejskiej. Mało kto wie, że stoi też za projektem CPK, choć to na razie szkic na papierze.

Rower na ratunek

W podkaście „Rowery, nie bajki" Juliusz Ćwieluch gości pisarza Mikołaja Grynberga. To mądra rozmowa o życiu po zawale, doświadczeniu „prawie śmierci" i rehabilitacji na rowerze. Dziś Grynberg lepiej się czuje i nie ma zadyszki. „Rower dał mu normalne życie. Takie, w którym wejście na trzecie piętro to nie jest wyprawa wysokogórska z szerpami", zapowiada Juliusz Ćwieluch, zachęcając do słuchania i do ruchu.

GALERIA POLITYKI

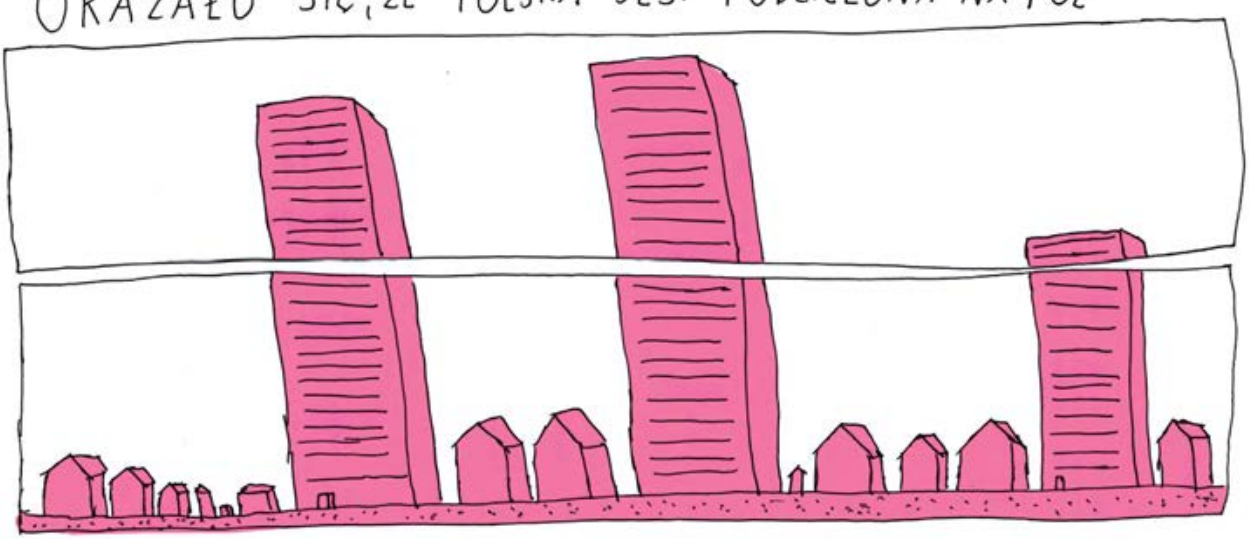

JAN KOZA

© LESZEK ŻYCH, JAKUB HALCEWICZ, CARLOS ALVAREZ/GETTY IMAGES, ARCHIWUM PRYWATNE

eprasa.pl 89558b6b43

CMS
I WRACASZ DO GRY

www.cms-online.pl
www.probawysilkowa.pl
www.rezonans-magnetyczny.waw.pl
www.tomografiakomputerowa.waw.pl
www.fizjoterapia.cms.waw.pl

CENTRUM MEDYCYNY SPORTOWEJ

Klinika ortopedyczna

Szpital
operacje ortopedyczne

Poradnia Medycyny Sportowej
dla dzieci, młodzieży i dorosłych:
- Badania wstępne, okresowe i kontrolne
- Orzeczenia sportowo-lekarskie
- Pracownia prób wysiłkowych i wydolnościowych

Poradnia Leczenia Bólu
Zabiegi interwencyjne:
- blokady / neurolizy współczulne
- blokady / neurolizy nerwów obwodowych
- termolezja

Poradnia Podologiczna
Konsultacje i zabiegi podologiczne

Dietetyka
- Dietetyka kliniczna
- Dietetyka sportowa
- Porady dla dzieci i dorosłych

Rehabilitacja
- Rehabilitacja ortopedyczna:
  - stawów rzepkowo-udowych
  - stawów barkowych
  - kręgosłupa
  - stawów kolanowych
  - kontuzji sportowych
  - po zwichnięciach stawów
  - urazów mięśni
  - więzadeł
  - po złamaniach
- Fizykoterapia
- Masaż leczniczy
- Diagnostyka funkcjonalna
- Rehabilitacja w uroginekologii
- Terapia przeciwobrzękowa

Rezonans Magnetyczny 3T
Dwa aparaty przystosowane do badań sportowców w zakresie ortopedii, neurologii i kardiologii

Tomografia Komputerowa
Pełny zakres badań

Diagnostyka
RTG, USG, EEG, EMG

CMS i Wracasz do gry!

Centrum Medycyny Sportowej to ośrodek leczniczo-rehabilitacyjny, specjalizujący się w leczeniu urazów ortopedycznych. CMS wykorzystuje najnowocześniejsze technologie w diagnozie, leczeniu i rehabilitacji.

CENTRUM MEDYCYNY SPORTOWEJ - WARSZAWA ul. Wawelska 5

tel. 22 592 93 05 do 10

www.cms.waw.pl

eprasa.pl 89558b6b43

ALUPROF
SYSTEMY ALUMINIOWE

PANUJ NAD KLIMATEM
PANUJ NAD KOSZTAMI

OKNA | DRZWI | FASADY | OSŁONY PRZECIWSŁONECZNE

SkyTwin

Pierwsza roleta zewnętrzna zintegrowana ze screenem

Szymon Marciniak

www.aluprof.com/dom

ALUPROF
GRAMY FAIR Z NATURĄ